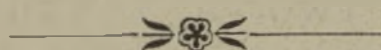
WSPOMNIENIA

z międzynarodowego kongresu historycznego,

odbytego na początku września r. 1899 w Cividale,

na pamiątkę 1100-ej rocznicy śmierci Pawła Dyakona, historyka Longobardów.



— „Jak można w czasach, kiedy cały świat wre i kipi polityką i sensacyjnymi procesami, zajmować publiczność sprawozdaniami z jakichś tam nudnych zjazdów naukowych, i to jeszcze w jakichś zakazanych mieścinach, o których nic nie wie żaden porządny obywatel?"

— Przepraszam najmocniej, ale pozwolę sobie zrobić małą poprawkę. Cividale wydaje się łaskawemu panu „zakazaną mieściną", a tymczasem nie tylko w swojem własnem mniemaniu, ale także w mniemaniu znawców stoi ono wcale wysoko, jeżeli nie ze względu na dzisiejsze znaczenie polityczne, to, przynajmniej, ze względu na rolę, jaką odgrywało w dawniejszych czasach, oraz ze względu na liczne zabytki przeszłości, ciekawe i dla archeologa, i dla historyka sztuki plastycznej.

Cividale leży we Włoszech północnych, w ziemiach dawnej Rzeczypospolitej Weneckiej, a w dzisiejszej prowincyi Udine, w odległości 15 kilometrów na wschód od miasta Udine, z którem je łączy niedawno wybudowana osobna kolej żelazna. Liczy ono dziś zaledwie 6000 mieszkańców, ale ma pozór miasta w całem znaczeniu tego wyrazu. Powstało na kilkaset lat przed narodzeniem Chrystusa. Juliusz Cezar podniósł je do godności pierwszorzędnej stacyi strategicznej i handlowej. Od imienia swego protektora otrzymało ono nazwę *Forum Julii* (targowisko Juliusza), a nazwa ta rozszerzyła się na całe osobne plemię, różniące się językowo od Włochów, chociaż także należące do szczepu romańskiego. Są to Friulanie czy też Furlanie (Forojulianie), w liczbie pół miliona, zamieszkujący dziś część Włoch wschodnio-północnych, głównie zaś prowincyę Udine, a prócz tego kawałek pogranicznej prowincyi austryackiej, Goricy. Poblizcy Słowianie zwali dawniej Cividale *Staro Mesto*, bo istotnie było to stare miasto, miasto starożytne. W późniejszych czasach było ono jedną z głównych siedzib zdobywców Italii, Longobardów.

Tutaj to, według podania, miał się około r. 725 urodzić znakomity historyk Longobardów i sam Longobarda, Paulus Diaconus, syn Warnefryda (zmarły, jako mnich benedyktyn, w klasztorze benedyktynów w Montecassino najprawdopodobniej r. 799).

Nie dziwota, że inteligentni czywidalczycy są dumni z tego swego współobywatela podobnie, jak szczycą się także tem, że w ich murach urodzili się: niepospolity kompozytor na polu muzyki kościelnej, Jakób Tomadini, twórca znakomitego oratoryum „Zmartwychwstanie Chrystusa” (*La Resurrezione del Cristo*), i słynna w swoim czasie aktorka, Adelajda Ristori, której nazwiskiem ochrzczono teatr miejscowy i przyległą ulicę.

Ostatnie dziesięciolecia roją się w Europie od jubileuszów i obchodów na cześć rozmaitych „wielkich ludzi”. Nie można więc mieć za złe inteligencyi czywidalskiej, że, wspomniawszy sobie o zbliżającem się 1100-leciu od śmierci znakomitego historyka Longobardów, zapragnęła uczcić jego pamięć w odpowiedni sposób i zarazem zwrócić na siebie uwagę bliższego i dalszego świata. Miejscowy entuzyasta, adwokat Karol Podreka (Podrecca), pierwszy wystąpił publicznie z podobną propozycyą, rozpocząwszy mniej więcej przed dziesięciu laty nawoływanie do święcenia pamięci Pawła Dyakona artykułami, ogłaszanymi w gazetach rzymskich.

Pierwotnie miano zamiar nie wykraczać poza granice Włoch, a ograniczyć się głównie do zwrócenia uwagi ludu na tę postać hi-

storyczną. Miał to więc być zwykły obchód jubileuszowy z odczytami popularnymi, z uroczystościami kościelnemi, z zabawami publicznemi i t. d. Jak mi teraz przypomniano, projekt urządzenia także międzynarodowego zjazdu historycznego wyszedł odemnie, a mianowicie, kiedy w czasie mojej bytności w Cividale w r. 1893 zaproszono mię do wzięcia udziału w komitecie, zajmującym się przygotowaniem uroczystości jubileuszowych. Myśl ta bardzo się podobała, a w ostatnich dwu latach zabrano się gorliwie do nawiązania stosunków nie tylko we Włoszech, ale także z zagranicznymi uczonymi i instytucyami naukowemi.

Skutek tych zabiegów był wcale pomyślny, bo w zjeździe wzięło faktycznie udział około 150 osób, wprawdzie nie samych historyków i wogóle uczonych, ale w każdym razie osób, interesujących się tą sprawą, zarówno patryotyczną, jak i naukową. Najwięcej uczestników dostarczyły oczywiście Włochy (licząc w to kilku Słowian włoskich). Prócz tego wielkie zajęcie obudził ten zjazd we Włochach austryackich (z Tryestu, Goricy, Istryi i Tyrolu). Cudzoziemców było kilkunastu z kilku państw: trzech Słowieńców z Lublany, trzech Węgrów, kilku Niemców z Niemiec i z Austryi, jeden Anglik, jeden Dalmatyniec (były minister czarnogórski i twórca kodeksu cywilnego dla Czarnogórza, prof. Bogiszić, przybyły umyślnie z Paryża), dwu Polaków (niżej podpisany, będący zarazem jedynym poddanym rosyjskim, biorącym udział w zjeździe, oraz ksiądz Andrzej Waszek, Ślązak, a obecnie benedyktyn w Istryi.) Dosyć obficie reprezentowane było duchowieństwo, dzięki głównie udziałowi benedyktynów z Montecassino, z których jeden, uczony opat Amelli [1]), był nawet wybrany na przewodniczącego.

W każdym razie zjazd ten miał cechę międzynarodową, chociaż wszystkie obrady odbywały się po włosku, a wszystkie referaty były wygłoszone również w tym języku.

Co do odczytów i referatów, przewaga była po stronie cudzoziemców. A nawet tak się złożyło, że tylko pierwszy dzień zjazdu, dzień uroczystego otwarcia, 3 września, nosił na sobie cechę wy-

---

[1]) Jest to wielki erudyta i uczony badacz epoki Pawła Dyakona. Zagłębiwszy się jednak w przeszłość, nierównie mniej zwraca uwagi na teraźniejszość. Brak mu zwłaszcza wiadomości geograficznych. Adresując do mnie, napisał: „*Krakau (Russia)*“, dziękując zaś za nadesłanie kilku książek dla ich biblioteki, prosi mię zarazem, ażebym skłonił do tego samego swoich kolegów profesorów bądź to w uniwersytecie krakowskim, bądź też w jakim innym rosyjskim.

łącznie łacińsko-włoską, dwa zaś następne przypadły w udziale przeważnie innym narodom. Drugiego dnia wygłosili odczyty Węgier (prof. Marki), Anglik (prof. Hodgkin) i Niemiec (prof. Hartmann). Ostatni zaś dzień, dzień zamknięcia posiedzeń, 5 września, chociaż nie wyłącznie, nosił na sobie jednak cechę słowiańską, dzięki referatom prof. Musoniego, Słowianina włoskiego, oraz niżej podpisanego.

Prac naukowych kongresu nie można nazwać imponującemi. Nie przeminą one jednak bez śladu. Przedewszystkiem przygotowania do zjazdu rozbudziły do pewnego stopnia czynność literacką, powodując pojawienie się książek i broszur, bądź to wydanych w celach praktycznych (rozmaite przewodniki i t. p.), bądź też popularnych, przeznaczonych dla ludu i publiczności, bądź też nareszcie dzieł ściśle naukowych, odnoszących się do Pawła Dyakona, do jego epoki i do jego narodu. Z obcych przygotowali podobne prace: tylko jeden Słowieniec (prof. Rutar z Lublany), jeden Węgier (prof. Marki z Klausemburga) i jeden Włoch austryacki (dyrektor Vettach z Tryestu); reszta zaś dzieł tej kategoryi, w liczbie około 12, pochodziła od Włochów z półwyspu.

W odczytach i referatach podczas samego zjazdu wypowiedziano mniej lub więcej interesujące uwagi i spostrzeżenia. A odczyty te i referaty mają być z czasem wydrukowane w „Aktach” zjazdu.

Nareszcie powzięto kilka uchwał niepośledniej doniosłości naukowej. Uznano za konieczne podjęcie systematycznej pracy nad zbieraniem z jednej strony wszystkich nazw miejscowości we Friulu, z drugiej zaś strony zwyczajów prawnych, niezgodnych z prawem obowiązującem, nie tylko we Friulu, ale w całych Włoszech—tak jedno, jak drugie, dla dania materyału do określenia wpływów obcych, a zwłaszcza longobardzkich, na ludność miejscową. Za najważniejsze jednak i pozytywnie określone postanowienie należy uważać wybranie komisyi, mającej się zająć przygotowaniami do nowego wydania krytycznego wszystkich dzieł Pawła Dyakona. Komisya ta nosi na sobie również charakter międzynarodowy i ma się składać z siedmiu członków, mianowicie z przedstawicieli czterech instytucyi włoskich, oraz z wybranych imiennie trzech uczonych niemieckich. Że do owych instytucyi włoskich zaliczono także municypium czywidalskie, to był to jedynie akt kurtuazyi wobec gospodarzy i aranżerów zjazdu. Trzema innemi stowarzyszeniami są: opactwo benedyktynów w Montecassino, królewska deputacya wenecka do badań nad historyą ojczystą, Włoski instytut historyczny.

Jak już wzmiankowałem, zjazdem czywidalskim zainteresowały się także szersze koła. Wszystkie posiedzenia były publiczne, obecną też była na nich dość stosunkowo liczna publiczność płci obojej. Więcej, niż 20 dzienników włoskich i austryackich, miało tu swoich roprezentantów.

Przez bardzo zrozumiałe skojarzenie wyobrażeń wzmianka o dziennikarstwie wywołuje widmo polityki. Czasy nasze są tak przesiąknięte polityką, że nawet spokojny kongres historyczny nie był od niej wolny. Ale polityka a polityka – to bardzo różne rzeczy. Czasami, choć zresztą bardzo rzadko, polityka może występować łagodząco i uspakajająco, zwykle jednak bywa ona jątrzącą i podniecającą.

Przewodniczący zjazdu, ksiądz Amelli, zgodnie z wygłoszonem przez siebie godłem klasztoru w Montecassino, „*pax*" (pokój), starał się uprawiać politykę uspokojenia i „leczenia ran": wysłał z własnej inicyatywy telegram do króla włoskiego, nie cieszącego się, jak wiadomo, względami duchowieństwa katolickiego, a w porozumieniu z innymi członkami prezydyum i dla uświetnienia kongresu pragnął spotęgować jeszcze przyjazne usposobienie cudzoziemców przez zaproszenie ich przedstawicieli na prezydentów honorowych. Z początku, drugiego dnia kongresu trzymano się zasady „narodowości", wybrawszy Anglika (Hodgkin), Węgra (Ováry) i Niemca, ale, niestety, z Austryi (Luschin von Ebengreuth). Wielu uczestnikom wydało się to niewłaściwem, ażeby narodowość niemiecką reprezentował Austryak, kiedy było więcej Niemców z samego Cesarstwa niemieckiego. Inni znowu uważali za niegrzeczność zupełne pominięcie „Słowian". To też następnego dnia, na ostatniem posiedzeniu, starano się naprawić, tworząc prezydyum honorowe według państw: trzej powyżej wymienieni reprezentowali Wielką Brytanię, Austryę i Węgry, a prócz tego zaproszono reprezentantów Niemiec (profesora Wieganda) i Rosyi (niżej podpisanego, jako jedynego na zjeździe poddanego rosyjskiego).

Uderzało w oczy szczególne wyróżnianie Węgrów-Madziarów, spowodowane nadzwyczaj dla Włochów pochlebną mową Ovary'ego na danym zaraz pierwszego dnia kosztem miasta bankiecie. „Radości i smutki Włochów są naszemi radościami i smutkami" — powiedział między innemi p. Ovary. Oczywiście musiało to podziałać bardzo korzystnie i wywołało rzęsiste oklaski, chociaż niektórzy zapytywali siebie, czy i w Rijece (Fiume) radości włoskie są zarazem radościami węgierskiemi, a smutki włoskie—smutkami węgierskiemi.

Obok tej polityki szczerze pokojowej dał się zauważyć inny prąd polityczny, tylko z pozoru, tylko w sposobie przeprowadzania niosący gałązkę oliwną, a w gruncie rzeczy bardzo wojowniczy i w niczem nie ustępujący. Ponieważ i sam Paweł Dyakon był księdzem, i ponieważ w zjeździe na jego cześć wybitną rolę grali benedyktyni, więc nie można chyba brać za złe duchowieństwu, że postarało się skorzystać ze sposobności i wyzyskać ją dla celów propagandy. Stąd to wydawnictwa popularne i uroczystości religijne z silnym odcieniem klerykalnym. Na konferencyi publicznej, odbytej w sali kapituły w dwa dni po zamknięciu kongresu, w obecności arcybiskupa Udińskiego i innych dostojników kościelnych, między innymi opat Amelli miał wykład „O świętości Pawła Dyakona".

Ale i ta polityka miała przynajmniej wygląd nadzwyczaj miły i gładki. Natomiast był na zjeździe żywioł, mający ochotę wystąpić bardzo ostro i zaczepnie, nie cofając się nawet przed skandalem.

Wiadomo powszechnie, że nie wszyscy „patryoci" włoscy są zadowoleni z dzisiejszych kształtów swojej ojczyzny. Niektórzy z nich dążą do zaokrągleń i do aneksyi. Są to tak zwani „*italianissimi*" i „*irredentyści*". W samych Włoszech zastępy tych nieprzejednanych coraz bardziej się przerzedzają, i dziś jest ich tam już tylko garstka. Za to tem buńczuczniej gospodarują oni w nawpół włoskich prowincyach Austryi, nadając tam ton opinii publicznej i stanowiąc pierwiastek warcholski i bezustannie wichrzący. Nie formułują oni nawet swych żądań pozytywnych; wystarcza im podtrzymywanie ciągłego niepokoju i trwożnego napięcia. Zresztą nie trudno nam sobie wyobrazić, jak wygląda taki warchoł i impresyonista polityczny; podobny gatunek znamy z własnej obserwacyi i z własnego doświadczenia.

Otóż ci panowie „*italianissimi*" austryaccy są z natury rzeczy zaciętymi wrogami swych współobywateli narodowości słowiańskiej, którzy zresztą odpłacają im pięknem za nadobne i odmierzają im tą samą miarką. Kilku „italianissimów" i „italianissimek" z Tryestu i z Goricy wzięło udział w kongresie historycznym,—w tej liczbie p. Hortis, deputowany do parlamentu wiedeńskiego, i pani Luzzatto, radaktorka zajadłego „*Coriere di Gorizia*". Powiadano, że na bankiecie, na którym p. Ovary tak mile głaskał uczucia „patryotyczne" Włochów, owo grono „irredentystów" czystej wody miało zamiar zaznaczyć zbyt jaskrawo swoją tęsknotę za zjednoczeniem z Italią zjednoczoną, oraz swe wrogie i nieprzejednane usposobienie względem „Słowian" austryackich i... włoskich. A ponieważ na bankiecie tym było obecnych kilku „Słowian", więc podobne wystąpienie

należało uważać za objaw wielkiego nietaktu i za chęć prowokacyjnego rzucenia rękawicy. To też rozsądniejsi gospodarze bankietu uprosili gorliwców, ażeby z mów swych usunęli wszystkie miejsca jaskrawsze, mogące drażnić innych współbiesiadników.

Co więcej, prezes rady prowincyonalnej, p. Mantica, jak gdyby zapobiegając wszelkim waśniom i niechęciom, wygłosił toast, w którym z wielkiem uznaniem podniósł dotychczasowe zgodne pożycie Słowian z innymi mieszkańcami Friula włoskiego i wyraził życzenie, ażeby to samo trwało i nadal. Toast ten podobno bardzo się nie podobał „italianissimom".

Mając na względzie to szczucie i rozdymanie przeciwieństw narodowościowych oraz przezywanie „panslawistą" każdego, kto, będąc zresztą nieskazitelnym obywatelem państwa, nie wypiera się jednak swego słowiańskiego pochodzenia, uważałem za konieczne swoje przemówienie na posiedzeniu z dnia 5 września „*Sull' appartenenza linguistica ed etnografica degli Slavi in Friuli*" (O przynależności lingwistycznej i etnograficznej Słowian we Friulu) poprzedzić wstępem, w którym, zastrzegając się przeciwko mieszaniu polityki do nauki, potrąciłem o tak zwany „panslawizm" i wypowiedziałem między innemi zdanie, że właściwie nie ludność powinnaby się uczyć języka urzędników, ale odwrotnie urzędnicy języka ludności.

Że to moje powiedzenie nie było wcale zbytecznem, przekonałem się w kilka dni później, odwiedzając stolicę Słowian włoskich, San Pietro al Natisone. Obecna tam inspektorka rządowa żeńskich zakładów naukowycb oburzała się, że księża w San Pietro miewają kazania po słowieńsku. „Jak to może być? — przecież ja tego nic nie rozumiem... Kto im może zabronić występować wprost przeciw rządowi? Kazania powinny być mówione po włosku" — twierdziła „patryotka", stojąca na straży interesów Italii zjednoczonej. Ja i inni obecni staraliśmy się objaśnić tej pani, że kazania miewają księża dla swoich parafian, a ogół tych parafian nie mógłby rozumieć włoskich kazań tak, jak rozumie słowieńskie; że nikt nie ma prawa zakazywać kazań słowieńskich; że w liczbie słuchaczów tych kazań jest wiele osób, równie gorliwie, jak ta pani, strzegących prawomyślności włoskiej; że sami księża są dostatecznie taktowni i rozsądni, ażeby sobie nie pozwalać na naganne wybryki; że nareszcie, jeżeli kto chce sam się o tem przekonać, to niech postara się poznać język miejscowy. Wątpię, czy wywody nasze przekonały „patryokę", ale jakoś uspokoiła się.

Tak więc zjazd historyczny na pamiątkę Pawła Dyakona nie tylko działał w kierunku spokojnych badań naukowych, ale także wpływał do pewnego stopnia na uspakajanie namiętności politycznych. Ale nie dosyć na tem. Możemy również zaznaczyć oddziaływanie tego zjazdu na niewielki ruch w dziedzinie sztuki.

Oto przedewszystkiem sztuka plastyczna zyskuje ładny pomnik Pawła Dyakona, mający z czasem zdobić jeden z placów miasta Cividale. Tymczasem można było oglądać w muzeum wystawiony tam model z gliny roboty miejscowego rzeźbiarza, Gabrici.

Ruch w dziedzinie muzyki objawił się trzykrotną produkcyą znakomitego oratoryum Tomadiniego w miejscowym kościele katedralnym, zamienionym na salę koncertową z wszelkiemi jej właściwościami: z klaskaniem, wołaniem *bis*, z kłanianiem się artystów, z powtarzaniem efektowniejszych kawałków na żądanie publiczności i t. d. Do zakresu muzyki należą także nierównie już skromniejsze koncerty na placach i na wystawie artystyczno-przemysłowej.

Wystawa ta, jako też wystawa bydła, były tylko luźnie związane z uroczystościami na cześć Pawła Dyakona. Podobnie tylko w pośrednim związku z temi uroczystościami pozostawały dwa zjazdy, zjazd stowarzyszenia nauczycieli elementarnych w Cividale i zgromadzenie towarzystwa alpinistów w San Pietro al Natisone.

Nie potrzebuję dodawać, że urządzano też iluminacyę i rozmaite ognie sztuczne, oraz że na wielu domach powiewały chorągwie państwowe i prowincyonalne. Na jednym domu widać było nawet chorągiew „słowiańską”, i nikt się tem jakoś nie gorszył.

Kongres historyczny trwał trzy dni, od 3 do 5 września, wszystkie zaś inne uroczystości dni 8, od 3-go do 10-go września włącznie.

J. Baudouin de Courtenay.



PONAD SIŁY.*)

POWIEŚĆ.



Gromada rozlała się po błoniu. Na czele muzyka, za nią starszyzna i Żyd podeszli do Tadeusza. Wójt wysunął się naprzód i cięty na wesołość prawił:

— Ziemia nasza i wszystko, co w niej jest, to także nasze, bo my tu pierwsi. Ale mogłoby bogactwo długo jeszcze leżeć w głębi, zanimbyśmy wykalkulowali i wydobyli je. Wy naszli — bieryte, Boh z wami.

— Boh z wami! huknęła starszyzna, my przy was zarobimy!

— A ja jeszcze coś panom powiem, zaczął arendarz. Był sobie Żydek, co siedział na karczmie w Swobodzie. A był on taki durny, że chciał z takimi panami i bogaczami wojować. Nic nie zwojował i przegrał. Mądry Polak po szkodzie i mądry Żyd, co na polskiej ziemi siedzi, i kłania się teraz i o zgodę prosi.

Schylony, czapką przesunął po ziemi.

— Będzie teraz wierny, jak pies, i posłuszny, jak pies, dodał ciszej.

---

*) Ob. „Ateneum“, styczeń, 1900,

— Ten Żyd zaczyna mi się podobać, szepnął pan Edward.

— Cieszę się, że Żydek polski na ziemi polskiej po szkodzie nabrał mądrości, zmazuje przeszłość i prosi o zgodę.

Tadeusz wyciągnął rękę, Żyd ją pochwycił i pocałował.

— Zgoda Żyda z panem to zawsze na skórę chłopa, taj tylko, rzekł wójt, — gromada w śmiech.

— Wójcie, nie jesteście sprawiedliwi, rzekł Feliks.

— Bo właśnie wojna była bez to, że nasi panowie nie chcieli podać ręki Żydowi do waszego obdzierania, zawołał Kasper.

Żyd bił się ręką w piersi, pan Edward powtarzał.

— Ten Żyd coraz więcej mi się podoba.

Wyciągnięto beczkę z wozu na tragarze, maszynista wydobył czop, piwo się lało do dzbanów, muzyka siadła na przyciesi.

— Do dziesiątej zabawa, a potem beczki na wozy i wio do Kołomyi, żeby wrócić po nowe na świtaniu. Na dobę musimy cztery razy obrócić, inaczej beczek zabraknie, a szybu zamykać nie można, gazy nie dadzą.

— A teraz, wiertacz prawił, kiedy wybuchło z ziemi takie szczęście dla panów i na całą okoliczność, daje nam zarobki i bogactwo, to się bawmy i pijmy za zdrowie panów...

Muzyka ucięła, piwo znikało w gardłach, pary się szykowały, Żyd klaskał w ręce i śpiewał majufes. Spostrzegł pana Edwarda i Maryę, oczy zmrużył. Kto to? spytał Feliksa.

— Dziedzic, nie poznajecie go?

— Nie znam go, szepnął.

Spoważniał, brodę wygładził, czapkę wziął w rękę, jarmułkę poprawił, drugą rękę włożył za pas i, drobno stąpając, zbliżał się.

— Moje oczy dużo już na świecie widziały, ale nowego dziedzica naszej Swobody jeszcze nie!

— Propinator?...

— Do usług jasnego pana, od dwunastu lat.

— Panie propinatorze, podobasz mi się, i może będziemy mieli z sobą interesy.

— Czekam na rozkazy, lubię wiedzieć, umiem milczeć.

Zniżył głos, przysunął się.

— Ropa jaśnie pana? spytał cicho.

— Tak powinno być.

— A ci młodzi to oficyaliści?

— Takby wypadało.

— Gdyby kopalnia nie była ich, dorzuciła Marya.

— Ich?!... na gruncie jasnego ojca, to i jasnej panienki.

— Grunt wypożyczyli, a ropa ich.

— A za wiele wypożyczyli?

— Za czterdzieści procentów, rzekł pan Edward spokojnie.

— Za czterdzieści czystego, a oni resztę i wszystko płacą?

Pan Edward potwierdził skinieniem.

— Kiedy tak, to niech oni będą panami, a jaśnie pan oficyalistą u nich.

Żyd zaczął się śmiać wesoło, wesołość ta krajała serce Maryi.

— Kazałam mu się zgodzić, kazałam mu przystać! To powinno dać energię do szybkiego działania. Ciotka dobrze radzi, trzeba skończyć, szkoda młodych lat, tem więcej, że niebezpieczeństwo grozi.

— Mój Aronku, każ koniom zajechać. Musimy wracać, spóźnić się nie chcę.

— Jasny pan ma wielki czas. Można zostać, dodał ciszej, żeby się dowiedzieć, wiele beczek pojedzie.

Panu Edwardowi błysnęła myśl, żeby Żyda zrobić tu swym szpiegiem, lecz wstydził się i bał córki.

— Każda beczka musi przejechać obok moich okien, mówił szeptem Żyd.

Pan Edward walczył z sobą, lecz ze względu na córkę milczał.

Tadeusz i Feliks stali przy kadzi, maszynista wiercił otwory dla wypuszczenia wody do strumyka, a ropy do beczek. Gazy ulatniały się, ropa coraz obficiej z szybu płynęła. Dano im znać, że pan Edward z córką odjeżdżają.

— Cóż? rzucił pytanie idącym pan Edward.

— Ropy przybywa, rzekł Tadeusz, w miarę zmniejszania się gazów.

— A widzisz, a tak się gniewałeś na mnie.

— Jeśli do jutra do południa nie będę miał więcej o dwieście beczek, muszę zamknąć szyb.

— Przyślę ci choćby ekstracugiem — nie zamykaj! No, do widzenia, bądźcie zdrowi. Niech żyje nasz poczciwy przemysł. Kochajmy go, to ostatnie moje słowo — i jedyne. Pamiętajcie i jedyne.

— Co nie mamy pamiętać, dorzucił cicho Żyd. O jej, wielga rzecz kochać, za co nie kochać, co to kosztuje kochać?!...

Marya znalazła chwilę czasu szepnąć Tadeuszowi.

— Już niedługo.

Scisnęli się za ręce.

— Mój Aronku, oddaję ci Rusinów, aby mi pilnie i szybko odwozili do stacyi ropę.

— No, no, ja sam pięćdziesiąt wozów sprowadzę z okolicznych wiosek. Faktor mój w drodze.

— A to jest pismo do naczelnika stacyi, dodał Tadeusz, wręczając papier panu Edwardowi. Proszę go o wagony na dziś w nocy.

— Dobrze, oddam i poprę twoją prośbę. Ruszyli, Marya stanęła w powozie, zwrócona ku kopalni, patrzała.

— Pamiętajcie panowie o krzyżu!

— Zaprosimy panią na poświęcenie za dwa tygodnie!...

W szarym pomroku powóz zniknął.

— A teraz, zawołał Żyd, kiedy sobie odjechali, pohulamy. Wielki to dzień na całą okoliczność.

— Wełyki—powtórzyli Rusini.

— I dla nas leje się złoto z głębokości ziemi, i teraz od naszego rozumu zależy, abyśmy potrafili ściągnąć go troszkę dla siebie.

— Taj tylko, rozeszło się szmerem.

— Panowie przyszli i świdrem, jak laską Mojżesza, rozłupili ziemię. Niech im Bóg da zdrowie!...

Zbliżył się do Tadeusza.

— My, Żydki, rozumiemy, co pan dla nas zrobił. Tu było spanie, a pan nas obudził. Tu była śmierć, a pan stworzył życie. Tu była nędza, a pan daje zarobek...

Zwrócił się do Rusinów.

— Hromada! teraz to i my możemy zawołać: Niech żyją Mazury! aj waj — hura!...

— Kto się lubi, ten się czubi, odezwał się Kasper.

Muzyka zagrała wesołego.

— Zapracowaliście na odpoczynek i zabawę! — Gdyby nie wy, nie byłoby tu nic, byłby sen, podobny do śmierci, jak mówi propinator, rzekł Tadeusz.

— Pod olszowy gaj, krzyknął Kasper — pochwycił skrzypki i zagrał krakowiaka, że aż radość i ochota serce rozrywały. Dziewczęta i parobcy za nim i fura z dwiema beczkami piwa za nim!

Żyd go dogonił.

— Fedka niema, wysłałem go po fury, ale Petryna jest!

Kasper mu skinął głową i grał z coraz większym rozmachem. Wtórowały mu basy, a flecik piskliwie wpadał w ton. Mazury śpiewali krakowiaki, mołodyce, oparte na ich ramionach, pomagały

im. Dźwięczne ich głosy szły w olszowy gaj i tam przyczajone, śmiejąc się, odrzucały śpiew.

— Tu, tu, wołali Mazury, bijąc podkówkami o twardą, jak skała ziemię.

Kasper przestał grać, oddał skrzypce, skoczył na wzgórek i rozkazy sypał.

— Wóz z piwem tam, muzyka do mnie. Chłopcy! chróstu, ogień palić! Bez ognia niema uciechy. Nie jeden, jakby chciał po ciemku pocałować dziewuchę, to zamiast w gębusię całowałby w nos!...

Wielki śmiech.

— My się w nosy całować nie damy, wołały dziewczęta.

— Ognia, żeby zobaczyć, jak gęby nadstawiają! Harendarz i mechanik do beczek, niech się piwo leje.

— Ani kropla nie spadnie na ziemię, zawołał Żyd.

— Zagram wam pierwszy, abyście się w naszą muzykę wsłuchali.

— Zgoda! odpowiedzieli muzykanci.

Siadł na wzgórku, basy i flet przy nim. Pary Mazurów z mołodycami stanęły, i krakowiak, jak burza radości i wesela, szedł, że aż ziemia pod stopami się śmiała. Gromada otoczyła wóz, piwo się lało, Rusini z zazdrością przypatrywali się krakowiakowi, dziewczęta, upojone skoczną muzyką w objęciach silnych, jak stal, Mazurów, drżały rozkoszą tańca i młodości.

Kasper nie mógł długo wytrwać w roli grajka, serce i nogi mu drżały. Zerwał się, skrzypce oddał muzykantowi, zawołał — kołomyjka, porwał czekającą na niego Petrynę, — junaki mołodyce — i kołomyjka popłynęła światem, a nogi biły jej takt...

W pierwszą parę szedł Kasper z Petryną. Dziewczę, jak łania, warkocz za kolana, a przy niej chłop, jak stalowa struna o gibkości trzciny, wesoły, jak zdrowie, piękny, jak Mazur, gdy się uda, a mocny, jak wiertacz. Dziewczę tuliło się do niego, rozkosz zapierała jej oddech. Usta odchyliła, szereg białych zębów świecił w ciemności, gorący oddech padał na rozognioną twarz chłopa. Kołomyjka, gładząc pieszczotliwie nerwy, paliła je. Mazur milczał, ogień serca wtłaczał mu w piersi wyrazy. I mołodyca milczała, zczarowana tańcem i siłą tancerza, co garnął ją do siebie, wiotką topolę i tulił...

Kołomyjka rozmarzała, taniec parzył gorącymi oddechami, piwo się lało.

— Na zgodę Mazurów z Ruśniakami, wołał Żyd. Zgodą będą bogaci, Żyd przy nich zarobi!...

Pierwsze pięćdziesiąt fur, każda po sześć beczek, razem trzysta beczek odjechało, a taniec znowu szedł, po kołomyjce krakowiak...

Mazur trzymał w pół dziewczynę, czuła bicie jego serca, rozpaloną twarz i gorący namiętny oddech. On prowadził taniec, przyśpiewywał o oczach jej, jak tarenki, i wzroście topolki, o gibkości gołąbka, wesołości sroczki — i dalej w lewo, że aż ziemia głucho jęczała...

Księżyc się zsunął za czarną ławę jodeł, ognie pogasły, skrzypkowie, jakby przez sen, przygrywali, wystąpiły do tańca pary starych Rusinów z podochoconemi babami, młodzież odpoczywała.

W olszynie czarnobrewa dyszała w objęciach Mazura.

— Jakże ja cię miłuję! Od kiedy w karczmie powaliłeś Fedka, jam twoja całą duszą. Ni nocy spokojnej, ni dnia wesołego. Wieleż razy chciałam do ciebie przylecieć, alem się bała ludzkich oczów i ludzkich języków!... Jam twoja duszą i sumieniem, boś ty Mazur, pan, mocny, jak żelazo, i hunorny strasznie... Wiem, że z tego nic nie będzie, bo chociaż mam grunt i gospodarskam córka, to ty nie nie będziesz mój, boś Mazur, pan, wiertacz, majster!... Coś mi po głowie chodzi — niby król — ja biedneńka, ja głupieńka miłować tylko umiem!... Ale niech będzie, co chce, jedno życie i jedna młodość.

Namiętne całusy głos jej stłumiły.

Ojciec i córka, rozmarzeni, siedzieli cicho w powozie. Konie pędziły wyciągniętym kłusem. Mazurowi pilno było wracać do muzyki i koni nie żałował.

Pan Edward w duchu oddawał hołd swemu rozumowi, że się nie dał uwieść pokusie i Żyda nie wziął na szpiega.

— Ty nieraz, mówił do swego rozumu, jesteś nadto wyrafinowany, zanadto w interesach fajnisty. Żyd szpieg dobry, ale trzeba zaczekać, bo można wszystko zepsuć. Oficyaliści?!... — Żyd sprytna bestya, wybornie ich określił!... Bo i czemże oni są?... Prawda, i wydajże córkę za własnego oficyalistę, to lepiej się powiesić. I do tego najpierwszą partyę w kraju!... Poradzę sobie z dziewczyną i jej adoratorem. A to skaranie pańskie z tymi oficyalistami... Takie już czasy!... Wszystkiemu winna Urszula, ale ta mi przynajmniej za to zapłaci!...

Rozśmiał się wesoło. Na ten śmiech Marya zamyślona zbudziła się i drgnęła. Dreszcze ją zimne przeszły, zakończone ściśnie-

niem serca. Śmiech ojca budził w niej zawsze niewytłómaczony strach.

Zajechali do Kołomyi przed dworzec kolei. Pan Edward telegrafował o beczki do Lwowa, załatwił sprawę z naczelnikiem stacyi o wagony — i raptem, jakgdyby sobie coś przypomniał, pobiegł szybko na pocztę.

Dziewczę patrzało za ojcem, i błyskawica przeczuć oświeciła jej mózg. Nieznany, jakgdyby nowo zrodzony głos szepnął jej: ojciec poszedł na pocztę przekupić ekspedytora, aby mu listy twoje zwracał napowrót. Prawie bez namysłu pobiegła na pocztę i niespodzianie, cicho otworzyła drzwi. Pan Edward szeptał do młodego ekspedytora, a ten, głupkowato się uśmiechając, kłaniał się.

Od jednego rzutu oka odgadła zmowę.

Ojciec nasrożył czoło, zmarszczył brwi.

— Za dużo ludzi przychodzi do poczekalni, oficerowie, Żydzi... znieść tego nie mogę, rzekła po francusku — i dlatego przyszłam za ojcem.

— Idę, odpowiedział nerwowo, — chwileczkę tylko.

Zwrócił się do młodzieńca.

— Postanowione, szepnął, patrząc mu bystro w oczy.

Ekspedytor o głupkowatym wyrazie twarzy kłaniał się nizko.

— Gdy tylko napiszę na kopercie „umyślnym", chłopak ten przyrzekł mi za guldena znaleźć posłańca do kopalni. Telegrafu niema jeszcze, tłómaczył się przed córką, również po francusku.

Tłómaczenie to utwierdziło Maryę w domyśle...

— Skąd się rodzą przeczucia, które rzadko mylą, zapytywała siebie.

ROŻDZIAŁ VI.

Pan Edward w wyśmienitym humorze jadł w domu wieczerzę. Podżartowywał sobie z Koczalskiej, a na dobranoc, całując córkę, powiedział:

— Dzisiejszy dzień w rocznikach naszej rodziny możemy zapisać złotemi literami. Może w dniu dzisiejszym dla rodu mego, chociaż po kądzieli, otwarła się na ścieżaj brama do wielkich zaszczytów.

— Ciekawa jestem, jak dzień dzisiejszy zapisze w swych annalach ród Tadeusza.

— Tysiącem guldenów dziennego dochodu, — to sądzę dosyć dla chudopachołka. Czegóż może więcej chcieć? — miał ochotę powiedzieć „mój oficyalista". Wyraz ten, wynaleziony przez Żyda, bardzo mu się podobał.

— A jednak Feliks chciał raczej porzucić kopalnię, jak zgodzić się na żądanie ojca.

— Bo Feliks mieszczanin, filister czystej wody, a mieszczany są „chciwe". Duch poświęcenia gnieździ się tylko wśród szlachty. Mieszczaństwo wyszło z łokcia, szlachta z miecza. Miecz to walka za idee, za drugich, za prawa, za państwo. Tadeusz szlachcic, dlatego się zgodził. Sercem odczuł wielką myśl.

— Zgodził się, bom go o to prosiła.

— Bo każdy prawdziwy szlachcic to rycerz, idzie między lwy i lamparty po rękawiczkę damy. Oszczędziłaś mi dużo kłopotów, chociaż pod względem materyalnym lepiejbym wyszedł, gdybym miał całą kopalnię, jak czterdzieści procentów. Zawsze ci dziękuję, opinia, ten głupi wynalazek dziewiętnastego wieku, powiedziałaby, gdybym zabrał kopalnię, żem wykwitował lub obdarł młodzieńca. Dobranoc ci, moja dyplomatko, broniąca czci swego ojca.

Nie czekając na odpowiedź córki, odszedł.

— A toby mi dopiero zalała sadła za skórę, gdyby tak zawołała: „Ojcze, kocham Tadeusza". Nie zrobiła tego i pozwoliła mi wyspać się należycie. Zasłużyłem na sen smaczny, pokrzepiający i długi... Co za szkoda, że ja syna nie mam!? Możeby się ożenić!?... Pięćdziesiąt cztery lat—to przecież jeszcze nie starość, możeby los dał syna!? I syn ten drwiłby z macochą ze starego ojca. Dzieci powinno się mieć w trzydziestym roku życia, aby w pięćdziesiątym mieć syna za towarzysza i spólnika. Idź spać, dziękując Bogu za to, co jest... „Oficyalista" — powtórzył, rozśmiał się i zasnął.

Wstał o piątej rano. Był to człowiek niestrudzonej pracy, gdy szło o jego sprawy i interesa. Kupił beczki i wysłał je ekspresem do Kołomyi na koszt kopalni. Beczek było trzysta o żelaznych obręczach.

Odetchnął.

— Szybu nie zamkną, powtarzał, jadąc z kolei do miasta.

Herbatę wypił w cukierni, przeszedł się po ulicy Karola-Ludwika i, gdy na zegarze ratusza odbiła dziewiąta, zadzwonił do mieszkania ciotki Urszulki.

— Dzień dobry cioci, rzekł słodko.

— Z czemże znowu bogi prowadzą? bo bez interesu nie przyszedłbyś.

— Wróciłem wczoraj ze Swobody.

— I cóż, spytała zaniepokojona — jest nafta?...

— Niby jest, sączy się potrosze. Jakże można było ryzykować połowę swego majątku?

— Przepraszam, bo trzecią część.

— Choćby, — i to na interes tak niepewny. Hazard, a nam nie wolno grać w hazardy. Kraj ubogi.

— Mów otwarcie, — znam się na twych deklamacyach.

— Bo ciocia piękniej deklamuje...

— Działam bez deklamacyi i robię, co mogę.

— Niech i tak będzie.

— Czego żądasz? jasno: raz, dwa, trzy.

— Pragnę odkupić udział cioci w kopalni swobodzkiej i sam się wycofać. Wiele ciocia żądasz za trzydzieści tysięcy, których nigdy nie będziesz oglądała?...

Ciotka stanęła, założyła za siebie ręce i, patrząc uważnie w twarz Edwarda, mówiła powoli, a dobitnie.

— Żądam sześćdziesiąt tysięcy.

Pan Edward zaśmiał się słodko.

— Wyjeżdżam, spojrzał na zegarek, nie mogę więcej czasu poświęcić cioteczce, jak pół godziny, mam dobrego nabywcę na moją część kopalni, a chcąc, aby i kuzynka zarobiła, dam jej — pomyślał, trzydzieści tysięcy, byle prędko. Płacę gotówką.

— Sześćdziesiąt, powtórzyła Urszula.

— Żegnam kuzynkę, całuję rączki, szkoda tracić tak dobrą sposobność. Amerykanin, jeśli nie kupi dziś, to już nigdy, po prostu zapalił się idyota.

— Przyszlij go do mnie.

— *Merci.* Pani mi swych interesantów nie przyprowadzasz.

— Bo ich nie mam.

— Czterdzieści tysięcy, ostatnia cena.

— Sześćdziesiąt.

— Padam do nóg.

— Do widzenia, kochasiu.

Zerwał się i wybiegł. Urszula stanęła na środku pokoju.

— A może straciłam czterdzieści, nie odbiorę trzydziestu?! Dla mnie wszystko jedno, wyżyję z tego, co mam, lecz tyle potrzeb woła gwałtu! Spojrzała w okno.

Pan Edward mknął, jak strzała.

— Może go zawołać? Nie miała odwagi, stało się.

Była zdenerwowana, nie lubiła Edwarda, rada z siebie, że mu się postawiła ostro i stanowczo. Tyle razy już ją podchodził, lecz żal jej było kilkudziesięciu tysięcy.

— Czym nie egoistka, tyle potrzeb, tylu ludzi, tyle biednych stowarzyszeń.

Rozległ się dzwonek, pobiegła otworzyć. Posłaniec przyniósł bilet.

„Amerykanin zgadza się na czterdzieści, nie zabijaj dobrego interesu dla biednego kraju".

„Biedny kraj" oświecił ją i bez zastanowienia napisała na tym samym bilecie: „sześćdziesiąt", oddając go posłańcowi.

— „Biedny kraj" — rozumiem! kiedy Tatarzy mają mordować w nocy, w dzień smutno śpiewają. Kiedy mój kuzynek naciąga ludzi, deklamuje o biedzie i nędzy kraju... Dlaczego mu się tak gwałtownie spieszy?... Jedzie — po co? Gdzie jest Amerykanin? Czy to nie wy? Teraz tylko wytrwałości, a sześćdziesiąt tysięcy będą tu za godzinę, uderzyła ręką w stół. Kochanek chciał mnie wziąć na sentyment biedy kraju. Ja daję wszystko, co mam, zdrowie, siły, oddałam młodość moją, a ty, egoisto, deklamujesz... Niespokojna siadła przy stoliku, notując konieczne wydatki w tym roku. Suma rosła, rzuciła ołówek, wstała, nie słyszała dzwonka.

— A możem szaleństwo zrobiła?

Otworzyły się drzwi, najprzód pan Edward, za nim zastępca notaryusza i pisarz weszli.

— Dziękuj Bogu, kuzynko, że gorączka Amerykanina daje ci sześćdziesiąt tysięcy.

— Odrazu na stół, rzekła.

— Odrazu na stół, mam pieniądze, a pan notaryusz przyniósł akt do podpisu. Młodego człowieka mamy, jako świadka, wszystko skończone.

Urszula chciała wzrokiem przebić czaszkę Edwarda.

— Amerykanie, zacietrzewieni w pośpiechu, są głupcy. Zresztą bogaci, nie tak, jak my. Aby dziś skończyć, płaci sześćdziesiąt tysięcy, gdy jutro oddałabyś za czterdzieści. Powiedz sama?!...

— Złoty, niewidziany, niesłyszany interes, mówił zastępca notaryusza. To tak samo, jakgdybyś pani postawiła dziś trzydzieści tysięcy na kartę i wygrała sześćdziesiąt.

— Co za szczęśliwy zbieg okoliczności z tym Amerykaninem, któremu się zdaje, że tylko on kopać umie, dodał pan Edward, patrząc na zegarek. Mam całe półgodziny czasu, licz pieniądze, sza-

nowny rejencie, młody człowiek niech odczyta akt, pani dobrodziejka podpisze i adje. Spieszcie się.

Rejent wyjął sześćdziesiąt sztuk po tysiąc złr. i, licząc, rozkładał je na stole, pomocnik jego czytał akt.

Dawno Urszula nie widziała takiej masy pieniędzy. Zliczyła uważnie, zsunęła, jak talię kart, i rzuciła na biurko. Podpisała papier, rejent i świadek za nią, pan Edward schował arkusz, podał rękę kuzynce i, odchodząc, powiedział.

— Słusznie mówi rejent, że wygrałaś wielki los...

Urszula z gorączką radości i energii siadła przy biurku i w dalszym ciągu spisywała potrzeby rozlicznych instytucyi. Niestety, czwarta część wydatków przechodziła sumę sześćdziesięciu tysięcy.

— Za mało, krzyknęła, za mało. Co się stało, jak mogłam tak szybko bez namysłu zgodzić się. Za mało, powtarzała szeptem.

— A wieleż ciocia wzięłaś? spytała Marya, wsunąwszy się cicho do pokoju.

— Sześćdziesiąt tysięcy za mój dziesięcioprocentowy udział.

— Tylko tyle?! zawołała zrozpaczona Marya.

— Bo co, mów, zmiłuj się!

— Bo wczoraj nastąpił wybuch ropy w kopalni, który obliczają dziennie na półtora tysiąca.

Ciotka pobladła.

— To dochód roczny wypada dla mnie więcej, niż sześćdziesiąt tysięcy. A więc głupi Amerykanin nie istnieje wcale. Jak mogłam tak się złapać, jak mogłam, a tu tyle spraw, tyle potrzeb, tyle wydatków, że dwakroć sto tysięcy nie wystarcza. Boże, za co mnie tak karzesz?!!

Rozpłakała się, Marya tuliła ją do siebie.

— A przecież nadwyżkę wolałabym oddać Tadeuszowi.

— Ciociu, to ja jestem winna, a raczej lenistwo moje. Powinnam była dziś raniutko wpaść do cioci i powiedzieć, jak rzeczy stoją, ostrzedz ją. Wczoraj wróciłam późno, zasnęłam dopiero nad ranem. Nie przeczuwałam podejścia ze strony ojca.

— Powinnaś była przeczuć.

— Zapomniałam na tę chwilę, że ciocia ma udział w kopalni.

— Stało się, lecz ojciec twój tyle razy nas podchodził i uczył rozumu.

— Cioteczka nie zaczekała.

— Myślałam, że za godzinę Amerykanin odjeżdża, że stracę jedyną sposobność przyjścia do grosza. Tyle wydatków, tyle potrzeb!...

— Ojciec jest teraz właścicielem połowy dochodów brutto z kopalni.

— Połowy?!...

— Zażądał, jako właściciel terenu, od Tadeusza czterdzieści procentów, bez żadnego udziału w wydatkach.

— Jak śmiał tyle żądać?

— A ja kazałam mu się zgodzić!...

— I zgodził się?! Jeżeliś ty mu kazała, dlaczego nie miał się zgodzić? Ale dlaczegoś mu kazała?

— Bo przecie wszystko powinno być jego.

— Gdy baby z Lwowskiego świata dowiedzą się, że ojciec twój ma miliony, ożenią go!... On tak lubi ten świat, tak się w nim rozkoszuje, jak piskorz w mule. Tak się czuje szczęśliwy, gdy się tam znajdzie, taki rad, kontent, wdzięczny za to, poczciwy filister szlachecki... On nas wszystkich naciąga, ale baby z tego świata jego naciągną — zobaczysz.

Nastała długa chwila milczenia. Z oczu Maryni spływały dwoma strumieniami łzy.

— Dziecko, jakżeś w tej chwili podobna do swej matki. Jej wyraz twarzy, ta sama boleść i to samo drganie warg. Odziedziczyłaś jej duszę szlachetną, dobrą, delikatną jej duszę i jej rysy, jej nerwy...

Marynia na wspomnienie matki rozpłakała się głośno i serdecznie. Teraz przyszła kolej na Urszulę pieścić ją i pocieszać.

— Gdyby żyła twoja matka, dziś byłabyś żoną Tadeusza. Nie płacz, tyś wczoraj, ja dziś przegrałam sprawę.

Zerwała się gwałtownie.

— Kochacie się albo nie? Jeśli się kochacie, uciekajcie choćby dziś, pożyczam wam dziesięć tysięcy na drogę!... I to będzie zemsta. Jedźcie na Czerniowce, Bukareszt, Konstantynopol do Kairu — ładna podróż — co?

— Niepodobna, Tadeusz nie ma czasu.

— Jeśli się tylko zgadzasz, piszę do niego.

— Jestem prawie pewna, że ekspedytor poczty w Kołomyi przekupiony. Podejrzane listy do Tadeusza będą wracać do ojca.

— Taak, to sama pojadę i sprawę z pocztą ureguluję. Zanocuję w Kołomyi, a raniutko do Swobody. Brońmy się. Chcesz, jedź ze mną. Lecz nie, lepiej zostań, boby to mogło sprawę skompromitować wobec ojca. Sama się rozprawię z Tadziem. Jak on mógł ciebie usłuchać!?

— Ciociu, on mnie kocha, szepnęła.

— Za dużo, za dużo!...

— Cóż na to poradzę?

— Te miłości, wzdychania, dramata przeszkadzają w pracy, a nic nie dają!

— Dają rozkosz duszy, spragnionej lepszych światów...

— To już tak?! Dzielna, odważna dziewczyna przeradza się w dekadentkę, mówiącą o duszach, spragnionych lepszych światów, jako o problemacie życia?!

— Ciociu, pragnienie to uszlachetnia dusze ludzkie.

— I to cała twoja pociecha?... Musisz być bardzo nieszczęśliwa, moje dziecko. Zaczynam się o ciebie bać. Marzenia, moja droga, rodzą próżniactwo, a tu pracować potrzeba. . Do dzieła — do czynu!

Rozgarnęła włosy na czole Maryi i pocałowała ją.

— Dopiero dziś spostrzegłam, ile jesteś podobna do matki. Za ojcami idą córki, za matkami synowie. Tyś poszła za matką.

— Tęsknota wiodła mnie do niej. Tęskniąc za nią, robiłam się do niej podobną.

— Tęsknij, póki się w nią nie wcielisz, bo i ona miała dużo siły woli i energii, a była uosobieniem tego, co nazywamy delikatnością uczuć i szlachetnością, mówiąc uczciwym językiem, bez dekadenckich wywijasów!. . Pojutrze wpadnij, ojcu nie mów, żeś tu była, udawaj, że nie wiesz, że mnie podszedł. Wracaj do domu, bo mam masę spraw. Parę tysięcy guldenów wylecą dziś, jakgdyby z bicza trzasł. Nie masz pojęcia, jak mało wśród nas ludzi! Tysiące bab, tysiące spódnic, tysiące błyszczących namiętnością oczu, tysiące głupkowatych uśmiechów, tysiące głupszych jeszcze flirtów, — samice, a ani jednej kobiety, ani jednej szczerej duszy. Manekiny, wypchane chuciami lub próżnością.

— Nie kochają prawdziwie, nie pragną lepszego...

— Dobrze już, dobrze!... Jeśli chcesz, napisz do Tadzia list, przyszlij przed szóstą i bądź zdrowa. Ciebie jedną mam na tym świecie blizką i kochaną.

— Ale po sprawach idei?

— A to się rozumie, — chciałaś inaczej!?...

— Nie, ciociu, mnie po nich pierwszą będzie dosyć.

Rozstały się, Marynia wróciła do domu w parę minut po przyjściu ojca. Nucił piosnkę z operetki, takt wybijał palcami po szybach okna. Na widok córki zawołał:

— Wiesz, dziecko, odebrałem dziś telegram z Swobody, gazy uciekły, a szyb ilość wydatku ropy zdwoił. Posłałem drugie trzysta beczek. Żydzi na jutro obiecali mi jeszcze trzysta. Może wy-

starczy? Czy ty przypuszczasz, moje dziecko, że za jakie dwa lata, jeśli tak dalej pójdzie, możesz być jedną z najbogatszych dziedziczek w Galicyi. Kto wie, czy nie kupię dóbr Ołtynieckich. Żądają trzy miliony sześćkroć, a wezmą równe trzy. Wartość ich można podnieść do sześciu milionów. Cóż ty na to?

— Wolałabym mniej, byleby...

— Wiem, przerwał gwałtownie, bojąc się wynurzań, że wolałabyś szmer strumyka i światło księżyca. Ten wasz Słowacki, powiem ci prawdę, nie ma za trzy grosze zdrowego rozsądku. I twoja matka, dópóty się wczytywała w tego, bo ja wiem, jak go nazwać, póki za nim nie poszła.

— Ja go umiem na pamięć, zawołała z entuzyazmem Marynia.

— Domyślałem się tego. Urszula cię pewno do tego namówiła. Co ten Herod w spódnicy może mieć wspólnego z wierszami, podobno bardzo delikatnymi, niech mi kto wytłómaczy?...

Marynia cicho wyszła z pokoju; pan Edward monologował:

— Trzeba ją powoli trzeźwić i zaprawiać do szerokiego życia na wielkim świecie , które nie ma nic wspólnego z wierszami, a tem mniej, dodał ciszej — z oficyalistami! Oficyaliści powinni nam dostarczać milionów, a my potrafimy je uczciwie lokować, niech ich o to głowa nie boli. Ale, poczciwcy, wara wam od nas. Możecie zdaleka kochać naszę córki, bo to was czyni pilniejszymi w pracy, ale ani pary z ust — „Cicho — sza" — „cicho — sza", jak śpiewają w operetce. Jeszcze miesiąc temu, gdyby mi przyłożono rewolwer do skroni, możebym mu i oddał dziecko!?! Ale dziś niech się ziemia zapadnie. Dziennie tysiąc guldenów, za sto dni sto tysięcy, za rok trzykroć sześćdziesiąt pięć, za dziesięć lat trzy miliony sześćkroć! A może być i dwa i trzy tysiące dziennie. No, no nie marnuje się wtedy swych dzieci... Wszyscy mogą paść w tej walce, ja jeden wytrwam, tak mi Boże dopomóż! A jakże ten kraj potrzebuje wytrwałości naszej!

Ostatnie zdanie powiedział z wiarą człowieka, przyzwyczajonego do wypowiadania frazesów.

Dziewczę w swoim pokoju, zamknąwszy go na klucz, wyjęło z biblioteki jeden z tomów Słowackiego, otworzyło bezwiednie książkę i czytać zaczęło:

„I wierzba srebrna kąpała na fali
„Złote listeczki...

Twarz jej się oróżowiła, wydając z siebie jasność natchnienia. Usiadła, pochwyciła pióro — pisała.

„Drogi mój!"

„Matka, nie mając mnie w ostatnich chwilach przy sobie, szła na wieczność ze Słowackim! Za matką idę i ja! Słowacki jest moim mistrzem. Gdy go dziś czytam, zdaje mi się, że wszystkie me żale i skargi, wszystkie zachwyty matce mej oddaję. I rozumiemy się — Słowacki nas łączy. Czytam go głośno z wiarą i przekonaniem, że matka jest przy mnie i słucha. To mi sprawia rozkosz, czytam z przejęciem, że nieraz łzy płyną mi z oczu, a mam wrażenie, że je ociera jej duch.

„Słuchaj, otworzyłam książkę bez myśli i wiedzy:

„I wierzba srebrna kąpała na fali
Złote listeczki. O tem ksiądz wielebny
Mówiąc z ambony, płakał; wierzba biała
Także—choć mówić nie mogła—płakała.
Konwalie białe, cicha mgła i rosa,
Trawy zapachem dyszały od kwiecia,
Gdy oto z wierzby trefionego włosa
Wybiegły jedna, potem druga, trzecia
Gwiazdy błękitne i nie szły w niebiosa
Po niebie latać i trwać przez stulecia,
Ale nad wierzbą stanęły w lazurze,
Dwie obok siebie stojąc—trzecia w górze",

„Te gwiazdy błękitne nie idą w niebiosa, lecz stoją w lazurze nad wierzbą, dwie obok siebie, trzecia w górze. Pocieszam się, że to dobra wróżba, co jasność i wzrok nieba ściągnie na ciebie. Ucieszyłam się, gdyż cały dzień byłam przerażona, że aż dwie plamy różowe palą mi twarz. Myślę ciągle, czy może zbrodnię popełniłam, każąc ci godzić się na kontrakt ojca. Twoją jestem i wszystko, co mam, twoje, lecz dziś nic nie mam, lub tak mało...

„Ciotka każe mi z tobą uciekać!... Czy zejdziesz ze stanowiska dla mnie, czy możesz zejść, czy ci wolno? Musisz walczyć z czterdziestoma, dziś pięćdziesięcioma procentami. Ojciec kupił dziesięć ciotki.

„Miłość moja, oddanie się moje tobie, wiara, że wszystko moje, jest twojem, może cię zgubi? Dlaczego nie zostałam twoją przed rozpoczęciem tych prac, dlaczego wtedy mnie nie zabrałeś?... Dziś

byłabym przy tobie w szałasie, zbitym z desek. Przy tobie rozkosz— przy tobie szczęście, przy tobie praca, przy tobie poezya mego żywota.

„Konwalie białe, cicha mgła i rosa,
Trawy, zapachem dyszące od kwiecia...

„Boże, jakże mi smutno w tym Lwowie, w tej tandecie wiedeńskiej, w otoczeniu młodzieży, pozłacanej szychem wiedeńskim, w towarzystwie dam o tresurze wiedeńskiej i panów, zakładających banki wiedeńskie, zgrywających się na wiedeńskiej giełdzie... Żydów, mówiących po niemiecku o Wiedniu, urzędników, marzących po niemiecku o karyerze w Wiedniu, oficerów, wysilających się na akcent wiedeński, i Rusinów, kaleczących język niemiecki...

„Wśród tego morza moralnej niemczyzny, choćby mówiącej po polsku, garska kobiet z Urszulą na czele, garstka idealnej młodzieży sterczą, jak wysepki zielone nadzieją, stawiając opór morzu, które usiłuje bałwanami swych fal zalać je i zniszczyć: plotką, groźbą prześladowań i nienawiścią tłumów do wybranych — do ludzi!...

„To bezwzględne panowanie apatyi i cichego ogłupienia jest straszne, gdy się chce objąć w jednym uścisku niebo — i ziemię...

„Do tego serdecznego uścisku (żyjemy w czasach kapitalizmu) potrzeba dużo pieniędzy — dużo... a mam ich tak mało i jeszcze wczoraj obdarłam cię o połowę dochodów!

„Pocoś mnie usłuchał?... Czuję, że popełniłam zbrodnię — i nie mogę sobie jej przebaczyć. Bałam się, że, gdy rozstaniesz się z ojcem, to cię stracę, bo stracę możność widywania cię. Za wszelką cenę chciałam cię zatrzymać. Cena była za wysoka, mój egoizm zbyt wielki, w sercu mem rośnie pogarda dla siebie samej!...

„Czuję jakieś przekleństwo, wiszące nad naszemi głowami, poznaję to po wesołości i śmiechu tych, co mnie otaczają. Są to śmiechy ich tryumfu w walce z nami.

„Ojciec powtórzył mi dziś dwa razy po odebraniu twego telegramu, że, jak tak dalej pójdzie, to mogę zostać najświetniejszą partyą w Galicyi. Najświetniejszą partyę będzie chciał wydać najświetniej, a nie byłby szlachcicem galicyjskim, gdyby świetności nie widział w stanowisku, rodzie, wpływach, koligacyach zamiast w człowieku. Ty, mój drogi, jesteś człowiek — tamci pewno będą mało ludźmi, a dużo karyerowiczami i niezawodnie zyskają łaski u ojca.

„Lecz dosyć żalów wobec młodości i jej walk, wobec zwycięstw i rozpoczętego dzieła...

Chociaż cię stać, abyś nowe systematy tworzył, pracujesz, jak robotnik. Kochać cię to znaczy być dobrą.

Pisz do mnie! Lubię twe myśli uwięzione na papier, mogę wracać do nich — gdy zapragnę!... A pragnę, gdy cierpię — i wtedy czuję się lepszą i silniejszą.

Kiedyż będę cię mogła tylko kochać bez pragnień i tęsknot, a tęsknić tylko za pięknem i nieskończonością.

Twoja Marya
Twoje dziecko, twoja myśl, twoja biedna

Marynia.

ROŹDZIAŁ VII.

Ciotka Urszula pędziła wózkiem z Kołomyi.

Cudowny kraj! Błonia wielkie, zielone, wzgórza sine, niebieskawa mgła i ciemne pasy lasów na widnokręgu. Słońce jasne, wesołe, wschodni chłodny wietrzyk i małe domki ubogich chat przy drodze.

— Postawicie sobie i szersze i wyższe, mówiła do siebie stara panna, pełna zachwytu i wiary w Tadeusza i w wykopane przez niego bogactwa.

Marzyła na ten temat, słonko się do niej śmiało, wiatr chłodził rozpaloną jej twarz, uśmiechała się do sinej mgły i ciemnego pasu na skłonie widnokręgu. Marzenia są przyjemne w jasny, wesoły dzień na wygodnym wózku wobec dobrych nowin i wielkich nadziei.

Konie wpadły do rzeczki, woda plusnęła, Urszula oprzytomniała, uśmiechnięty Mazur biczyskiem wskazał na budującą się drugą wieżę nowego szybu.

— Ta wieża, widzicie ją, — to kopalnia!

— Już?

— Szkapy same darły ci do domu, aż miło!

— Kopalnia już... Ta jedna wieża, dwa domki, kuźnia.

— To i cóż, kiej ropa płynie, jak woda, że ledwo beczek starczy?...

Konie, wyciągnąwszy wózek z wody, parsknęły wesoło i dalej pędziły wyciągniętym kłusem. Zdaleka widać było niezwykły ruch. Stało kilkadziesiąt wozów. Z jednych ściągano beczki, do drugich nalewano ropę. Głośny szmer setek ludzi, dym, buchający z komina

kotła, jęk świdra, spadającego w ziemię, krzyki cieśli przy stawianiu nowych budynków wypełniały powietrze.

Oszołomiona patrzała szeroko rozwartemi oczyma, radością i podziwem.

Wózek stanął przed kancelaryą, wybiegł Feliks.

— Droga, kochana nasza pani, wołał, wyciągając ręce, aby pomódz wysiąść Urszuli.

— Cieszę się, że nareszcie jestem z wami. Co za ruch, życie, zamęt, że aż się dusza rwie. Gdzież Tadeusz?

— Ustawia maszynę przy drugim szybie, gdy skończy, przyjdzie. Proszę panią na herbatę.

— Wybornie, doskonale — odpocznę, pogadamy.

Zrzuciła okrycie i kapelusz, siadła, patrząc w otwarte okno.

— Nie dziwię się Maryni, że wróciła rozmarzona i roztęskniona. Po Lwowie, po „wałach hetmańskich" i „kręconych słupach", jakże tu rozkosznie, swobodnie, szeroko... Wiesz, że sprzedałam mój udział Edwardowi za sześćdziesiąt tysięcy.

— Dziś wart przeszło sto tysięcy, za trzy lub sześć miesięcy może dojdzie do pół miliona...

— Na starość widocznie głupieję, ale jak mógł Tadeusz usłuchać Maryni, nie mającej pojęcia o interesach?...

— Powiedziała mu: „jam twoja", to dosyć dla zakochanego. Chciałem uciekać, lecz mnie zatrzymał siłą.

— Szczęściem, żeś został. Marynia nie zdołała ostrzedz mnie rano i padłam. Nie rozumniejsi, lecz sprytniejsi i przebieglejsi zwyciężają.

Feliks podał herbatę, chleb i masło.

— Siadaj przy mnie i mów wyraźnie!

— Przecięciowo spodziewać się można dwa tysiące dziennego dochodu. Zostaje nam tysiąc i na te tysiąc walą się wszystkie wydatki. „Jam twoja", dlatego ojciec zabrał tysiąc czystego.

— Wielkie wydatki?...

— Mało tysiąc dziennie. Same rurociągi do Kołomyi dwakroć sto tysięcy, gościniec murowany około stu, budynki, kuźnie, warsztaty, nowe szyby, maszyny do nich parowe, materyały, świdry, rury... Chwycił się za głowę.

— A jeśli będziecie mieć dziesięć szybów takich, jak ten jeden?

— Dochodami z tego jednego ciężko wybudować dziesięć. Zawsze będziemy kuleć. Szybkość jest tu wszystkiem.

— Potrzeba wam wielkiego kredytu.

— Skąd go wziąć?

— Szukać.

— W kraju nie znajdziemy.

— A to przecie największy obywatelski obowiązek, rozum stanu, interes, własna koszula.

— Wszystko własne, tylko kapitały nie własne.

— Kapitały nasze śpią po kasach, na cztery procenta. Miliony leżą, a nam tysiąców brak. Głupi kraj, który jęczy w biedzie, a kasy jego, milionami zawalone na czterech procentach, obciążają biedną ziemię.

— Nieszczęśliwy głupotą kraj i niema na to rady!

— Mądrość.

— Skąd ją wziąć?

— Kupić!

— Niestety rozumu się nie kupuje, lecz się go zdobywa.

Urszulę nerwy dźwignęły — powstała.

— Ponieważ my powinniśmy mieć rozum, brońmy się sami.

— Pięknieśmy się obronili, na początek daliśmy się razem z panią obłupić panu Edwardowi, Bóg wie na jaką sumę?!

— Nie przypominaj mi mej głupoty, lękam się o paraliż serca. Chodźmy do Tadeusza. Pragnę mieć jedno zadośćuczynienie. Dziewczynę musi zabrać, choćbym tu mu ją przywiozła sama.

— A potem?

— Potem będzie jego żoną. Nie wiesz?...

— I z żoną opuści kopalnię. Co dalej?

— Znajdzie drugie tereny.

— A jak nie znajdzie? Odszukanie terenów to loterya.

— Nauka, rozum, wiadomości, praktyka?...

— Pomagają, lecz za mało!...

— Ani marzyć, aby Marynia nie miała zostać żoną Tadeusza — umarłaby.

— Zgadzam się, lecz nie dziś.

— Więc kiedy? nie dręcz mnie. Przysięgłam jej matce...

— Po eksploatacyi kopalni lub jej likwidacyi.

— Zestarzeją się.

— Czemużeś ich pani nie pożeniła przed zaczęciem robót w Swobodzie?

— Głupia byłam!

— A może i mądra, bo pewnoby wtedy Tadeusz tu nie kopał i nie znalazł tak wielkiego bogactwa.

— Daj pokój, bo mi nerwy prujesz. Jakiś fatalizm zawisł nad naszemi głowami, czy co? Czyś fatalistą?...

— Nie, lecz wypadek odgrywa wielką rolę w życiu człowieka. Jednego spadająca dachówka zabija, drugiemu...

— Ropa leje się takim strumieniem, że aż go utopi, dokończyła Urszula, pokazując przez okno na gruby strumień ropy, lecący rurą z szybu do kadzi. A może najszczęśliwszy ten, którego dachówka ugodziła.

— Tego, droga pani, nie przesądzajmy.

— Zupełnie nie. Gdyby nie obfitość ropy, miałby śliczną, rozumną, szlachetną, dobrą, kochającą dziewczynę za żonę. Ponieważ buchnęła ropa...

— Musi czekać.

Z otworu drugiej wieży wypadł rozpromieniony Tadeusz.

— Cioteczko droga, wołał, przyjechałaś do pustelników. Nie mogłem cię przywitać. Kasper i maszynista trzymali mnie w więzieniu...

— Jak się masz, milionerze?

— Nie ja, cioteczko. Przyszły mój teść składa dla swej córki miliony!

— Prawda, i mnie on obdarł. Mniejsza, jeśli te miliony do ciebie wrócą. Spojrzała na niego. Prawdziwy bohater, twarz miedziana od słońca, czoło białe, jak alabaster. Zawsze sobie wyobrażałam takiego kochanka!...

Rozśmiała się, za nią towarzysze.

— I że Marynia wybrała sobie takiego samego, czuję w tem mój wpływ. Przywiozę ci ją.

Tadeusz złożył ręce, jak do świętej.

— Ale koleją, którą ma pan Edward do Swobody zbudować.

— Nie, bitym gościńcem, dodał Feliks.

— Niech będzie bitym.

— Nie, nie, tą drogą, którą dziś jechałam.

— Wszystkiemi drogami cioteczko.

— Masz od niej list, przysłała mi wczoraj wieczór.

Tadeusz pochwycił i wymknął się z izby, rozrywając kopertę.

— Czekajże trochę! — Machnęła ręką. Wszyscy zakochani do siebie podobni. Nie wiedziałam, że tak pospolita rzecz, jak miłość, chłonie nawet potężnych ludzi...

— Ciekawość i utęsknienie zawsze to samo.

— Póki Tadzio nie skończy, oprowadź mnie po tej czarodziejskiej dolinie, sypiącej złotem, i pokaż wszystko.

Wyszli.

— Z otwartej rany ziemi płynie stopione czarne złoto. Natrafiliśmy na jakieś malutkie jeziorko ropy, gazy wypychają ją na Boży świat. Rusini odwożą ją beczkami do Kołomyi, lecz, gdy jej będzie więcej, musimy zafundować sobie najmniej trzycalowe rurociągi do stacyi kolei.

Urszula przymrużyła oczy.

— Dreszcze mnie przechodzą na myśl tych szalonych wydatków.

— Innej rady niema, odparł cicho Feliks, i nicby nam nie szkodziło, gdyby....

— Nie przekleństwo losu, co sprowadziło tutaj dziewczynę z tym starym lisem? To moja wina, szepnęła żywo, za zbyt często powtarzałam Maryni — on twój!

— Cioteczko, otóż jestem, wołał, biegnąc, Tadeusz — i jeszcze raz przepraszam za to powtórne zaniedbanie, lecz i druga przyczyna jest równie ważną!... Czytania listów od narzeczonej nie odkłada się, tem więcej, że dusza dziewczątka tego staje przedemną jasna, jak świetlany blask zorzy.

— Co za poetyczne porównania na ustach nafciarza, rzekła Urszula, kręcąc głową...

Feliks poszedł do swych zajęć.

— Cioteczko, dziewczątko to, które mi dałaś, i jego szlachetne marzenia wydobyłyby ze skały żywe źródła natchnienia, a cóż dopiero w mózgu, w którym tęsknota żłobi swe drogi! Dziękuję ci za to dziewczę! Stoi mi przed oczyma duszy i mówi mi o walkach życia i o tej wielkiej wytrwałości, jaka powinna być w nas. Patrząc w głębie niebieskich źrenic dziewczęcia, stoję, jak zaklęty.

— Ty ją tak kochasz? rzekła Urszula.

— Czyż mogę inaczej?... Twoją jest, kochaną przez ciebie, cioteczko, a przeze mnie zaklętą w miłość.

— Kochasz, jak zaklętą.

— Ciociu, dziewczątko, nim przyszło na świat, już było zaklęte rapsodami i poezyą Słowackiego. Poezya tego mistrza wchodziła w nie przez krew matki.

— Ty niedługo ducha jej będziesz tęsknotą wywoływał i bratał się z nim, biedna Marynia nie będzie ci potrzebną...

— Mistykiem nie jestem! Kocham to dziewczę wszystkimi zasobami mego ducha i pragnieniami myśli.

— I dobrze ci z tem?...

— Jeśli innego wyjścia teraz niema?

— Przyzwyczaisz się do tego stanu myśli i ducha?

— Radbym, lecz mi trudno.

— Coraz mniej masz pragnień zdobycia i posiadania żony?..

— I cieszę się, że namiętności mną nie szarpią i nie zwyciężają mnie.

— Wygodnie ci z oddaleniem dziewczyny!

— Ciociu! szepnął Tadeusz boleśnie.

— Przepraszam cię — jestem zirytowana, oboje wpadliśmy w zastawione sieci. Ojciec jej ma teraz całą połowę kopalni bez grosza wkładów.

— A ja nie mogę rzucić kopalni, która się tak silnie rozwija! Człowiek pracy i idei nie ma nawet czasu wziąć ślubu i ożenić się...

— I czystą połowę dochodów Edward będzie ci zabierał do skończenia świata!...

— I nic mi nie zrobi. Szyb ten daje dwa tysiące dziennie, zostaje dla mnie tysiąc. Inne szyby dadzą coś przecie. Choćbyśmy eksploatowali kopalnię przez pięć lat, możemy mieć dochodu parę milionów.

— Suma olbrzymia! Czy przez cały ten czas Marynia będzie czekać na ciebie?.. Zestarzejecie się oboje. I ty będziesz miał sumienie dręczyć i suszyć tak dziewczynę, zrobić ją starą panną, uwędzić, a potem dopiero się z nią ożenić... A to niech miliony wezmą dyabli..

Tadeusz stał smutny i zamyślony.

— Siebie poświęcaj, jeśli ci się podoba. Marynia sama się poświęci, gdy zechce. Prawa życia, serca, uczuć, pragnień, młodości są pierwsze przed wszystkiemi innemi, rozumiesz! A jeśli tego nie chcesz lub nie możesz zrozumieć, to ci powiem żeś egoista i dla ambicyi gotów jesteś oddać życie i szczęście narzeczonej.

— A ciocia nie złożyłaś siebie i swej miłości na ołtarzu?

— Nie potrzebowałam nic składać. Pracowałam z narzeczonym, gdym go miała, tak, jak pracowałabym z mężem. Straciłam narzeczonego, robię sama, co mogę. A ty, widzę, chcesz się pozbyć Maryni, aby ci nie przeszkadzała lub nie ciężyła zbytecznie... Moc idzie z połączonych sił, a ty chcesz dzielić, chcesz ducha swego posyłać do narzeczonej, aby się tam modlił lub rozkoszował w ekstazach, a tymczasem ty miliony chcesz zgarnąć i rozrzucać je. Znam cię, szatanie, przybrany w ciało młodzieńca, znam twe utajone pragnienia, o których sam może jeszcze nie wiesz, bo znam serce ludzkie. Marynia dziś jest bardzo wygodną ukochaną, do wzdychań czułych apostrof do promieni księżyca i białych mgieł, ale, jako

wspólniczka, jako siła, jako podział pracy, mogłaby być ciężarem — kontrolą!...

— Ciociu, zmiłuj się — czernieję od zbrodni.

— Od jednej, to jest zabójstwa młodej i dzielnej dziewczyny, o której mówisz, że ją ubóstwiasz, i modlisz się do niej. Ty ją kochaj, egoisto! ona modlitw nie potrzebuje.

Urszula oddychała ciężko, wolno, nabierając w płuca powietrze. Była blada, oczy jej świeciły blaskami, usta drżały wzruszeniem. Stali naprzeciw siebie, wpatrując się wzajemnie. Tadeusz, zamyślony, walczył ze swym duchem, sumieniem, myślami. Pochwycił rękę Urszuli.

— Możeś, ciociu, powiedziała prawdę. Kochać kobietę to znowu posiadać ją, żyć z nią, pracować. Kochać to się wcielić w nią, czerpać z jej ducha natchnienie i moc... Zamyślił się, nieruchomy, zapatrzony. Ciotka, zapierając oddech, czekała.

— Przysięgam ci, zanim rok upłynie, rozwiążę sobie ręce, i Marynia moja.

— Amen, rzekła uroczyście Urszula.

Pocałował ją w rękę, ona go w czoło, uścisnęli się serdecznie.

— Groziło wam obojgu niebezpieczeństwo. Dziewczęciu sieroctwo, a tobie.... Tyś upojony wielkością, zdobyciem sławy, powodzeniem, byłeś gotów poprzestać na modlitwie, jak do świętej, i zmarnować dziewczynę, którą kocham, jak własne dziecko, a matce jej poprzysięgłam opiekę nad nią. Udało mi się wybrać jej męża, którego dziecko to pokochało. Struchlałam, gdym usłyszała o pięciu latach zwłoki i modlitwie do niej. Przyznaj się, żeś sobie nie zdawał sprawy z tego stanu i ze zbrodni, którą miałeś popełnić...

— Nie zdawałem i dopiero teraz zaczynam wielkość jej oceniać. Jeżeli nie mam prawa poświęcać Maryni i jej uczuć dla stu beczek ropy, to również nie mam prawa i dla miliona beczek. Ilość tu nic nie znaczy.

— Wracasz na właściwe stanowisko...

— Lecz proszę o rok czasu pracy, gdyż nademną i Marynią panuje prawo wyższe.

— Poznaję cię, odnalazłeś się i znowu jesteś moim wybrańcem.

Rękę wsunęła mu pod ramię — poszli.

— Milioner Edward, gdy się dowie o wyjściu córki za ciebie, będzie wściekły. Ręczę, że on już dziś marzy, aby ją wydać, jeżeli nie za Radziwiłła, to przynajmniej za ministra dla Galicyi lub namiestnika. Pomyśl sobie, Edward typ szlachcica wschodniej Galicyi, z paroma milionami posagu dla córki?

— Jest to bardzo sprytny człowiek, słyszy, jak trawa rośnie, i powinniśmy przed nim utrzymać tajemnicę.

— Co może nam zrobić? Córki więzić nie będzie mógł, gdyby nawet chciał, to ja na to nie pozwolę. Gdy ją zabierzesz, będzie moja zemsta za siostrę moję!.. Wyobraź sobie, Marynia pewną jest, że listy jej do ciebie kazał przejmować na poczcie, przekupił ekspedytora.

— Proszę listy do mnie kłaść do szerokiej koperty, pisać na niej liczbę i adresować do sędziego...

— Wyborny sposób, listów z urzędowemi liczbami nie przejmuje się.

Wrócili do kancelaryi.

— Kochani idyoci, wy ludzi nie macie, zawołała Urszula. Zawsze bez jutra, i zawsze po polsku.

— Któż mógł przeczuć taką obfitość ropy w jednym szybie, tłómaczył się Feliks.

— Nic was nie usprawiedliwia. Mam jednego dzielnego nafciarza i może mi się uda zdobyć go dla was — zatelegrafuję. Jak można było tak wielkie przedsięwzięcie rozpoczynać we dwóch? Zdaje mi się, że i waszą chorobą jest radykalna choroba Galicyi — brak ludzi. Będziecie łapać pierwszych z brzegu lub brać tych, którzy się sami wcisną i wtedy będą was uczyć rozumu.

— Cioteczko, chciałaś powiedzieć, że radykalną naszą głupotą jest nieznajomość ludzi w Galicyi i nieumiejętność ich znalezienia.

— Powtarzam, ludzi brak, bo manipulantów i „oficyałów" możecie mieć kopami...

— Czyż nie mogą się zdarzyć ludzie między oficyałami?

— Licz na zdarzenia, wypadki, pioruny z pogodnego nieba. Fortuna z łaski swej raz sypnęła ci złotem, a ty żądaj od niej, aby ci z oficyałów pocztowych robiła bohaterów, bo swych bohaterów przepędziłeś tymczasem do Argentyny.

— Telegrafowałem aby wracali. Ciocia ma dziś świetną wymowę, dodał z uśmiechem.

— Bo jestem zdenerwowana i smutna, widząc was wobec tak wielkiego zadania, już dziś zrabowanych i pokrzywdzonych. Wszyscy jesteśmy słabi dlatego, że szlachetni, musimy więc padać pod ciosami zręcznych egoistów i wyzyskiwaczy. Czy to taki los małej naszej garstki, wśród mnóstwa drapieżnych zwierząt, rzucających się na ludzi... Dlatego ludzi tak mało, a może coraz mniej... Człowiek, jako lepszy typ, ginie!

Rozpłakała się. Przybiegł do niej Tadeusz.

— Droga, kochana ciociu, nic nie jest jeszcze stracone. Ze zwierzętami będziemy walczyć, ludzi szukać i tulić ich do siebie...

— Naftę kopać i ludzi szukać, i walczyć z niższą rasą, i bronić się za ciężka praca na dwóch — nie podołacie!...

— Będzie nas trzech z tym, którego ciocia przyszle, a za dwa miesiące wrócą z Argentyny nasi dzielni ludzie. Opuściłem kraj młodzieniaszkiem, dziesięć lat w nim nie byłem. Czyż ja mogę znać i kraj i ludzi w nim? Lecz powoli będziemy się, jako żórawie, zwoływać. A ze zwołanych ani jednego nie wypuścimy już za kraju szranki.

— A jeśli żórawi niema? szepnęła Urszula.

— Znajdą się, wyrosną. Jeśliby ich nie było, to lepiej podminować kopalnię i razem z nią wylecieć w powietrze...

— Do towarzystwa zaproścież mnie i Marynię...

— Nie zostawilibyśmy was samych! Tymczasem cieszmy się tem, co jest dziś, bo z tego, co jest, zdaje się, że Bóg jest z nami, lepszy typ się dźwiga.

Zmęczeni zamilkli, każde z osobna pracowało mózgiem. Przez otwarte okna słychać było nawoływania ludzi, granie łańcuchów i jęk ziemi pod uderzeniami wielkiego świdra w nowym szybie.

— Dajcie mi dziś milion, a w trzy lata oddam wam trzy, rzekł w połowie do siebie Tadeusz.

Powiedzenie to ocuciło Urszulę.

— Skąd go weźmiesz? Nie masz hypoteki, nie grasz w giełdę, weksle twoje dziś jeszcze nic nie znaczą.

— A więc dziś to tylko życzenie. W swoim własnym interesie powinien mi pomódz pan Edward.

— Nie pomoże, za dobry finansista czyli inaczej na takie rzeczy za nizki typ.

— Jeżeli drugi szyb da tyle ropy, co pierwszy, zabraknie nam fur do jej odstawy, przy znanej nieporadności Rusinów. Potrzebuję miliona i chociaż z pięciu ludzi, dokończył cicho. Ostatnich wyrazów nie słyszała Urszula.

— Czy chcesz moich pięćdziesiąt tysięcy — spytała.

— Dziękujemy, zawołał Feliks, niech będą u szanownej pani na czarną godzinę.

— O czarnych godzinach myślicie przy tysiącu guldenów dziennego dochodu?

— I milionie długu, dodał Feliks, o który się staramy, przy utracie połowy brutto dochodów.

— Chodź, zwróciła się do Tadeusza, pokażesz mi miejsce, w którem ma stanąć krzyż. Czy to czasem nie wasza Golgota?...

— Całe nasze życie wśród otoczenia, w którem żyjemy — to Golgota...

— Krzyż ten widocznie stawiacie dla siebie?

— To godło nasze. Nie wiem, czy Marynia w wiośnie swego życia miała tę myśl, lecz gdy zażądała krzyża, umysł mój raptownie oświeciła błyskawica bólu i przeczuć...

— Za mało ludzi, jako lepszego typu—i dlatego Golgota stoi...

Zadumali się głęboko...

— Biedaku, mówiła dalej cicho, przychodzą ci smutne myśli, a wieluż to na twem miejscu byłoby szczęśliwych, piłoby rozkosz życia!?

— Niezawodnie, lecz każda idea ma to do siebie, że nie może stanąć, nie może się zatrzymać ani chwili. Gdy staje — umiera! Ta troska o jej życie, o jej rozwój jest naszą Golgotą i naszym rajem, naszem szczęściem i męczarnią. Już dziś my, ciocia, Marynia i ja, patrzymy na rozkosze życia, jak na marną zabawkę, jak na chwilkę uciechy, która nas rychło nuży i męczy, a wzrok i pragnienia wyciągamy daleko po za sferę uciech, które są uciechami niższego typu, sprowadzającego nam Golgotę, lecz ta Golgota to i miłość i rozkosz ducha, i tęsknota, jako przeczucia nieskończoności!... Czyż jest inny wybór, powiedz, droga Pani!

— Całem życiem mówię, kto jestem, szepnęła wzruszona...

— I dlatego się zapytałem. Nie pytałbym o to pana Edwarda. Biedak nie zrozumiałby mnie.

— I z nim ani jeden od Przemyśla do Brodów i Czerniowiec! To jeszcze niższe typy, otynkowane blichtrem wiedeńskim...

Stanęli, patrząc na siebie. Urszula czytała w rozmarzonych oczach młodzieńca wielką miłość i wiarę, a na ustach zobaczyła uśmiech smutny pół męczennika i tryumfatora w męczeństwie. Odczuła ten uśmiech, ujęła jego głowę w swe silne ręce i pocałowała go w czoło.

— Wiesz, za com cię w tej chwili pocałowała?

— Nawet się nie domyślam.

— Na podziękowanie, że dobrego męża wybrałam dla Maryni, tylko się boję, aby rosa oczu nie wyjadła, nim słońce zejdzie.

— O, i ja dosyć mam już tej rosy i pragnę wzejścia słońca. Nie uwierzysz, ciociu, czem jabym był, gdybym miał przy sobie Marynię z jej idealizmem i wesołością. Czuję, żebym dostał w darze drugą duszę, drugą siłę, drugą energię, spokój filozofa i uśmiech dziecka. O ileby dusza moja we mnie wzrosła!

— Teraz czuję, że pragniesz! Podłość fatalizmu polega na tem, że nędzników zawsze ze sobą łączy, a nam kładzie się w poprzek i rozdziela?!

— Nie byłby inaczej fatalizmem tego świata.

Zatrzymali się u podnóża świerkowego lasu, okrywającego górę. Przecięcie już było zrobione i uprzątnięte. Na wierzchołku cieśle dźwigali potężny krzyż z nieociosanego drzewa. Tadeusz zaczął im rzucać rady i rozkazy — poszedł do nich. Za nim wolno pod górę szła Urszula.

Krzyż stanął, obijali go ziemią i kamieniami, spód obłożyli darniną. Tadeusz kazał uprzątnąć wióry, podał rękę ciotce, pociągnął ją na szczyt.

Oparci o szare drzewo patrzeli przez wyciętą linię na dolinę, niebieską rzeczkę, wieżę szybu, kopalnię. Ludzie z tego oddalenia podobni do mrówek. Nie słychać było ani jęku ziemi od uderzeń świdra, ani głosów ludzkich...

— Z tak niewielkiej wysokości oto sprawy nasze i my — mrówki.

— Małe, rzekł Tadeusz, lecz co nas czyni olbrzymami, to wielki duch, który obejmuje świat i do niebios sięga. To nasza siła. My mrówki, lecz nam świat ten za mały — idziemy do słońca i poza słońce, do światów miliona. Obejmujemy całość naszymi małymi mózgami, a na ziemi świdrujemy góry, pioruny bierzemy w niewolę i rzeki cofamy. Wszędzie potęga ducha zwycięża — i ten krzyż symbol miłości świata. Ciociu, jednostka jest niczem — naród jest wszystkiem.

— O tyle naród jest wszystkiem, o ile jest kierowany przez wyższe jednostki, rzekła Urszula.

— Tak, tak, te lepsze jednostki to ludzie narodu.

Robotnicy odeszli, Urszula i Tadeusz usiedli u stóp krzyża. Powiem Maryni, rzekła, jak tu jej wola jest szanowana. Urocze miejsce i to pewno twoja ulubiona wycieczka...

— Radbym z nią tu być!...

— Zdaje się, że już skończone jej podróże do Swobody po chęci przejmowania listów przez ojca. Milczy kochanek, bo się was obojga boi, lecz pewno przeklina dzień, w którym was poznałam, i mnie przeklina, chociaż biedaczek nie pamięta pewno o tem, że tylko skutkiem mego zbliżenia ciebie z nim, ściąga dziś do kieszeni bez żadnej pracy po tysiąc guldenów dziennie. Boże, jakże ta Marynia będzie bogata...

A ja przysięgłem sobie i dziś tę przysięgę powtarzam, że je-

dnego grosza z posagu Maryni nie wezmę ani dla siebie, ani dla niej, ani na przemysł, ani na handel. Oboje go przeznaczamy na inwestycyę ducha narodu, na najpiękniejsze i najsilniejsze jego potęgi, na odrodzenie jego ducha w literaturze i sztuce. Dwie te najpotężniejsze siły nasze jęczą u nas w niewoli babilońskiej, bite przez barbarzyńców, maltretowane przez przekupniów, robione, jako towar, przez zjadaczy chleba.

— Marynia niezawodnie uszczęśliwiona z tego projektu. Przysięgłam cieniom jej matki, że córka do niej będzie podobna, i powiedz, czy nie dotrzymałam przysięgi?

W odpowiedzi Tadeusz wyjął list Maryni, podał go Urszuli i zamyślony patrzał na słońce, kąpiące się w krwi i wolno zapadające za ciemną, zbitą masę świerków. Urszula czytała w skupieniu ducha.

— To córka mej siostry i mej duszy, szepnęła, tylko więcej odemnie wydelikacona, więcej nerwowa, za mało zahartowana. Ale i ona zdobędzie się na siłę i energię — zobaczysz! A będzie jej potrzebna, jeśli tak ciężko układają się sprawy wasze.

Słońce stoczyło się za czarną ławę lasu, w jego miejscu stanęła ciemna chmura, brzegami oróżowiona purpurą i srebrem.

— Ciociu, patrz to losy nasze, chmura idzie zwolna za słońcem, szczyty jej jasne pasy nadziei i przyszłości. To nasza droga, idziemy do słońca!

Urszula oddała mu list.

— Chowaj wszystkie jej listy, w nich się odźwierciadla dusza dziewczęcia. Jest w listach swych szczera, jak na spowiedzi — dobra i na wszystko przygotowana. Stanowczość swą uważa za obowiązek, za konieczność, za nieodwołalne prawo!.. Wygrałeś wielki los — a teraz wracajmy, czas na mnie, spojrzała na zegarek. Za cztery godziny odchodzi kuryer z Kołomyi. Kiedyż będziesz we Lwowie — Edward dziś nie głupi przywozić córkę, musisz sam do niej pojechać.

— Gdy tylko ciocia przyszle trzeciego pracownika, jadę do Lwowa.

Wracali szybko, radzi z siebie, usiłując się pozbyć smutnych przeczuć, które, ukryte w zakątkach serc, od czasu do czasu wydobywały się na wierzch, szarpiąc nerwy.

Urszula siadła na wózek, Tadeusz odprowadził ją do rzeczki, ucałował jej ręce — odjechała.

ROŹDZIAŁ VIII.

Wieść o odkrytych wielkich skarbach w majątku pana Edwarda rozeszła się błyskawicami po Lwowie. Całe miasto zaczęło składać mało znanemu dotąd szlachcicowi dowody uznania, szacunku, nawet czci. Salony, dotąd do połowy dla niego otwarte, rozwarły się naroścież, córkę jego witano z entuzyazmem, unosząc się nad jej pięknością, elegancyą, dowcipem, a nadewszystkh szykiem, o którym dziewczę to nie miało pojęcia, a tem mniej starało się o niego. Wdzięk odziedziczyła po matce, arystokracyę ducha po Słowackim, czego nie dostrzeżono w salonach lwowskich, nie znając matki i Słowackiego. Wszystkie uniesienia szły na rachunek milionów, wylatujących z otworów ziemi w Swobodzie.

Pan Edward umiał wyzyskać ogólny zachwyt ludzki i pokorę przed milionami. Reporterów przyjmował łaskawie, niektórym właścicielom pism dawał do zrozumienia, że nabędzie ich dzienniki. Jednemu z najnatarczywszych dał subwencyi pięćset guldenów. Robił, co mógł, jak sam rozgłaszał, dla kraju i sławy narodu, po cichu myślał o poselstwie i wejściu do rady państwa.

Jako zbytek dobrego humoru po otrzymaniu świeżych wiadomości ze Swobody, powiedział do siebie.

— Pokażę wam, jak się prowadzi ministerstwo dla Galicyi i nauczę, jak szlachcic polski córkę jedynaczkę potrafi wydać za mąż.

Na konkurentów patrzał z góry, a do córki mawiał wesoło:

— Przeczułaś widocznie, że ci język angielski będzie bardzo potrzebny. Wy, kobiety, więcej macie dobrych przeczuć, aniżeli my, mężczyzni.

— Dlaczego, ojcze? spytała Marya.

— Zaraz wszystko dlaczego? Kobiety przedewszystkiem są ciekawe, u nich zaraz dlaczego? I dlatego Ewa przy jabłoni tak łatwo porozumiała się z szatanem... Ciągle go pytała: dlaczego?... Dla tego że pojedziemy do Londynu i będziesz ojcu cyceronować!

— Zgoda, byle nie na długo...

— A teraz na mnie kolej spytać się dla czego?...

— Nie lubię na długo opuszczać kraju, tęsknię za nim. Z tęsknoty mizernieję, nostalgia mnie zabija...

— Cóż za potok wymowy! Nasze panie całe życie siedzą za granicą, a nie mają pojęcia o nostalgii.

— Należało mnie wychować na jedną z nich. A gdy się wychowałam na inną...

— Przepraszam, rzekł szybko, przypominając sobie poselstwo. Myślisz, że ja nie szanuję patryotyzmu i nie jestem patryotą. Bogu dziękuję, że mam córkę patryotkę, albowiem patryotyzm jest obowiązkiem porządnego szlachcica.

Mówiłby dalej i dłużej, gdyby nie uśmiech na ustach córki.

— Cóżto, śmiejesz się? zawołał urażony.

— Uśmiech radości z potoku wymowy na temat patryotyzmu. Dawniej rzadko wyraz ten słyszałam w ustach ojczulka.

— Dawniej człowiek był zapracowany, westchnął, — ciężko zapracowany dla kawałka chleba. Dziś, gdy mogę przecie troszkę odetchnąć, przychodzą szczytne idee. Rozumiesz mnie?

— Rozumiem i cieszę się, że się spotykamy na tym gruncie. Co tu, ojczulku, do roboty!

— Tylko ty mnie przynajmniej nie karotuj, moja droga! Dobroczynne instytucye golą mnie, aż miło.

— I znowu się nic nie rozumiemy!? Nie traktuj, ojcze, obowiązków względem kraju, jako jałmużnę. Nasze stowarzyszenia same dają sobie radę bez żebraniny — w takich jestem.

— Jesteś — nie wiedziałem! Taiłaś się przed ojcem, ładnie to?

— Nie pytałeś się — sądziłam, że nie chcesz wiedzieć.

— Ja, ojciec, nie chcę wiedzieć, co córka moja robi, jakie ma polityczne przekonania, kogo forytuje do sejmu.

— Ależ ja się tem nie zajmuję.

— A więc czem? Ach prawda, szkołą w Białej, czy czemś podobnem takiem!... Machnął ręką. Jesteśmy dziś na operze, potem na raucie u księżny, proszę cię, bądź ładna i miej ten sam szyk, twój szyk, którym się ludzie z towarzystwa zachwycają.

— Nie mam go, odpowiedziała swobodnie.

— No, no, nie udawaj, nie graj roli pensyonarki, bo to także szyk naiwności, ale już przestarzały. O w pół do ósmej wyjeżdżamy do teatru. Do widzenia, moja dyplomatko. Taką jesteś dyplomatką, że nawet z ojcem dyplomatyzujesz....

Wyszedł.

— Ja jestem dyplomatką, powtórzyło dziewczę. Ja i dyplomacya, co to znaczy? Dlaczego ja z moim ojcem nigdy nie mogę się porozumieć? Wpadła w zadumę. Pewno dlatego, że ja jestem naiwną i szczerą, a ojciec mój dyplomatą. Westchnęła, szepcząc: Któż jestem, jeśli o sobie powiedzieć nie mogę: „Ja jestem gwiazdą życia, co o świcie, skąpana w krwawej jutrzence, wychodzi różana — a dzień będzie wtenczas biały, gdy ja zagasnę!...

———————

Urszula włożyła pięćdziesiąt sztuk biletów z pyzatymi aniołkami do skórzanej torby, łańcuszki jej okręciła silnie koło ręki i wyszła wzruszona przez plac Maryacki do galicyjskiej kasy oszczędności.

Na pierwszem piętrze w kancelaryi przy olbrzymiem biurze pracował wysoki o srebrnym włosie, łagodnem spojrzeniu, szerokiem czole mężczyzna. Owal jego twarzy okrywała broda, jak śnieg biała, pod orlim nosem wąs delikatny, jedwabisty.

Zobaczył wchodzącą Urszulę, uśmiechnął się rad i mówił:

— Zaraz, zaraz, tylko dokończę, rachował szybko półgłosem.

Urszula siadła, wpatrując się z upodobaniem w sympatyczną twarz, zdradzającą dużo energii, odwagi i męskiej dzielności...

— Skończyłem, zawołał, rzucił pióro i powstał. Szanowną koleżankę witam! Co sprowadza poetkę życia do tej nory cyfr, procentów i pieniędzy?

— Piękna mi nora, odparła Urszula, podając rękę do uścisku. Nie uwierzysz, dyrektorze, z czem przychodzę.

— Z podpisanym wekslem. Z czemżeby do starego i kasy, mości dobrodzieju?

— Nie zgadłeś, przychodzę do kasy z pieniędzmi!

— I nie wydałaś ich pani po drodze, moćdzieju, a to ciekawe!

— Czekaj, dziecko, dopiero je tu wydam.

Urszula wszystkich przyjaciół, których lubiła, nazywała dziećmi.

— Dochowałaś się miłego gagatka.

Urszula położyła pakiet tysiącguldenowych papierów na stole

— Tyle, zawołał dyrektor, skąd, jak?

— Powinno tu być za rok pół miliona, lecz mnie oszukano podstępem.

— Skarżyć — zawołał, licząc szybko.

— Wszystko się stało legalnie. Zrabowano mnie prawnie.

— Pięćdziesiąt tysięcy! Ależ to grosz! Więc co się stało?

— Sprzedałam dziesięć procentów na całą kopalnię w Swobodzie za nędzne sześćdziesiąt tysięcy. Dziesięć zatrzymuję w domu na drobne wydatki. Jestem skończona idyotka, jeden szyb daje dziś dwa tysiące dziennie. Miejsca jest na pięćdziesiąt szybów, a może na sto.

— Już wiem — pan Edward brał tydzień temu sześćdziesiąt tysięcy, niezawodnie dla panny Urszuli. Wczoraj opowiadał mi cuda o kopalni i dochodach swych.

— Wszystko prawda! Ma pięćdziesiąt procentów brutto.

— Obdziera bogactwo narodowe.

— Obdziera, zawołała Urszula. Z jego bogactw dla kraju ani centa, ani okruszyny — nic!...

— Jak mógł przedsiębiorca podpisać taki kontrakt?

— Musiał, przysięgam ci, musiał!... Serce, uczucie, miłość...

Dyrektor machnął ręką na znak, że stare panny do wszystkich spraw tego świata mieszają serce, uczucie, miłość...

— Ależ to prawda!...

— Dajmy na to, moćdzieju. Skąd pani, panno Urszulo, przyszłaś w posiadanie dziesięciu procentów na całą kopalnię?!

— Przedsiębiorca, synowiec mojej dalekiej krewnej, dzielny chłopiec, całą duszą nasz, wychowany w Anglii...

— I mówi po angielsku!?

— Jak anglik! Gdy jeszcze nie zaczął kopać, dałam mu połowę mego majątku na ryzyko. Sam dziesięć procentów naznaczył, wygrałam, i oszukano mnie, jak naiwną w starej komedyi francuskiej

— Nic nie mówiąc o miłości...

— Ani słowa.

Zaczęli się oboje śmiać.

— Znasz pani kopalnię?

— Wczoraj wróciłam. Jeżeli nie zbudują rurociągów i rezerwoaru czyli magazynu, to niedługo nie będą w stanie przewieźć wydobytej ropy. Zabraknie fur i koni. Czy to nie grzech?...

— Pewno, a kraj nie ma kredytu na rzeczy przemysłowe. Banki nasze rzną wekslówkę, jak Żydzi na Wałowej... O przemyśle krajowym wiedzą tyle, co ja o romansach francuskich, obchodzi on ich tyle, co zeszłoroczny śnieg.

— Więc cóż ich obchodzi?

— Karyera, moćdzieju, i siedem procentów od weksli. Żyją karyerą i wekslami drobnymi, jak manną, jak rosą niebieską, jak deszczem w maju. I moja kasa również rznie wekslówkę i umieszcza kapitały na ziemi szlacheckiej — i to cała parada, dalej ani rusz — nie wolno.

— Kasa twoja, tyś tu pan, rób, co się da, dla dobra przemysłu.

— To też robię, co mogę, i ile się da, że nieraz skóra na mnie cierpnie!... Ale, myślę sobie, jedno życie, trzeba coś po sobie zostawić.

— Tak, tak, prawda...

— I dotąd jakoś mi się udaje. Ale mogę beknąć!...

— Nie bekniesz, tylko śmiało! Wszyscy ten biedny kraj obdzierają, a nikt mu ręki nie podaje, nikt go nie dźwiga!...

Siwowłosy starzec, w ruchach i energii młodzieniec, zaśmiał się wesoło.

— Oj te kobiety, kobiety kusicielki. Cóż mam zrobić z tymi pięćdziesięcioma papierami?

— Ośm książeczek na załączony spis instytucyi po tysiąc, a na szkołę ludową dwa — to razem dziesięć tysięcy — czterdzieści dopisać w mojej.

Dyrektor rzucił okiem na podany spis.

— Dźwigasz najuboższe i najpotrzebniejsze nasze, walczące, Bóg ci zapłać.

Pocałował Urszulę w rękę.

— Za co mnie całujesz? Przecież to moja sprawa.

— A moja nie?...

Służący wszedł na palcach, podając list dyrektorowi.

— Kto przyniósł?

— Młody człowiek — czeka.

— Zabierz pani pieniądze i przez salę prosto idź do buchaltera, pieniądze weźmie, książeczki wyda, i wracaj do mnie tą samą drogą.

Szybko się w kasie załatwiono z przyjaciółką dyrektora, pieniądze wzięto, książeczki wydano. Wracając z pustej sali posiedzeń, przez uchylone drzwi od kancelaryi zobaczyła bladego o zmęczonej twarzy młodzieńca. Stał zakłopotany, z oczu wyglądały mu strach i niedola.

— Bo co pan będziesz u mnie w kasie robił? Trzydzieści guldenów na miesiąc.

— To suma, szepnął, dla tego, co ma całego majątku: trzydzieści centów.

Urszula drgnęła, przysunęła sią do drzwi, wyjmując piętnaście guldenów—słuchała.

— Szkoda pana marnować na dyurnistę o trzydziestu papierkach na miesiąc.

— Głód silniej i szybciej marnuje.

— Przyjaciel mój bardzo serdecznie o panu pisze. Czem pan byłeś?

— Kupcem ze skończoną szkołą handlową.

— Subjektem!...

— W handlu win i korzeni.

— I dlaczego rzuciłeś kupiectwo?

Milczał.

— Odpowiadaj.

Urszula wytężyła słuch.

— Koledzy mnie wygryźli.

— Domyślam się, nie chciałeś razem z nimi do spółki trzymać, czyli, po galicyjsku, manipulować.

Młodzieniec pochylił głowę i milczał, nie chcąc oskarżać kolegów.

— Dlaczego nie pracujesz w swoim zawodzie?..

— Nie mam rekomendacyi. Wydalono mnie!...

Dyrektor znowu rzucił okiem na list.

— Otwórz sklep na siebie.

Młody człowiek smutno się uśmiechnął.

— Z trzydziestoma centami kapitału, szepnął.

— Tak, prawda, lecz możesz pożyczyć.

— Nie znam nikogo z możnych.

— Nikogo, powtórzył dyrektor, nikogo, moćdzieju. Mnie znasz, pożycz odemnie.

— Pan dyrektor żartuje sobie?!

— Z biedaków żartów się nie stroi. Zaczekaj, siadł przy biurku — pisał.

— Wiele potrzebujesz na początek?...

— Żeby skromnie zacząć, trzy tysiące.

— Ale cóż ty zrobisz z trzema?... Daję pięć, żebyś zaczynał uczciwie i śmiało.

Urszula cicho wsunęła się do kancelaryi.

— Oto skrypt, dłużny na pięć tysięcy guldenów, podpisz go a to kwit do kasy. Spłacaj przez sześć lat po pięćset rocznie, a ostatnie dwa po tysiąc....

— Panie dyrek.... nie mógł mówić, głos mu zamierał w gardle.

— Wiem, co chcesz powiedzieć. — Słuchaj: Skonam, a oddam! To jest napisane na twojem czole. Wierzę ci i wierzę listowi przyjaciela. Do tego jesteś młody, zdrów, a w oczach spryt i energia. Trzeba handel krajowy brać we własne ręce. A kto go weźmie? Ja nie, bo jestem dyrektorem, zbankrutowany szlachcic także nie, bo on całe życie chwytał sprawy życia przez palce faktorów i ekonomów. Panna Urszula, urodzona z hrabianki, mająca w jednej kasie pięćdziesiąt tysięcy, arystokratka.

— Cicho! zawołała Urszula, pochwyciła ze stołu kwit do kasy i, kładąc go w rękę młodzieńca, powiedziała: Gdy będziesz potrzebował bieżącej gotówki, masz u mnie zawsze na zawołanie tysiąc guldenów. Przychodź i bierz...

— Patrzcie, te stare panny, odezwał się wesoło dyrektor, wszędzie muszą kłaść serce i trzy grosze.

Młodzieniec, drżąc ze wzruszenia, całował rękę Urszuli, a potem przypadł do ręki dyrektora, a gdy się ten bronił:

— Niech całuje, zawołała Urszula, ręka ta robi ludzi, a więc daje wszystko, co dać można, chociaż nieraz głowę kładzie pod ewangelię.

— Za mnie jej nie położy, zawołał wzruszony młodzieniec i, tamując chustką łzy, wydobywające się z oczu, wybiegł...

Dyrektor i Urszula stali, zapatrzeni w siebie.

— I dużo w roku miewasz takich dobrych chwil, jak ta? spytała.

— Jak Bóg da, a nie zawsze są dobre. Czasem się wściekle sparzę, ale takich, jak ten, co na ludzi wyszli, w samym Lwowie powinno być więcej, niż stupięćdzięsięciu.

— Stopięćdziesiąt, a ja nie miałam w całem życiu dwudziestu. Ale bo i nie mam milionowej kasy.

— A pomyśl pani, moćdzieju, wielu się uratowało od ruiny, od bankructwa, od upadku, nędzy, zbrodni... Lwów i prowincya mogą coś o tem powiedzieć — i, choć dam głowę pod ewangelię, to, co zrobiło, zostanie w kraju na lata. Wnuki tych, których dziadów się dźwigało, nie będą wiedzieć o tem, ale siła zamożności i zdrowie będzie w nich tkwić i rodzić owoce.

— Rozumiemy, powtórzyła uroczyście Urszula, wyciągając rękę. Głowy nie położysz pod ewangelię, mieszczanie pomnik ci postawią — naród to wdzięczny!...

— Chcąc na pomnik zasłużyć, trzeba samemu moc pomników stawiać trwałych. A więc mówisz pani, że w Swobodzie ropa wielka?...

— To nie ropa, ale miliony. Ratuj je!

— Zobaczę. W niedzielę jedźmy tam. Muszę przecie poznać nowe bogactwa i nowego Anglika.

ROŹDZIAŁ IX.

Swoboda .....

Maryniu moja!

„Ciągle mnie wznosisz do się, różo złota,
Zawsze widziana w przededniu żywota“...

ducha mojego...

Każdą nowo rodzącą się myśl pragnę w jej zaraniu nieść tobie, jeszcze pachnącą świeżością i niepokalaniem, nie zatrutą krytycyzmem, nie zeszpeconą zwątpieniem, dziewiczą, wychylającą się nieśmiało, ciekawie z zwojów mego mózgu.

Samotność już mnie wyczerpała, praca zmęczyła, tęsknota zwycięża. Tęsknię za tobą, pragnę cię mieć, pragnę patrzeć na ciebie, słuchać muzyki twego głosu, upajać się twą szczerością, przędzą twych myśli, któremi czynisz mnie lepszym i silniejszym!... więc rzuć lwowskie mrowisko i stań przede mną, piękna i młoda, z odwagą i siłą, z uśmiechem dobroci na ustach i głębią, pełną przeczuć, w ciemnych szafirach twych oczu.

„Przyjdź! A zawsze jedną tę serdeczną ranę przyciśniesz w piersi rękami obiema". Nikt nie ma prawa więcej ode mnie wymagać nad to, co dać mogę, nad to, co jestem w stanie. Nikt nie ma prawa wymagać ofiar odemnie nad me siły — nawet Ty!... Przyjdź więc, połóż rękę na mem ramieniu i powiedz: jestem. Pochylę się, obejmę twe kolana i cichy, pokorny, wdzięczny całować je będę, bo mi się zdawać będzie, że duszę mą zwracasz.

Oddaj mi duszę moją! A ponieważ schowałaś ją w głębiach serca swego — przynieś serce, ja ją odnajdę... Maryniu droga! Światło oczu moich, pieśni serca mego, wysłuchaj mnie! Maryniu moja słoneczna i czysta, zmiłuj się nademną. Z tobą zawsze silny i dobry, czując w sobie radość, będę ją dla innych tworzył, rękami ją łamał, jak chleb, i naokół ludziom rozdawał.

Ty rozdajesz je bezemnie, lecz teraz razem ją będziemy dawać, powiedziało dziewczę z siłą spokoju, kładąc list...

A więc stało się, wzywa mnie, prosi, pragnie, chce! Nikt nie ma prawa w imię żadnych spraw, form, skrupułów, a nawet idei zakazać mu tego.

— Na co ja mam czekać?

Spojrzała na portret matki.

— Wielkie oczy, owal Madonny, smutny uśmiech dobroci, zdaje się, że mówią mi: idź!... Matko, szepnęła, — pójdę. Tobie jednej wolno sądzić i wyrok na mnie wydawać; ojciec pocieszy się milionami!

Wzruszona stanęła na łóżku, podniosła się na palcach i pocałowała wązkie, długie czoło matki.

— Pójdę, kiedy się nie gniewasz, pójdę, kiedy pozwalasz... Nieraz, gdy jeszcze byłam dzieckiem, mówiłaś mi: „Pragnę dożyć tej chwili, kiedy obie, serdeczne przyjaciółki, będziemy żyć bez tajemnic dla siebie, jak bratnie dwie dusze"...

— Gdybyś dożyła, nie byłoby dziś już tajemnic, wiedziałabyś, kto on, znałabyś go, kochała i powiedziałabyś: — idź!

Dla ciebie Słowacki był geniuszem i kochankiem, to i jego pokochałabyś tyle, ile mnie, bo my oboje z rodu twego serca. Ty go pewno już kochasz, matulu moja.

Słuchała jakby odpowiedzi matki.

— Ha, wzywa mnie, więc pójdę, jako konieczność! Przecież nie jestem tyle nikczemna, aby go bałamucić dla przyjemności bałamucenia! Wzruszyła ramionami. Heterą, zabijającą serca ludzkie, nie jestem! Na taką rolę mnie nie stać. — I nie wiem nawet sama, skąd mi przyszły do głowy podobne myśli — dziś w tak uroczystą chwilę mego życia?...

Nareszcie jego będę. Pragnie patrzeć w me oczy i myśleć przy mnie głośno! Ja myśli te będę zbierać, jedne posyłać w góry i kryć w świerkowych lasach, drugie więzić w mej pamięci lub notować. Niech żyją żywe, świeże, pełne uroków jego natchnień...

Idę — matko, jeszcze się z tobą pożegnam, dziś tylko mnie pobłogosław na szczęśliwe postanowienie.

Zadzwoniła, każąc zajechać koniom, list wsunęła do pularesu, pojechała do ciotki.

Urszula, wzruszona wizytą u dyrektora, rozpromieniona, chodziła energicznie po saloniku z założonemi poza siebie rękoma.

Weszła Marya, wyciągnęła ręce.

— Przychodzisz w najlepszą porę. Gdybym się nie bała twego ojca, samabym wpadła do ciebie.

— Pojechał dziś rano, wezwany telegramem do Wiednia.

— Tem lepiej!...

— Ciociu, padła na kanapkę, zamknęła oczy i wyszeptała: wzywa mnie!

— Wybornie, pojedziemy razem.

Podała jej list Tadeusza.

Urszula czytała powoli.

— Rozumiem Tadeusza i cenię — rzekła spokojnie. Nikt nie ma prawa zmuszać go do gwałcenia swych uczuć. Jeżeli się kochacie i dla przyszłości waszej chcecie się połączyć, czy jest jakakolwiek siła, którаby was mogła rozdzielić?!... Jeżeli wy tego chcecie serdecznie, Bóg wam błogosławi.

Ojciec twój ma inne zamiary, lecz ojciec to nie Bóg. Ojciec chce cię pewno sprzedać swej próżności, swemu egoizmowi, swoim interesom. Lecz ty, na Boga, nie jesteś na sprzedaż i sama masz prawo decydować o swym losie. Próżność szlachcica szepcze mu: sprzedaj ją za tytuł galicyjskiego hrabiego, abyś został ojcem hrabiny.

Egoizm mówi mu: sprzedaj ją jednej z rządzących rodzin w Galicyi, to i ty będziesz miał udział w rządzie. Panować, jakże miło— a przytem jakże łatwo robić dobre interesy przy jego sprycie geszefciarskim.

Pochyliła się nad Marynią, rozgarnęła jej włosy na czole i pocałowała.

— Błogosławi ci twoja matka z nieba. Często mi powtarzała... Niech dziecko moje wychowa Słowacki, a ty mu dobierz do tego wychowania męża. Nie będzie ona po światowemu szczęśliwa, lecz za to życiem swem będzie bliżej mnie.

Dziewczę wyciągnęło ku niej ręce...

— Chwila stanowcza nadeszła, mówiła dalej Urszula, trzeba raz postawić nogę na drugiej połowie życia. Dziś posyłam trzeciego do nich nafciarza — dzielny, optymistyczna natura, nie boi się pracy... Tadeusz będzie mógł pojechać z tobą do Węgier wziąć ślub. O wszystkiem pamiętam — tylko śmiało! ..

— Boję się, żeby sobie nie pomyślał, że mu się narzucam i przestał mnie kochać, szepnęła Marya.

— Dziecko, przecież on wzywa i błaga.

— Może nie powinnam zaraz lecieć...

— Przesądy, jakież to wielkie olbrzymy, zawsze światło prawdy zasłaniają!...

— Pójdę, przerwała z siłą...

W tej chwili dał się słyszeć dzwonek telefonu.

— Coś nowego, zawołała Urszula, odzwoniła, przyłożyła słuchawki do uszów, zawołała:

— Halo! kto tam, jestem — czego?

— Zaraz, co za gorączka — moćdzieju.

— To ty, dyrektorze!

— To ja i, jako ja, jutro mogę jechać do Swobody. Radbym pojechać z panią, proszę o odpowiedź.

— Doskonale, pojedziemy. Zatelegrafuję po konie i do widzenia jutro o ósmej rano na dworcu.

— Dobrze: do widzenia.

Urszula zwróciła się do Maryni.

— Wiesz, co to znaczy?

— Skądże mam wiedzieć?

— To znaczy, że jutro jedzie z nami do Swobody milion, jako pożyczka! Rozumiesz, co to znaczy, milion pożyczki. Ja to zrobiłam. Tadeusz uratowany, bogactwo narodowe dźwignięte. Jakżem dumna, ja to zrobiłam.

Podchwyciła Marynię w pół, podniosła i pocałowała w usta.

— No, i ty jesteś uratowana. Tatunio twój, gdy zobaczy milion pożyczki, zmięknie, rozczuli się i przyciśnie was do ojcowskiego pełnego miłości serca. Spółka spółką, a wykradzenie córki wykradzeniem. A nawet ty wykradasz. Ha-ha, to dobre, będziesz głośna w całej Galicyi, będziesz miała sławę, a do tego miliony, i co ci zrobią?!..

Maryni łzy popłynęły z oczu; milczała przerażona, smutna, złamana.

— A gdzież się podziała twoja odwaga, twoja dzielność, twój hart duszy?

— Boję się, nie wiem czego? Milionowych pożyczek, siebie samej, boję się o niego. Czemuż to ludzie w ciszy i spokoju nie oddają się miłości i szczęściu?...

— Doszliśmy do kresu! Moja Marynia marzy o cichem szczęściu urzędnika — i chce zamienić Tadeusza w pocztowego oficyała, aby chodził co rano do biura, wracał o trzeciej, jadł obiad, spał, a wieczorkiem pod rękę z magnifiką maszerował do jezuickiego ogrodu.

— Dosyć, zmiłuj się, ciociu, dosyć.

Zadzwoniono silnie.

— Schodzą się na posiedzenie. Przejdź do mej sypialni i przez przedpokój wracaj do siebie. Odpocznij, wyśpij się, jutro o ósmej na dworcu... Nerwy grają, z ekstazy wpadają w omdlenie, lecz dzielność twej matki zwycięży! Padła, a nie dała się złamać. Taką ty jesteś, moje dziecko... Do widzenia, ja lecę do pracy... Gotów-

ki troszkę jest, a zatem i wielkie projekta podnoszą łby i ździwione wytrzeszczają oczy!...

Schodzącemu dziewczęciu jakaś błyskawica, zrodzona w głębiach serca, oświeciła mózg, zdusiła ją w gardle i dreszczem wstrząsnęła organizm.

Stanęła przerażona, blada. Błyskawica mózgu oświeciła przyszłość. Zobaczyła przepaść, w którą sama popchnęła Tadeusza... Zrozumiała odrazu wszystko: ojciec zabiera połowę dochodu, a druga nie wystarczy na pokrycie milionowego długu.

— Ruina, krzyknęła, zbiegła ze schodów, skoczyła do powozu.

— Matka mnie ostrzegła, powtarzała, jadąc do domu. Za jej łaską w świetle błyskawicy zobaczyłam przyszłość... Idę do niego!.. Niech nas ojciec wypędzi, zabierze wszystko, znajdziemy pracę i kawałek chleba. Kopalnia pójdzie sama dalej. Idę do niego, stanę przy nim, i żadna siła nie oderwie mnie od niego... Idę i chcę, aby nas ojciec wypędził, — pójdziemy wypędzeni z piekła do naszego raju! Praca się wszędzie znajdzie, praca o szerokich widnokręgach.

Weszła po cichu do swego pokoju.

— A więc jutro on mój. Mój Boże, już jutro na zawsze, na całe życie, na wieki!.. To *na wieki* to straszne!...

Spojrzała na portret matki.

— Na wieki i z tobą się połączę, i będzie nam we troje dobrze. Będziemy patrzeć na świat i zsyłać dobrym ludziom błyskawice myśli.

Skoczyła na krawędź łóżka i pocałowała usta matki.

— Uśmiechasz się, zdaje mi się, że jesteś ze mnie rada... Wybierajmy się, tak już postanowione.

Otworzyła biurko, ze skrytki wyjęła listy Tadeusza, układając je w jeden pakiet.

— Są to skarby, których nie mogą ukraść mieczowi złodzieje!... A to oszczędności mej matuli, które mi ciotka Urszula wręczyła. Liczyła listy zastawne i doliczyła się szesnastu sztuk, po sto guldenów.

— Myślałam, że, gdy dojdę procentamii oszczędnością do trzydziestu sztuk, zrobię niemi coś nadzwyczajnego. A teraz to może cały mój majątek. Nie, nie cały, kolczyki brylantowe po stryjence, mówią, że warte dwa tysiące, zegarek tysiąc i bransoleta od ojca na imieniny tysiąc, razem pięć tysięcy sześćset. Ho, ho, jestem bogata— i na początek damy sobie radę. Wieleż to rówieśniczek moich nie ma takiego posagu!

Listy zastawne i listy Tadeusza włożyła do torebki irchowej, zawiesiła ją na piersiach, kolczyki włożyła do uszu, bransoletę zapięła na ręku, łańcuszek z zegarkiem przewiesiła przez szyję, przejrzała się, zarzuciła płaszczyk, kapelusz przypięła do włosów, była gotowa...

— Nic, nic więcej nie biorę!... Pokoiku mój, wypełniony memi myślami, mój wierny milczący towarzyszu, żegnam cię!

Spojrzała na portret matki i rozpłakała się.

— Sierota twoja, matulu, nie wiele na drogę życia zabiera. Ciebie odda mi ojciec lub go odbierze dla mnie Urszula.

Pukanie do drzwi wstrząsnęło nią.

— Kto? zapytała nerwowo...

— Proszę jaśnie panienki, waza na stole.

— Idę! To przecie jeszcze nie teraz i nie dziś! uśmiechnęła się, otarła oczy, zdjęła kapelusz i okrycie, kolczyki wyjęła z uszu, przygładziła włosy i, robiąc dobrą, minę wyszła.

Przy stole rozmawiała z Koczalską.

— Jutro rano ciotka Urszula zabiera mnie do Zimnej wody na cały dzień. Wrócę o 11-ej w nocy.

— Wiesz, jak ojciec nie lubi ciotki Urszuli.

— Raczej boi się jej.

— To wszystko jedno. Burza spadnie na moją głowę, jeśli jutro wcześniej od ciebie wróci.

— Tyle już ich spadało i nie zrobiły ci żadnej szkody...

— Nie masz serca, zwykle sama sprowadzasz burze. Ojciec boi się ciebie, i wszystko na mnie spada, jak gdyby chciał wzbudzać w tobie litość, i przez litość dla mnie wstrzymywać cię od robienia tego, czego nie chce. Los mój litości w tobie nie wzbudza, a burze nad moją głową wzmagają się.

— Droga, kochana Koczalsiu, nie mogę być niewolnicą litości mojej nad tobą!...

— Jedź, gdy ojciec wróci.

— A jak nie przyjedzie!? Pojadę i, żeby zażegnać burzę, napiszę, że mimo próśb i błagań Koczalsi pojechałam.

Koczalska ukradkiem oczy otarła.

— Wiesz, że zawsze robisz ze mną, co chcesz.

— A i ty dobrze wiesz, że się nigdy z sobą nie rozstaniemy. Gdy zamąż pójdę, przeniesiesz się do mego domu, oddam ci gospodarstwo, i nigdy burze nad twoją głową nie będą przeciągać.

— Twój mąż?

— Mój mąż będzie ci wdzięczny za mnie... Mój mąż jest człowiekiem wykwintnie wychowanym, o delikatnych uczuciach i dobrem sercu.

— Znasz go?

— Jakże chcesz, żebym przyszłego mego męża nie znała?...

— Maryniu, bój się Boga, cóż twój ojciec na to?

— Już się boisz, a to jego kandydat.

— Żartujesz, kandydat twego ojca musi być odmienny od twego.

— Wybornie, powiem mu to.

— Nie zrobisz tego, uciekłabym z domu.

— Nie obawiaj się, mój wybrany musi się wam wszystkim podobać, nawet ojcu.

— Jeżeli tak, to jestem pewna, żeś go jeszcze nie wybrała, i oddycham.

Złożyła ręce, jak do modlitwy.

Wstały od stołu. Marynia pocałowała wystraszoną Koczalską i pogłaskała ją po twarzy.

ROZDZIAŁ X.

O godzinie siódmej rano konie pana Edwarda odwiozły Marynię do mieszkania ciotki Urszuli.

— Jesteś, moje dziecko! radość rozsadza mi płuca! Zdecydowałaś się! Co za rozkosz walczyć za tego, kogo się kocha, być zawsze z nim! Niech myśli jego głośno płyną przy tobie, on tak poczciwie myśli, a ty będziesz wiązać je na nitkę twej miłości i wykołysanych miłością uczuć. Mam łzy w oczach i poetyzuję, ja stara, zahartowana w walkach i udręczeniach. Nie płacz, dziecko, ojciec w tydzień do was przyjdzie, da się przeprosić i ciebie przeprosi.

— Boję się, szepnęła, kryjąc twarz wśród cichych łkań w ramionach Urszuli. Boję się przyszłości i boję się, czy nie będę mu kulą u nóg.

— Kulą u nóg zawołała Urszula. Ty będziesz jego gwiazdą wśród ciemnej nocy i jego natchnieniem. Czuję, że nadto dziś jestem patetyczna i wzruszona. Boję się bicia serca, a tu trzeba mieć głowę na karku, pomagać Tadeuszowi, umizgać się do dyrektora.

Rozśmiała się, otarła oczy — wyszły. Służąca niosła za niemi kuferek.

— Cóżeś zabrała, spytała po francusku Urszula.

— Najpotrzebniejszą bieliznę i to, co jest absolutnie moją własnością. Z oszczędności listy zastawne od mamy, które mi dałaś.

— Wybornie! szlachcice z wschodniej Galicyi są tak czasami zawzięci, że gotowi skarżyć własne dzieci.

Wsiadły do dorożki, pędząc przez puste ulice na dworzec.

— Ruch, energia wzmacnia mnie, już nie wrócę do sentymentalizmu szepnęła Marynia.

— Ach! ten sentymentalizm, deklamowała Urszula, to syn próżniactwa, niedołęstwa i egoizmu. Kwili i płacze, lecz nic nie daje rzetelnego.

— Czuję w sobie myśl słoneczną, jasną, silną...

— Spełniaj ją, dziecko, całe życie, bo przez nią będziesz się zbliżać do twej świętej matki, a zabliźniać ranę serca Tadeusza. Jakiż on ma czar poezyi żywej w sobie! zawołała. Gdyby nie moje czterdzieści osiem lat, kochałabym się w nim na zabój.

Stanęły przed dworcem.

— Cieszę się, moćdzieju, żem raz w życiu wyprzedził pannę Urszulę, zawołał, wysuwając się na powitanie, dyrektor. A to co za zjawisko?!

— Córka pana Edwarda, dziecko mej rodzonej siostry.

— Wykapana matka, tylko silniejsza, roślejsza. Czy z nami?

Marynia nieznacznie pociągnęła za suknię Urszulę.

— Z nami, pragnie zobaczyć bogactwa swego ojca i jej.

— Dzięki dziwnej nieprzezorności przedsiębiorcy — istotnie są wielkie. Tatuś dobrze zabezpieczył posag córeczce.

— A jeżeli to narzeczona przedsiębiorcy — nieprzezorność jego upada.

— Moćdzieju, ginie, jak kamfora. Jeżeli tak, to nawet młodzieniec ten zdradza dużo rozumu stanu.

Zarumieniona Marynia milczała.

— Dyrektorze, dziewczyna mówi po angielsku, jak gdyby była chowana w Londynie.

— Tak! zawołał uradowany. W języku tym robiłem się człowiekiem, nauczyłem się pracować i jakże go nie mam kochać?!..

— Trzeba, go dobrze znać, żeby odczuć w nim wszystkie piękności, dodała Marynia.

— Trzeba, aby młodość życia przechodziła w jego otoczeniu, aby w tym języku wymawiało się wyrazy pierwszej miłości! Wtedy się go kocha i tęskni za nim, jak za młodością.

— Za cztery minuty pociąg odchodzi—zawołała Urszula, a wy rozprawiacie o miłości w języku angielskim.

Dyrektor wykwintny wobec dam podał rękę Urszuli.

— Jej podaj, wskazała na Maryę, ja się zajmę biletami, śpieszcie się...

Naczelnik stacyi salutował na powitanie dyrektora, jego pomocnik otworzył drzwi do wagonn. Marynia czuła, że ją prowadzi najpopularniejsza postać w mieście. Czuła jej wpływ i siłę...

Pociąg ruszył, dziewczę zasypywało towarzysza swego pytaniami o Anglii i Anglikach. Rad, że się mógł ugadać i pieścić ucho językiem swej młodości, opowiadał z właściwem sobie zacięciem i werwą. Czas leciał, nerwy Maryni musiały milczeć, uwaga pracować, uszy słuchać — uspokoiła się.

Kołomyja! Na stacyi czekał wózek ze Swobody. Dyrektor poszedł zamówić śniadanie, Marya posłała Mazura, aby wynajął powóz.

— A to się dopiero nasz panicz ucieszy, mówił Mazur, gdy ujrzy swą panienkę... Dobrze się u nas dzieje, ropa w drugim szybie już się pokazuje, a w pierwszym idzie ciągiem.

— Kozioł tak urządź, przerwała, żebym mogła sama powozić.

Gdy zajechał, zajęła miejsce Mazura, wzięła w ręce lejce.

Dyrektor protestował, nie chciał siadać.

— Dziewczyna wychowanie odebrała angielskie, lubi powozić i umie powozić. Zresztą, nie chce nam przeszkadzać w flircie, nie domyślasz się?

Urszula się śmiała.

— Ach, to wychowanie angielskie pełne siły, zręczności, prostoty i delikatności, moćdzieju, zawołał dyrektor, siadając przy Urszuli.

Marynia lekko uderzyła konie lejcami — ruszyły. Przejechali miasto, mijając długi szereg wozów, wyładowanych beczkami ropy.

— Dużo dziennie beczek? spytał jednego z chłopów, siedzących na wozie.

— Mądry będzie ten, kto zliczy, rzekł chłop. W kancelaryi wszystkie zapisane.

Odpowiedź ta dobrze podziałała na dyrektora, wysilał się na anegdoty, żartował z Urszulą, a dziewczę, gnane uczuciami serca, pędziło, prowadząc konie, jak dzieci.

— Panienka ci powozi, rzekł Mazur, jakby jaki forśpan od jakiego księcia, a konie lecą, jakby miarkowały, kogo wiozą. Ten, co leci do radości, tomu pilno. Hej! z drogi—wołał na zastępujące wozy.

Urszula zbliżyła usta do ucha dyrektora.

— Domyślasz się, dlaczego tak pędzi — wskazała oczyma na Marynię.

— Jak mi pani powiedziałaś, nie jestem idyotą.

— Ale się nie domyślasz jeszcze jednej rzeczy.

— Nie jestem znowu Panem Bogiem.

— Porzuciła ojcowski dom i......

— O — o — tu się zaczyna dramat.

— Pewno dziś pojedziemy na Węgry do Sasów wziąć ślub.... Mam przy sobie kilka tysięcy guldenów i listy rekomendacyjne...

— To dobrze na Węgrzech popiera sprawę, pan Edward prototyp dorobkiewicza szlacheckiego z wschodniej Galicyi, pewno będzie szalał z wściekłości. Jednym zamachem krzyżujecie mu wszystkie plany, rozbijacie marzenia. Niezawodnie już widział w swych snach córkę, jako żonę wielkorządcy, rezydującą „pod Kawkami". A tu fatalizm chciał inaczej, dziewczyna szuka, moćdzieju, innego losu — gardzi „kawkami" i tem podobnem ptactwem.

— Warta losu, jaki ją czeka, rzekła Urszula.

— Ten nafciarz musi być osobliwy?

— Nadzwyczajny!!..

— Pewno oświadczył się po angielsku!...

— Zdaje się, że oczy ich i serca mówiły za nich.

— Oczy, moćdzieju! Czemuż moje straciły ogień, dopierobym ognie ciskał w serce panny Urszuli.

— Ależ takie, jakie masz, wystarczą dla mnie....

Śmiali się, w wybornych humorach.

— I pani się nie boisz zemsty pana Edwarda?

— Mam ja z czwaniem [1]) rachunki, ostatni za zrabowanie mi dziesięciu procentów. Patrz, wskazała ręką.

Za chwilkę mijali drugi transport stu wozów, wyładowanych beczkami.

— A trzeci daleko? rzucił pytanie dyrektor.

— Bieryt ropu, odpowiedzieli Rusini.

— I to dwa razy dziennie obracają, dodała Urszula.

— Przerażająca strata czasu i pieniędzy, szepnął dyrektor.

— A teraz wierzysz, że mnie szwagierek naciągnął może i na pół miliona.

— Zaczynam!

---

[1]) Czwanio od czwany lis.

— I nie szkoda zmarnowanych pieniędzy? Coby można za nie zrobić, gdy w kieszeni czwania będą spać albo jeszcze gorzej! gdy o tem pomyślę, mam ochotę palce gryźć.

— Wielka byłaby szkoda tłuściutkich paluszków.

— Nieprawdaż? lecz nie są tłuste, a twarde i silne.

Po minięciu drugiego transportu Marynia popuściła lejce, konie, biegiem rozpalone, rwały do domu.

— Widzi panienka drugą wieżę, a teraz trzecią. Za niecały kwadrans jesteśmy, no, i okrutna uciecha dla naszego dyrektora.

Strach opanował dziewczę, przerażenie i tajony wstyd. Chciała zawrócić i uciekać, zwolniła bieg koni i blada, zamyślona, jechała stępo...

— Dlaczego tak powoli, spytała Urszula.

— Bo rzeka blizko, odparł Mazur, a panienka nie chce podpalić koni, siarczyście są zgrzane.

Marynia podziękowała wzrokiem Mazurowi.

— Jak ja Tadziowi w oczy spojrzę, myślała. Wolałabym skryć się pod ziemię. Żebym była sama, zamrużyłabym oczy, twarz przytuliła do jego piersi...

— Panienko, może stanąć i dać koniom wypocząć? wytrę je słomą...

Rada zatrzymała konie.

— Zanadto serduszko, moćdzieju, galopowało i czekać musi Jeszcze dojedziemy na czas!...

— Czy nie zawcześnie? chciała powiedzieć, lecz się nawet nie obejrzała, bojąc się ciekawych oczu dyrektora.

— Teraz to już jedźmy z Panem Bogiem wolniuśko, rzekł Mazur, siadając na kozioł.

Nie było rady, należało ruszyć, wtoczyć się do kamienistej rzeczki, przejechać ją i wyciągniętym kłusem dopaść do kancelaryi.

Tadeusz czekał przed gankiem, blady i uroczysty, rad, a roztargniony...

Urszula swą wesołością przywróciła odrazu równowagę. Dyrektor zrobił na młodym człowieku silne, pociągające wrażenie — przywitali się serdecznie.

Marynia, wyciągając ręce, zeskoczyła z kozła. Tadeusz ujął je i w milczeniu przycisnął do ust.

Nie zamienili z sobą ani jednego wyrazu.

— Najprzód my o interesach, moćdzieju, odezwał się dyrektor, a potem niech idą dzieje stare, jak świat, zawsze urocze, jak wiosna, młodością i świeżością uczuć.

— I zawsze nowe, dodała Urszula, lecz interesa pierwsze—zwróciła się do Tadeusza.

— Masz śniadanie?

— Gotowe.

— Chodźmy, a wam, panowie, pozwalam rozgadać się po angielsku i nacieszyć się tym dzikim językiem.

— Dziękujemy pani. Jak długo bawiłeś pan w Anglii? zapytał dyrektor Tadeusza już po angielsku.

— Dziesięć lat, od piętnastego roku życia.

— To można było ducha polskiego okryć skórą angielską. Ja z dwoma nawrotami i dłużej. To też wpływ kultury angielskiej wycisnął na mnie dołki, jak palce w mokrej glinie. Rozmowa potoczyła się wesoło. Zdawało im się, że są w Anglii, mimowoli przybierali ruchy Anglików.

— Maryniu, odgrywaj rolę gospodyni, rzekła uroczyście Urszula.

Dziewczyna zbudzona zarumieniła się, chciała wstać, nie mogła, ukryła twarz w dłonie, milczała. Rozgadani nowi przyjaciele nie spostrzegli tego, Tadeusz rozkoszował się w swych wspomnieniach, dyrektor swoje wydobywał.

— Wypij herbatę, i chodźmy się przejść, szepnęła Urszula, trzeba ich zostawić samych. Pokochają się, a miłość tych dzielnych ludzi może odrodzić nasz przemysł.

Wyszły, zasłoniły ich dęby, Marynia przytuliła się do ciotki.

— Zdaje mi się, że jestem tutaj zbyteczna, mówiła. Dzisiejszy dzień należy do dyrektora.

— Moje dziecko, jakżeś chciała?!..

— Zagadany nie spojrzał na mnie przez całe pół godziny, nie przemówił, nie uśmiechnął się, jak gdyby mnie nie było...

— Dziecko! dziecko!

— Przecież przyjechałam tu jako oblubienica, ślub mój może się odbyć jutro, dziś!... Jestem panną młodą, jutro jego żoną.

— Będziesz nią, zaręczam ci. Lecz dyrektor może zdecydować o wielkiej przyszłości i o waszym losie. Gdy burza się zaczyna, i biją pioruny, miłość musi czekać na pogodę, na uśmiech słońca, na ciszę.

— Cociu, czuję się zawstydzoną, radabym w tej chwili odjechać...

— Ach, z temi rozpieszczonemi dziećmi nie można sobie rady dać. Chwila wielka, kto wie, czy nie stanowi o twem życiu, o jego przyszłości, a ty?

— Nie wiem dlaczego, ale się boję tej chwili, dreszcze mnie przechodzą, przeczucia szarpią mi serce! Ciociu, pragnę uciec, a nie śmiem, pragnę go porwać i uprowadzić, ostrzedz, ochronić, sama nie wiem przed czem, chociaż błyskawice smutnych myśli oświecają mi mózg. Widzę przepaść!...

— Rozgrymaszone i rozpieszczone nerwy brykają, i nic więcej. Za rok będziesz się z tych błyskawicznych przepaści śmiać.

— Lub płakać. Ciociu, dręczy mnie myśl, że żądaniem, aby się zgodził na warunki ojca, zgubiłam go!.. Ta myśl, zaczyna mnie prześladować, i dlatego tak gwałtownie pragnę być jego żoną — jutro!.. Będziemy walczyć razem. Może wtedy ojciec nie będzie korzystał ze swych praw!...

Urszula głaskała dziewczę, całowała i tuliła.

Rozległ się głos dyrektora.

— Wyszli, chodźmy za nimi, szepnęła Urszula.

Obejrzały się. Dwóch ludzi, starzec o ruchach młodzieńca szedł żywo, obok niego Tadeusz, mówił z przejęciem.

Dopadli do drugiego szybu.

(*D. c. n.*) *Sewer.*



Wspólna własność ziemska

W GMINIE WIELKOROSYJSKIEJ. *)



IV.

Ażeby zrozumieć niektóre właściwości władania gminnego ziemią w gminie wielkorosyjskiej, musimy jeszcze przejrzeć anneksy do pojedyńczych paragrafów prawa.

Anneks do § 24 mówi o sposobach egzekucyi długów prywatnych na włościanach i gminach wiejskich na mocy wyroków sądowych; — w obu wypadkach zajęciu i sprzedaży ulegają tylko ruchomości, a nie ziemia, która jest nietykalną własnością całej gminy (§ 2 i § 4).

Opis zajętego dłużnikowi majątku musi być dokonany w obecności starosty wiejskiego i naczelnika włości celem określenia, co może być sprzedane bez dezorganizacyi gospodarstwa włościanina; po dokonanej zaś sprzedaży z sumy otrzymanej muszą być przedewszystkiem pokryte niedobory podatkowe i wykupowe, i tylko reszta może pójść na zaspokojenie długu prywatnego. Jeśli sprzedane być mają ruchomości całej gminy za dług jej prywatnej osobie, to opis zajętych ruchomości musi być złożony naczelnikowi ziemskiemu (ew. mirowemu pośrednikowi lub Urzę-

*) Ob. „Ateneum", styczeń, 1900.

dowi Powiatowemu do spraw włościańskich), który oznaczy, co z zajętych ruchomości nie może być sprzedane bez zrujnowania włościan. W końcu prawo stanowi, że należności b. obywatelowi, wynikłe z obowiązku płacenia czynszu, ulegają kompetencyi władz do spraw włościańskich, a nie sądów pokoju.

Zauważymy dalej, że w dod. do § 33, odnoszącym się do przesiedlenia dobrowolnego włościan na grunta skarbowe, — pozostawione jest przesiedlającym się wybrać jeden z dwu sposobów użytkowania z gruntów: gminny lub dziedziczny *(podwornyj, nasledstwiennyj)*. Wybór nastąpić ma na zebraniu gminnem jednomyślnie lub prostą większością głosów wszystkich osadników płci męskiej. Przy użytkowaniu dziedzicznem solidarna odpowiedzialność członków gminy wobec rządu dotyczy tylko podatków i powinności skarbowych ziemskich i gminnych,— przy gminnem władaniu rozciąga się i na czynsz, należny rządowi za ziemię (§ 9).

Bardzo ważnym dla stosunków majątkowych włościańskich jest wydany w 1886 r. dodatek do § 51, obejmujący przepisy, dotyczące działów rodzinnych we wsiach, w których istnieje gminne użytkowanie gruntów. Rodzina, życząca sobie rozdzielić wspólny majątek i podzielić się na kilka gospodarstw, obowiązana jest sama donieść o tem Zebraniu Gminnemu (wiejskiemu—*sielskij schod*), wskazać majątek, ulegający podziałowi, i zrobić projekt samego podziału. Zebranie przedewszystkiem winno się przekonać, czy podział dokonywa się za zgodą głowy rodziny, i w razie, gdy tej zgody niema, rozbiera kwestyę podziału tylko o tyle, o ile żądanie podziału wywołane jest przez rozrzutność (niegospodarność) lub niemoralne prowadzenie się głowy rodziny (*rastoczitielnost' ili bieznrawstwiennoje powiedienie*). Przy rozstrząsaniu samej kwestyi podziału zebranie gminne rozważa: 1) czy jest słuszna przyczyna podziału; 2) czy nowe gospodarstwa mają warunki niezależnej egzystencyi; 3) czy osada (*usad'ba, dwor*) da się podzielić, czy też musi być wydzielony osobny grunt pod nową lub nowe chałupy; 4) czy w razie podziału podatki i powinności będą płacone i wypełniane ściśle. Jeśli warunkom tym projektowany podział nie odpowiada — zebranie może odmówić swego zezwolenia. Jeśli Zebranie zezwala na podział, wtedy: 1) zatwierdza plan podziału gruntów, osady i ruchomości; 2) rozkłada ciążące wspólnie na rodzinie podatki i powinności na nowe gospodarstwa; i 3) jeśli nowe gospodarstwa na dawnej osadzie pomieścić się nie mogą, wyznacza grunt pod nową osadę lub nowe domy. Podział gruntów, będących osobistą, dziedziczną własnością rodziny, nie podlega podziałowi na mocy orzeczenia Zebrania gmin-

nego, jak również nie ulegają takiemu podziałowi te ruchomości, które nie stanowią nieodłącznych przynależytości gospodarstwa wiejskiego. Do decyzyi na podział wymaganą jest większość $^2/_3$ głosów włościan, mających prawo głosowania na zebraniu. W razie dokonania rozdziału bez zezwolenia Zebrania gminnego odpowiedzialność za podatki i powinności leży solidarnie na podzielonych. Jeśli Zebranie wiejskie postanowiło podział wbrew woli rodziców lub głowy rodziny, to na postanowienie Zebrania może być podana skarga naczelnikowi ziemskiemu (mirowemu pośrednikowi — lub — Urzędowi Powiatowemu do spraw włościańskich) w ciągu dni 14, a decyzya naczelnika ziemskiego (Mir. Pośr. i Urzęd. Pow. do spr. wł.) jest w tych sprawach ostateczną.

Dodatek do § 56 ustanawia przepisy, dotyczące zmian w podziale gruntów (*pierediełow mirskoj ziemli*) w tych guberniach, w których wprowadzona jest instytucya Naczelników Ziemskich Okręgowych. Przepisy te zostały wprowadzone prawem z d. 8 czerwca 1893 roku.

Odnoszą się one do gruntów ornych i wogóle takich innych gruntów, które dzielą się na wspólne użytkowanie, na równi z ornymi (§ 1). Podział musi być dokonany na podstawie postanowienia Zebrania wiejskiego (§ 2), w którem mają być wymienione: 1) termin, na który dokonywa się podział; 2) podstawa podziału (rewizyjne dusze — głowy rzeczywiste — *tiagła*); 3) ilość jednostek gruntu, przypadająca przy tym podziale na każdego gospodarza. Termin podziału jest lat 12 lub więcej. Wszystkie te ograniczenia co do terminu i warunków podziału gruntów nie stosują się do tych wypadków, w których grunta gminne rozdzielają się ostatecznie między gospodarzami na użytkowanie dziedziczne.

W wyjątkowych wypadkach nowy podział może mieć miejsce i przed upływem wymienionego w postanowieniu terminu lat 12, ale tylko za zezwoleniem Urzędu gub. do spraw włościańskich. Każde postanowienie o nowym podziale ulega przepisom § 54 (Og. Przepisów t. j. większość $^2/_3$ i protokół) i musi być sprawdzone przez naczelnika Ziemskiego i zatwierdzone przez Zjazd naczelników Ziemskich. Zjazd powinien odmówić zatwierdzenia, jeśli postanowienie o podziale nie zgadza się z prawem i prowadzi do naruszenia interesów gminy lub też zapadło z pokrzywdzeniem zabezpieczonych przez ustawę praw (*zakonnych praw*) członków gminy. Odmawiając zatwierdzenia, zjazd powinien wymienić motywy odmowy i pozostawić gminie możność wydania nowej decyzyi, dotyczącej podziału. Przy każdym nowym podziale gospodarz, który podniósł wartość

swego gruntu przez osuszenie, nawodnienie lub też w inny jaki sposób, powinien, o ile można, być przy tym gruncie pozostawiony. Jeśli zaś to nie jest możliwem, i jeśli na jego udział przypada ziemia gorszego gatunku, powinien zostać wynagrodzonym drogą stosunkowego obniżenia powinności i podatków lub w inny jaki sposób (§ 8).

W czasie między jednym a drugim podziałem grunta, oddane w użytkowanie gospodarzowi , nie mogą mu być odbierane ani w całości, ani częściowo, wyjąwszy: 1) śmierci gospodarza, zesłania go na zasadzie wyroku sądowego lub z mocy postanowienia Zebrania wiejskiego, bez pozostawienia w rodzinie takiego jej członka, któryby mógł prowadzić gospodarstwo; 2) zrzeczenia się samego gospodarza; 3) niewypłacania się z podatków (§ 9). Grunta, wolne na zasadzie § 9, gmina może albo oddać nowemu gospodarzowi, albo zatrzymać we wspólnem używaniu aż do terminu nowego podziału. Postanowienie o odebraniu udziału musi być zakomunikowane osobom zainteresowanym i przedstawione naczelnikowi ziemskiemu, i dopiero po zatwierdzeniu przez niego może być wprowadzone w wykonanie.

Prawo nie mówi, na jakiej drodze włościanin ma poszukiwać wynagrodzenia za melioracye gruntu, odebranego mu przy nowym podziale (§ 8). W razie niewyznaczenia takiego wynagrodzenia pokrzywdzony winien się udać do sądu włości, — co do którego dodamy tutaj, że sądzi on (anneks do § 93) według sumienia — kierując się miejscowymi obyczajami.

Na zakończenie tego streszczenia zasadniczych przepisów, odnoszących się do własności ziemskiej w gub. wielkorosyjskiej, musimy jeszcze zwrócić uwagę na jeden przepis prawa, pomieszczony w dod. VII, t. j. w Przepisach o byłych włościanach skarbowych, w anneksie do § 15, mówiącym „o zabezpieczeniu wnoszenia regularnego przez włościan sum wykupowych". Paragraf 4 tego anneksu stanowi: że, jeśli z gruntów, obciążonych sumami wykupowemi, i posiadanych na dziedziczne użytkowanie *(podwornoje władienie)*, pewna osada przy sprzedaży uległa podziałowi na kilka części, albo też gdyby (§ 5) podział taki na części nastąpił drogą spadkobrania, to w obu wypadkach zarówno nowonabywcy, jak i spadkobiercy, w ciągu lat 10 od dnia podziału osady są solidarnie odpowiedzialni za regularne wnoszenie do skarbu czynszów — t. j., jak dziś, sum wykupowych za wyżej rzeczone grunta.

V.

Zwalniając włościan od poddaństwa, prawodawca, w § 5 Miejscowych przepisów Wielko-, Biało- i Noworosyjskich, wyraził się: że „dla zapewnienia ich bytu i zabezpieczenia ścisłego wypełniania przez nich zobowiązań wobec skarbu i obywateli, oddaje się w stałe użytkowanie każdej gminy wiejskiej na zasadach, w prawie określonych, odpowiednią do miejscowych stosunków ilość gruntów, za które włościanin ma płacić czynsz lub odbywać pańszczyznę".

Jednocześnie § 9 Ogólnych przepisów stanowi, że z dniem ogłoszenia prawa obywatel (*pomieszczyk*) zwolnionym zostaje od odpowiedzialności: 1) za gromadzenie przez włościan zboża i kapitałów żywnościowych oraz zaopatrzenie biednych; 2) za wnoszenia przez nich podatków i pełnienie powinności skarbowych; 3) zwolnionym jest też od obowiązku stawania za nich w sądach w sprawach cywilnych i kryminalnych, 4) od odpowiedzialności za włożone na nich kary pieniężne, zaś § 10 powiada wyraźnie, że odtąd sami włościanie obowiązani są zbierać zboże lub kapitały żywnościowe, dbać o zaopatrzenie biednych i sami są odpowiedzialni za wypełnianie włożonych na nich podatków, skarbowych i ziemskich, i powinności, pieniężnych i naturalnych.

Ażeby należycie ocenić doniosłość tego postanowienia prawa, nie można nań zapatrywać się ze stanowiska dzisiejszych stosunków finansowych państwa. Obecnie — w budżecie, którego suma ogólna wynosi 1469 milionów rubli, podatki z ziemi stanowią 44,7 milionów, a sumy, wnoszone do skarbu przez włościan za wykup gruntów mniej, niż 80 milionów. Wogóle rolnictwo bezpośrednio wnosi do kas skarbowych mniej, niż 1/10 wpływów ogólnych. Zupełnie inny był stan rzeczy w epoce reformy — t. j. około 1860 roku. Suma ogólna dochodów Państwa wynosiła [1]) 303 milionów rubli; prawie 1/6 tej sumy — 56,2 m. stanowiły podatki bezpośrednie, które — wyjąwszy podatek gildyjny (około 5 milionów) — płacili przeważnie włościanie. Finansowa doniosłość operacyi wykupowej zapewne na razie nie dawała się ściśle obliczyć; — przypuszczać jednak należy, że w przybliżeniu zdawano sobie sprawę z ogólnej sumy, która wpływać będzie od włościan do skarbu

---

1) I. S. Bloch — Finanse Rosyi (wyd. ros.), tom III, str. 16.

Państwa po ukończeniu całej operacyi — sumy, która, jak się później okazało (bez redukcyi, potem zrobionych) — byłaby wynosiła około 105 milionów rubli rocznie [1]).

Wprawdzie znaczna część, prawie połowa sumy 105 milionów — czynsze (obroki) od włościan skarbowych — zmieniała tylko tytuł, pod którym zapisywano ją w budżecie; w każdym razie przewidywać należało, że na gospodarstwie włościańskiem ciążyć będzie przeszło 100 milionów opłat rządowych — że z gospodarstw tych bezpośrednio do skarbu państwa wpływać będzie prawie $^1/_3$ dochodów budżetu. Dodać tu jeszcze musimy, że w 1860/1 roku liczono niedoborów skarbowych 104 miliony rubli, a od czasów wojny krymskiej budżet państwa zamykano zwykle deficytem.

Nic więc dziwnego, że reforma 1861 napełniała mężów stanu obawą co do jej finansowych skutków, i że było rzeczą konieczną użyć wszelkich środków celem zapewnienia skarbowi regularnego wpływu podatków z gruntów włościańskich i sum wykupowych. W tem dopiero oświetleniu stają się zrozumiałymi przepisy podatkowe prawa z 1861 roku.

Dziś przepisy te w znacznej części przechodzą do historyi; nowe prawo z d. 23 czerwca r. 1899, obowiązujące od 1 stycznia 1900 roku, wprowadza poważne zmiany, zatrzymuje tylko zasadniczą podstawę tych przepisów: solidarną odpowiedzialność gminy za podatki i sumy wykupowe z ziemi, należącej do *miru*. Przepisy jednak 1861 miały moc obowiązującą tak długo, wpłynęły na stosunki wiejskie w Rosyi tak silnie, że pominąć ich też nie możemy — ale, skreśliwszy ich zasady, w końcu dopiero podamy zasadnicze rysy ostatniej reformy podatkowej, ogłoszonej już po ukończeniu tej części naszej pracy.

Kwestya podatków stanowi przedewszystkiem przedmiot ostatniej (III-ciej części): „Ogólnych przepisów“. Paragraf 164 wkłada na włościan obowiązek płacenia skarbowi: 1) podatku pogłównego (*poduszncgo*, zniesionego ukazami z 2 maja 1882 i 25 maja 1885 r.); 2) podatków na zabezpieczenie żywności w latach głodu (*prodowolstwje*); 3) podatku skarbowego z ziemi; 4) poborów ziemskich, gubernialnych i powiatowych; i 5) opłaty na przygotowanie list po-

[1]) Bulletin Russe de Statistique financière et de législation. 1895 r. t. II str. 294.

datkowych (*okładnych listow* — Uw. 3). Listy podatkowe, określające należność podatkową na cały rok z gminy, powinny być dostarczone gminom w początkach stycznia każdego roku. Rozkładu — repartycyi podatków — skarbowych i ziemskich — pieniężnych i naturalnych, na pojedyńczych włościan — dokonywa „*mir*" (zebranie wiejskie — § 169). Poboru dokonywa starosta wiejski lub poborca (§ 170). Sposób pobierania, przechowywania sum pobranych i prowadzenia rachunkowości określa bliżej Zebranie gminne (§ 172).

Na żądanie włościan Urząd gubernialny do spraw wł. może wystąpić do władz wyższych z przedstawieniem: 1) o ustanowienie innych terminów wnoszenia podatków stosownie do miejscowych warunków ekonomicznych; 2) o podział sumy rocznej podatku na terminy częściowe. Po wniesieniu podatku do kasy skarbowej gmina wiejska winna złożyć kwit Zarządowi Włości.

Gmina — w tym wypadku zarówno wiejska, jak i włości — ma prawo nakładać pobory na swoich członków, a to celem pokrycia wydatków na potrzeby gminne tak gminy wiejskiej, jak i politycznej (*sielskich* i *wołostnych*). Obowiązkowo każda gmina p o n o s i k o s z t a: 1) swego zarządu; 2) koszta szczepienia ospy i koszta walki z epidemiami; 3) koszta utrzymania magazynów zbożowych; 4) dróg, mostów, tam etc.; 5) stróżów; 6) starców, kalek i sierot; 7) koszta zakupienia i utrzymania narzędzi pożarnych. Gmina *może* ustanawiać pobory na budowę i utrzymanie kościołów, szkół i inne potrzeby społeczne włościan. Powinności gminne (*mirskie*) ponosi ta gmina, włość lub wieś (*wołost — sielskoje obszczestwo*), o której zaspokojenie potrzeb idzie. Określenia wysokości poboru i rozkładu (repartycya) we włości na gminy wiejskie, a w gminie wiejskiej na pojedyńczych włościan, dokonywają Zebrania Włości (*Wołostnyj schod*) i Zebrania Gminy Wiejskiej (*Sielskij schod*). Terminy, sposoby poboru i przechowania sum pobranych, a także sposób składania sprawozdań, określają bliżej Zebrania gminne.

Wszystkie gminy wiejskie zarówno te, które użytkują z ziemi wspólnie, jak i te, w których ziemia jest w użytkowaniu osobistem, dziedzicznem (*uczastkowoje*, *podwornoje*, *nasliedstwiennoje polzowanie*), odpowiadają za wykonywanie skarbowych, ziemskich i gminnych powinności s o l i d a r n i e (*za krugowoju porukoju*) za każdego swego członka. Małym gminom wiejskim, należącym do jednej gminy politycznej (*wołosti*), wolno jest łączyć się w całość, odpowiedzialną solidarnie. Za jednostkę podatkową uważa się ta

ilość włościan, która posiada wspólne grunta. Jeśli we wsi jest mniej, niż 40 dusz rewizyjnych, to do takiej wsi solidarna odpowiedzialność za podatki stosowaną być nie może, i egzekucya niedoborów podatkowych (*niedoimok*) stosowaną być ma do każdego włościanina zosobna, bez rozkładania niedoboru na tych gospodarzy, którzy podatki za siebie wnieśli w całości. (Uwaga 2, punkt 4).

Dla zmuszenia włościanina do zapłacenia podatków gmina wiejska ma prawo zastosować do swych członków następujące środki (§ 188): 1) użyć na pokrycie niedoboru dochodów z należącego do włościanina majątku nieruchomego;

2) oddać niepłacącego lub kogoś z jego rodziny na zarobek w tym samym lub w sąsiednim powiecie, a zarobioną płacę obrócić na pokrycie podatków; — oddawać zaś na zarobki do drugiej gubernii zebranie gminne może tylko za zgodą mirowego pośrednika (v. naczelnika ziemskiego), i to tylko takich niepłacących, którzy nie uiszczają podatków przez upór, niedołęstwo lub nierząd (*rasputstwo*);

3) wyznaczyć zalegającemu w podatkach opiekuna, bez którego zezwolenia nie wolno mu nic zbywać ani nabywać, albo też wyznaczyć głową rodziny innego jej członka;

4) sprzedać własność nieruchomą osobistą egzekwowanego, ale nie jego osiadłość (*usad'ba*);

5) sprzedać tę część jego majątku ruchomego i budynków, która n i e j e s t k o n i e c z n ą do prowadzenia gospodarstwa;

6) odebrać niepłacącemu część nadanych mu przy oswobodzeniu gruntów albo też i wszystkie grunta.

Zebraniu gminnemu służy wybór środka, mającego się zastosować, ale środki, wymienione w p. 4, 5 i 6, mogą być zastosowane o tyle tylko, o ile poprzednie trzy skutku nie odniosły.

Niedobory, nie opłacone przez pojedyńczych członków gminy wiejskiej po dzień 1 października, powinny być rozłożone przez Zebranie wiejskie na pozostałych członków gminy i koniecznie zaspokojone po dzień 15 stycznia następnego roku. Jeśli cała gmina wiejska zalega w wypłacie podatków, to miejscowa policya skłania (*ponużdajet*) do zapłacenia ich (§ 190) — a jeśli i to okaże się bezskutecznem — a niedobór nie jest skutkiem żadnej klęski, i gmina nie otrzymała odroczenia terminu — to niedobór ma być ściągnięty przez sprzedaż ruchomości włościan całej gminy.

Dodatek do § 108 ustanawia terminy wnoszenia podatków i sum wykupowych, należnych od włościan. Należności te powinny być płacone za pierwsze półrocze pomiędzy 1 stycznia a 30 czerwca,

za II-ie półrocze pomiędzy 1 lipca a 31 grudnia włącznie. Gdyby te terminy z powodów lokalnych były niedogodne, Zarząd gubernialny winien zrobić przedstawienie ministrowi finansów o przeniesieniu części należności z pierwszego na drugie półrocze. Ścisłe określenie terminów i części sumy rocznej, jakie w danych terminach uregulowanemi być mają, pozostawionem jest Urzędom gubernialnym, które winny zastosować się do warunków miejscowych, ale, o ile można, nie dopuszczać terminów bardziej odległych i dla całej włości wyznaczać jeden termin ogólny — nie wychodząc po za termina ostatnie, prawem oznaczone: 30 czerwca i 31 grudnia.

Nadzór nad wypłatą podatków w terminach wewnętrznych (w gminie) leży na obowiązkach władz gminnych wiejskich i włości pod kontrolą naczelników ziemskich (mirowych pośredników), którzy winni są przedsiębrać odpowiednie środki celem skłonienia władz gminnych (*pobużdienia*) do należytego spełniania ich obowiązków, do których należy i dbałość o to, aby niedobory z pojedyńczych gospodarstw nie wzrastały — przyczem powinni „pobudzać gospodarzy" do płacenia podatków w terminie i karać ich w granicach swej władzy, jeśli niepłacenie jest rezultatem uporu lub niedbałości (*uporstwa ili nieradienja*).

Z niemniejszą troskliwością prawodawca zajmuje się zapewnieniem regularnego wpływu do Kas Państwa sum wykupowych. (dod. II Przepisy o wykupie przez włościan, zwolnionych od zależności poddańczej, ich osady, i o pomocy rządu na wykup przez tychże włościan na własność gruntów).

Sumy, należne od włościan — czy to od gmin wiejskich, czy od pojedyńczych gospodarzy — tytułem wykupu — oblicza Urząd gubernialny do spraw włościańskich i komunikuje je Izbie Skarbowej, która sumy te włącza do list podatkowych. Listy te za pośrednictwem zarządu włości przesyła Izba opodatkowanym gminom lub gospodarzom. Jeśli ziemię przy uwłaszczeniu nabyła cała gmina — zebranie gminy wiejskiej rozkłada sumę wykupową na pojedyńczych gospodarzy, a poboru dokonywa starosta razem z poborem podatków, stosując się do przepisów, jakie mu zebranie gminne udzieli, co do przechowywania sum i składania rachunków. Gospodarze, który sami oddzielnie ziemię nabyli, mają prawo płacić sami. Kwity składają się w Urzędzie Włości. Po upływie terminów, oznaczonych na zapłatę sum wykupowych — Kasy Powiatowe,

komunikują Izbie Skarbowej i Gubernatorowi tak o sumach wniesionych, jak i o niedoborach.

§ 126 stanowi, że niedobory, powstałe z sum wykupowych, mają być ściągane z zalegających przed wszelkimi długami prywatnymi i dlatego wprzód, nim sumy te w całości spłaconemi nie zostaną — egzekucya długów prywatnych nie może być skierowana na należącą do włościan z tytułu uwłaszczenia ziemię, ani też na inwentarz ruchomy, konieczny do prowadzenia gospodarstwa. Nie mają też włościanie prawa sprzedawać budynków swych przed spłaceniem wykupu. W gminach, które nabyły grunta wspólnie — a tem samem są solidarnie (*za krugowoju porukoju*) odpowiedzialne za regularną wypłatę skarbowi sum wykupowych — gmina wiejska (*sielskoje obszczestwo*) w razie niewniesienia przez gospodarza należnej od niego kwoty sumy wykupowej — ma prawo zastosować do niego § 188 Przepisów ogólnych o niedoborach podatkowych. I tu władze wiejskie mają obowiązek pilnować regularnej wypłaty sum—, a wrazie, jeśli suma, należna od gminy, w terminie wniesioną nie została — policya miejscowa winna o tem bezwłocznie zawiadomić mirowego pośrednika (naczelnika ziemskiego), który obowiązany jest natychmiast przystąpić do ściągnięcia niedoboru, przyczem wolno mu użyć następujących środków (§ 129 Przepisów o wykupie):

1) zabronić gminie wydawania paszportów jej członkom i udzielania ich prolongaty — bez specyalnego za każdym razem jego pozwolenia;

2) zamianować według swego uznania innych urzędników gminnych;

3) zarządzić oddanie gospodarzy zalegających na zarobki;

4) sporządzić — przez miejscową policyę — zajęcie wszelkiego majątku ruchomego włościan w gminie i, wyłączywszy zeń wszystko to, co stanowi konieczną przynależność gospodarstwa włościańskiego i nie może być sprzedane bez ruiny włościanina — zarządzić sprzedaż pozostałej części przez miejscową policyę. — Dodajmy tu zaraz, że pojęcie tego, co jest konieczną przynależnością gospodarstwa, co można sprzedać bez zrujnowania włościanina, nigdzie w prawie określonem nie zostało, że kwestyę tę rozstrzygały czasem Urzędy Gubernialne do spraw włościańskich, a najczęściej mirowi pośrednicy i naczelnicy ziemscy swoją władzą, przyczem nieraz sprzedawano słomę z dachów chałup, jako „niekoniecznie potrzebną” do prowadzenia gospodarstwa. Najcięższym do określenia punktem było określenie, jaka ilość zboża i paszy ma

być z pod sprzedaży wyłączona, jako potrzebna na wyżywienie rolnika i jego inwentarza roboczego. Później pozwolono mirowym pośrednikom, z decyzyi Urzędów Gubernialnych, przy niedoborach, nie usprawiedliwionych klęskami żywiołowemi — a pochodzących z niechęci włościan do obrabiania nadanych im gruntów, oddawać część tych gruntów, a nawet wszystkie grunta, w dzierżawę i używać czynszu na spłatę zaległości. Dzierżawy miały być 3-letnie, a forma licytacyi ściśle została przepisana. Jeśli niedobór wzrósł do wysokości rocznej raty wykupowej, Urząd Gubernialny do spraw włościańskich obowiązany jest rozpatrzeć bliżej tę sprawę i, jeśli niedobór jest usprawiedliwiony jaką klęską, uczynić odpowiednie przedstawienie do władzy wyższej; a jeśli pochodzi jedynie z niedołęstwa i złego prowadzenia się (*nieradienja* i *durnowo powiedienja*) włościan, — przedsięwziąć *srogie* środki celem ściągnięcia niedoboru i poprawienia włościan. (Uwaga 2 do § 129).

Paragraf 53 Przepisów o wykupie wkłada na Gubernatorów obowiązek osobistego czuwania nad wpływem sum wykupowych do kas skarbowych, a w aneksie do § 45 tychże przepisów powiedziano, że do Gubernatora należy obowiązek zastosowania surowych środków (*strogich mier*) celem ściągnięcia zaległości, powstałych przy wypłacie sum wykupowych.

Kwestya zaległości w sumach wykupowych stanowi przedmiot jeszcze anneksu do § 130 Przepisów o wykupie. W dodatku tym — prawo wkłada na urzędy gubernialne do spraw włościanskich obowiązek nie tylko ściągania zaległości, ale nadzoru nad tem, aby zaległości tych niedopuszczano. Władze gminne — wsi i włości powinny pobudzać (*ponużdat'*) włościan do regularnej ich wypłaty i mają prawo nakładać — w granicach, przez prawo im dozwolonych (§ 64 i 86 Przepisów ogólnych), kary na zalegających przez upór lub niedołęstwo. Mirowi pośrednicy powinni bezwględnie (*nieuklonno*) domagać się spełniania przez władze gminne ich obowiązku w tym względzie, niespełniających tego obowiązku karać w granicach § 125 tychże Przepisów, a gospodarzy niepłacących oddawać na zarobki pomimo gminy. Jeśli zaległości wzrosły do wysokości ½ rocznej raty bez słusznych do tego przyczyn, gubernator winien polecić policyi natychmiastowe ich ściągnięcie, wskazując środki, mające być zastosowanymi — a jeśli przyczyną było niedołęstwo władz gminnych, zarządzić usunięcie dotychczasowych władz i polecić mirowemu pośrednikowi wybór innych, stosownie do jego uznania.

Zaprowadzenie w r. 1893 inspektorów podatkowych nie pozostało bez wpływu na przepisy, dotyczące stosunków podatkowych w gminach. W dodatkach № II i III — (Przepisy o instytucyach do spraw włościańskich — i Przepisy o naczelnikach ziemskich Okręgowych) spotykamy postanowienia prawa, dotyczące interwencyi inspektorów podatkowych w sprawach gmin.

Uwaga 5 do § 134 Przepisów o instytucyach do spraw włościańskich stanowi, że inspektorowie podatkowi, których okręgi nie ograniczają się wyłącznie do przestrzeni miasta, mają zasiadać z prawem głosu w Urzędach Powiatowych do spraw włościańskich w sprawach, mających związek ze ściąganiem podatków na rzecz skarbu, i wogóle w sprawach, dotyczących powinności pieniężnych ludności. Przytem mówi dalej taż sama Uwaga: Urzędy powiatowe mogą poruczać inspektorom powiatowym sprawdzenie czynności władz gminnych, wsi i włości co do repartycyi, pobierania i wydatkowania poborów skarbowych i gminnych. Uwaga zaś 7 do tegoż artykułu stanowi, że, gdyby na posiedzeniu urzędu powiatowego, Urząd ten odmówił, wbrew opinii inspektora, zgody na żądanie isprawnika co do przystąpienia do sprzedaży ruchomości włościańskich na zaspokojenie podatków, to sprawa ta przenosi się do urzędu gubernialnego.

W Przepisach o ziemskich naczelnikach okręgowych analogiczne przepisy znajdujemy w § 72 i 85.

VI.

Prawa ogólne osobiste i majątkowe włościan określone są raz w Roździale IV-ym, księgi I, tomu IX (§§ 700—791), a następnie w Roździale I, Oddziału I, Ogólnych przepisów o włościanach, uwolnionych z poddaństwa (§ 21—39).

Zaznaczona w § 700 (t. IX) różnica między włościaninem właścicielem a włościaninem, czasowo zobowiązanym — t. j. płacącym panu czynsz i odbywającym pańszczyznę — od r. 1883 — t. j. od czasu obowiązkowego dla wszystkich włościan w Cesarstwie wykupu, nie istnieje — a nie istnieje tem więcej — że, jakeśmy o tem mówili w ustępie o organizacyi własności ziemskiej włościańskiej—włościanin może być uważanym za właściciela tylko tej ziemi, którą nabył po za „nadziałem" t. j. gruntem, nadanym mu przy uwłaszczeniu; przy uwłaszczeniu grunta nadane zostały „w trwałe użytkowanie" gminom tak samo Wielko,—Biało—i Noworosyjskim, jak i Małorosyjskim (§ 5 miejscowych przepisów dod. IV; dod. V).

Paragraf 21 Przepisów Ogólnych (Dod. I) rozciąga na włościan Ogólne przepisy prawa cywilnego, dotyczące stosunków rodzinnych, i dozwala im zawierać małżeństwa bez zezwolenia obywatela. Obowiązek opieki nad małoletnimi leży na gminie, przyczem gmina przy wyznaczeniu opiekunów i w kontroli nad ich czynnościami powinna się kierować miejscowymi zwyczajami. Mirowi pośrednicy (ew. ziemscy naczelnicy) obowiązani są na żądanie rodziny małoletnich wchodzić w bliższy rozbiór czynności opiekunów i gminy co do majątku pupilów.

Ustawa przyznaje włościanom prawo zawierania umów i kontraktów, prowadzenia handlu, zakładania i prowadzenia fabryk, zapisywania się do cechów i gildyi, stawania i świadczenia w sądzie; przyczem prawo zastrzega, że włościanie nie mogą podawać skarg na czynności i rozporządzenia obywatela, które miały miejsce przed ogłoszeniem Ustaw 1861 roku. — Dalej wolno im brać udział w zebraniach gminnych, zapisywać się do innych stanów i gmin wiejskich, a także wstępować na ochotników do wojska, wydalać się z gminy za paszportem, oddawać dzieci do zakładów naukowych i wstępować na służbę rządową. Nie mogą oni być karani inaczej, jak za wyrokiem sądowym lub z rozporządzenia właściwej władzy (§ 29 Przepisów Ogólnych), i nie mogą być ani pozbawieni praw, ani ograniczeni w ich wykonaniu, jak za wyrokiem sądu lub z mocy postanowienia zebrania gminy.

Wszyscy włościanie mają prawo nabywania i zbywania ruchomości i nieruchomości (§§ 715 i 731/2 tom IX); co do dziedziczenia stosują się do ogólnych przepisów prawa cywilnego (tom X część I Zbioru praw) i specyalnych przepisów tomu IX. — Praw swych do udziału w ziemi gminnej włościanin nie może ustępować ani członkowi gminy, ani osobie obcej inaczej, jak za zezwoleniem ogólnego zebrania gminy, (§ 719 i 734) — a jeśli żąda od gminy wydzielenia mu na użytkowanie dziedziczne części z ziemi gminy, to gmina może mu tego wydzielenia odmówić i wynagrodzić go pieniędzmi (§ 720), przyczem prawo nie wskazuje żadnych zasad oceniania tego wynagrodzenia. Gmina wiejska dziedziczy po włościanach zmarłych bez sukcesorów. Do czasu zupełnej spłaty wykupu, działy, będące w użytkowaniu osobistem i nabyte na własność, nie mogą być rozdrabniane inaczej, jak za zezwoleniem urzędu gubernialnego do spraw włościańskich.

Prawa stanu włościańskiego nabywają się przez urodzenie z rodziców włościan (§ 710 tomu IX) lub przez zapisanie do tego stanu.

W zasadzie za członków gminy wiejskiej, obdarowanej ziemią, uważają się ci włościanie, którzy przy dziesiątej rewizyi (przy spisie ludności, zrobionym 1858 r.) zapisani byli, jako włościanie danego obywatela w danej wsi (§ 6 Przepisów miejscowych). Nie są jednak uważani za członków gminy ci włościanie, których obywatel „wypuścił na wolę",—obdarzył wolnością—przed ogłoszeniem prawa o reformie 1861 r., — także ci, którzy już przed 1861 r. nie mieli sobie oddanej ziemi dworskiej i nie żądali wydzielenia im takowej przy uwłaszczeniu, i nakoniec służący dworscy (*dworowyje ludi*), którzy od pańszczyzny byli zwolnieni za usługi przy dworze i nie żądali wydzielenia im ziemi przy przeprowadzeniu uwłaszczania, (§ 8 Przepisów miejscowych).

W ten sposób zaraz w r. 1861 oprócz włościan, zapisanych do gmin wiejskich, zjawiła się niemała ilość włościan, nie będących członkami żadnej gminy wiejskiej, — włościan, zapisanych do włości tylko, t. j. do gminy policyjno-administracyjnej, nie mających udziału w ziemi gminnej — bezrolnych *(biezziemielnych)*. Z biegiem zaś czasu wytworzyła się jeszcze wśród gmin wielkorosyjskich trzecia kategorya włościan, mających ziemię, ale nie biorących udziału w użytkowaniu ziemi gminnej, dlatego, że albo podzielili się gruntami wspólnymi, albo też (stosownie do § 125 i 127 Przepisów miejscowych), nabywszy w okolicy podwójny nadział maxymalny, pozostali w gminie wiejskiej bez udziału w gruntach i bez solidarnej odpowiedzialności za wykup.

Prawo nie rozróżnia wyraźnie tych trzech typów włościanina 1) bezrolnego, 2) posiadającego ziemię na własność, nie uczestniczącego ani w gruntach gminy, ani w solidarnej odpowiedziałności za wykup, i 3) uczestnika gminy wiejskiej, pełnego, należącego do podziału gruntów i odpowiadającego solidarnie za regularną wypłatę wykupu, a to tem więcej, że, jak się przekonamy potem, dwa drugie typy w praktyce podatkowej nie są należycie rozróżniane. Różnica jednak między tymi typami istnieje w uwalnianiu się z gminy i w obszerności praw na zgromadzeniach gminy wiejskiej, służących każdemu z tych typów.

Co do typu pierwszego: włościanina, przypisanego do włości, ale nie będącego członkiem żadnej gminy wiejskiej, prawo (§ 8 Przepisów miejscowych wielkorosyjskich) mówi, że „powinien się on zapisać gdziekolwiek" — do włości. Skarb interesował się nim dopóty, dopóki istniał podatek „poduszny"; obecnie nie płaci on podatków, może więc przepisywać się z włości do włości — i właściwie jest jej członkiem dlatego, aby był urząd, który mu paszport wy-

daje. — § 704 tomu IX mówi, że osobom wszystkich stanów opodatkowanych dozwala się zapisać do „włości" za zezwoleniem Ogólnego zebrania włości, i w tem też znaczeniu, w uwadze do tegoż § powiedziano, że włościanie bezrolni, nie zapisani po 1871 rok do żadnej gminy ani włości, powinni się zapisać do włości tej wsi, z której sami pochodzą.

Osoby, zapisane do włości (tylko) nie mają ani prawa otrzymać, ani *obowiązku brać* udziału ziemi w którejkolwiek z gmin wiejskich tej włości, do której są zapisane. Płacą tylko skarbowe i ziemskie podatki, nałożone na dusze robotników lub dwory, (o ile będą mieli domy), i za wniesienie tych podatków odpowiadają osobiście. Pełnią też powinności gminne (włości), przeznaczone na potrzeby włościan.

Prawa stanu włościańskiego utracają się 1) przez przejście do innego stanu, — (§ 712), 2) przez oddanie włościanina (lub włościanki) złego prowadzenia na mocy postanowienia gminy (wiejskiej lub włości) w rozporządzenie rządu według przepisów, wyłożonych w ustawie o zapobieganiu i niedopuszczaniu przestępstw, 3) przez uwolnienie z gminy. Jeśli włościanin pełnił służbę wojskową — gmina w razie złego jego prowadzenia się może go oddać tylko pod sąd na zasadzie praw ogólnych.

Oddział IV roździału 1 tomu IX mówi specyalnie o uwolnieniu włościan z gminy wiejskiej i ma na myśli gminę wielkorosyjską, w której każdy członek ma prawo do użytkowania z ziemi wspólnej. Uwolnienie z gminy takiego włościanina związane jest z całym szeregiem formalności (§ 724). Musi on przedewszystkiem 1) zrzec się raz na zawsze prawa do udziału w gruntach gminnych i oddać swój grunt gminie, 2) spełnić powinność wojskową, 3) na rodzinie jego, t. j. na gospodarstwie, do którego należy, nie powinny ciążyć żadne zaległości podatkowe, i podatki do 1 stycznia przyszłego roku powinny być zapłacone z góry, 4) nie ma być pod sądem, ani 5) pod egzekucyą wyroku cywilnego, 6) ma dostarczyć dowód zgody na jego wykreślenie z gminy—rodziców (jeśli ich posiada) 7) zabezpieczyć los małoletnich, jeśli takowi są w rodzinie, 8) nie być nic dłużnym z tytułu czynszów lub wykupu b. właścicielowi wsi (pomieszczykowi) i 9) złożyć dowód innej gminy, że gotowa go jest przyjąć albo, jeśli ma zamiar zapisać się tylko do włości (§ 147 Ogólnych przepisów), świadectwo włości. Tylko przy wypełnianiu tych wszystkich warunków włościanin może być uwolnionym z gminy, przyczem obowiązanym jest zapisać się do tej gminy, której świadectwo przyjęcia złożył swej gminie. Świadectwo zwolnie-

nia wydaje mu urząd włości. Przy zwalnianiu się z gminy kobiet wymaganą jest tylko zgoda rodziców, o ile ich mają. Jeśli wszystkie wyżej wymienione formalności są dopełnione — starszy włości obowiązany jest wydać świadectwo uwalniające. Przed wydaniem jednak świadectwa naczelnik włości powinien na miesiąc wprzód zapytać Zebranie gminy wiejskiej, czy nie zachodzą jakie z przeszkód, wymienionych w § 724, i wydać świadectwo dopiero wtedy, kiedy się okaże, że przeszkód takich niema. Zebranie zatem gminne nie decyduje kwestyi zwolnienia — ale zwolnienie bez zwołania zebrania gminnego odbyć się nie może.

Pierwotnie w epoce pierwszych 9-ciu lat po uwłaszczeniu (1861—1870) były jeszcze dodatkowe przepisy; ślad ich przechował się w §§, dotyczących czynszów i pańszczyzn, które dawały obywatelowi prawo nie dopuścić do uwolnienia z gminy robotników męskich w sile wieku.

Włościanin, który posiada lub nabędzie na własność ziemię, może, otrzymawszy w sposób, prawem przepisany, zwolnienie ze swej gminy, zapisać się do tej gminy, w której posiada ziemię, nie biorąc od niej udziału w gruncie (t. j. i w podatkach), ale wtedy tylko 1) kiedy nabyty przez niego na własność grunt ma przestrzeń wyrównywającą 2 razy wziętej przestrzeni, określonej przez przepisy miejscowe, jako maximum, i 2) leży nie dalej jak o 15 wiorst od wsi, do której się c h c e zapisać. Włościanie, zapisani na mocy powyższego § do gminy (bez udziału w ziemi), ulegają władzom wiejskim i włości na równi z innymi członkami gminy, biorą udział w wyborze władz gminnych, głosują w sprawach, dotyczących rozkładu podatków skarbowych, ziemskich i gminnych i we wszelkich innych sprawach, ale uwalniają się od wszelkich obowiązków, wynikających z udziału w użytkowaniu z ziemi gminnej, (*mirskim nadiełom*), i nie głosują na ogólnych zebraniach w kwestyach, dotyczących użytkowania i podziału gruntów.

Włościan takich zapisuje do gminy Starszy Włości bez żadnych postanowień gminnych i wydaje im odpowiednie świadectwo dla złożenia go w izbie skarbowej.

Dopóki wykup ukończonym nie zostanie, przy uwolnieniu włościan z gminy zastosowane być mają jeszcze przepisy § 743—7, które stanowią, że, jeśli wykupu dokonała gmina, to uwalniający się z gminy jej członek musi wnieść gotówką pół należnej od niego sumy, a za wniesienie drugiej połowy gmina musi przyjąć na siebie odpowiedzialność solidarną. Suma złożona strąca się z wykupowego długu gminy, a część ziemi, przypadająca na udział uwolnionego,

idzie w rozporządzenie gminy. Budynki może on zabrać, przenieść lub sprzedać. Przytem, gdyby z gminy uwolnione zostało do $^1/_3$ jej członków, a nowych członków do gminy nie przybyło, dalsze uwalnianie z gminy nie może mieć miejsca inaczej, jak tylko za wniesieniem nie połowy, ale całości leżącego na nich wykupu, i za zezwoleniem urzędu gubernialnego do spraw włościańskich. Takież zezwolenie wymaganem jest zawsze przy uwolnieniu każdego członka z gminy na której ciężą zaległości (*niedoimki*) z lat poprzednich, podatkowe i wykupowe. Jeśli ziemia, nabyta przez włościanina na własność osobistą, jest obciążona długiem rządowym, przy uwolnieniu go z gminy, musi on znaleźć nabywcę na tę ziemię, który dług rządowy przejmie, jeśli zaś zwolnienia żąda nie właściciel ziemi, obciążonej długiem rządowym, ale dorosły członek jego rodziny (syn, wnuk), to uwolnienie nie może być dane inaczej, jak za zgodą gospodarza — właściciela ziemi.

Roździał V przepisów ogólnych zajmuje się znów kwestyą zwolnienia włościanina z gminy i powtarza bez żadnych zmian co do treści przepisy § 724 do 729, przyczem odpowiedzialność za ścisłe wykonanie przepisów prawa i obowiązek wynagrodzenia ewentualnych strat prawo wkłada na naczelnika włości i obowiązuje go do zawiadomienia o każdem wydanem zwolnieniu policyi, dla doniesienia o tem izbie skarbowej.

Przyjęcie do gminy odbywa się też na mocy postanowienia Ogólnego Zebrania gminy, a jeśli gmina posiada grunta we wspólnem używaniu, to w czasie trwania t. z. stosunków „czasowego zobowiązania“ (czynszów i pańszczyzny) wymagane było i zezwolenie właściciela (*pomieszczyka* — § 142). Każde przeniesienie się włościanina z gminy do gminy opiera się o izbę skarbową. (Oddział III § 147).

W „przepisach o wykupie“ spotykamy się znowu z kwestyą zwolnienia włościan z gminy. (Roździał III Oddziału II §§ 172—179). W gminach, które zobowiązane są do płacenia wykupu solidarnie, to jest takich, które użytkują z ziemi wspólnie, uwolnienie członka gminy może mieć miejsce tylko o tyle, o ile połowa należnego odeń wykupu zostanie wniesiona, a wniesienie drugiej przyjmie na siebie gmina solidarnie. Uwolnienie bez spłaty połowy długu wykupnego może mieć miejsce tylko za zezwoleniem władz gubernialnych i o tyle, o ile gmina solidarnie ręczy za wniesienie sum wykupowych i o ile pozostaje w gminie taka ilość członków, że przestrzeń gruntów gminnych, podzielona na tę ilość, nie przewyższa maximum udziału, określonego dla tej miejscowości.

Treść wszystkich tych przepisów powtórzona jest jeszcze raz w rozdziale IV Przepisów miejscowych Wielko,-Biało—i Noworosyjskich z dodatkiem, że w epoce od 1861—1870, przy uwolnieniu członka gminy wymaganą jest zgoda obywatela (*pomieszczyka*).

Zauważyć tu musimy, że nawet w „przepisach miejscowych dla Małorosyi” (dod. VI) znajdujemy postanowienia, dotyczące uwolnienia i przyjęcia nowych członków do gminy. Gminy Małorosyjskie — wykupujące grunta dworami — odpowiadają solidarnie tylko za podatki, za sumy zaś wykupowe odpowiada oddzielnie każda osada, t. j. każda głowa rodziny na osadzie uwłaszczonej. Mimo to w ciągu lat 1861—70 przyjęcie i uwolnienie członka gminy wymagało zezwolenia obywatela, wyjąwszy, jeśli życzący sobie wyjść z gminy wnosił kapitał wykupowy, obliczony na 6%.

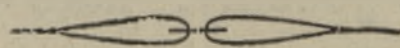
Prawo z 1861 r. przewidziało jeszcze wypadki przejścia pojedyńczych włościan z kategoryi zapisanych do gminy wiejskiej do kategoryi zapisanych tylko do włości przez spłacenie odrazu całej należności, przypadającej za uwłaszczone grunta na pojedyńczego gospodarza. W przepisach o wykupie--§ 165 stanowił, że wydzielenie pojedyńczemu członkowi gminy gruntów z ziemi gminnej wymaga zgody zebrania gminnego; ale jeśli gospodarz, chcący się wydzielić „wniesie do kasy skarbowej miejscowej całą przypadającą na jego grunta sumę wykupową, to gmina *obowiązaną jest* wydzielić mu odpowiedni dział gruntów, o ile można, w jednym kawałku, a włościanin będzie władał oddaną mu ziemią bez obowiązku płacenia sum, wykupowych.”

W prawie o uwłaszczeniu włościan skarbowych (z r. 1866) już kwestya ta inaczej zdecydowaną została. „Wydzielenie pojedyńczych działów oddzielnym gospodarzom ziemi, będącej w posiadaniu gminnym, mówi punkt 2 § 15, może mieć miejsce na podstawie decyzyi, zapadłej większością $^2/_3$ członków gminy, mających prawo głosu na zebraniu.“ Powołane przez nas poprzednio prawo z d. 14 grudnia 1893 r. zniosło tę różnicę. Paragraf II tego prawa stanowi: „aż do spłacenia sum wykupowych — wyłączenie pojedyńczych nadziałów oddzielnym gospodarzom z gruntów, nabytych przez całą gminę, i wykup tych części osobno przed ogólnym terminem nie może być dopuszczone inaczej, jak za zezwoleniem gminy i z zachowaniem warunków, jakie gmina w postanowieniu swego zebrania postanowi.”

(*dok. nast*). *St. Piotrowski.*

Józef Szujski

jako teoretyk i jako twórca dramatyczny. *)



V.

„Samuel Zborowski“, którą to tragedyę nazwał Szujski studyum dramatycznem, zaczyna się prologiem przydługim, a nawet zupełnie niepotrzebnym. To, o czem dowiadujemy się z niego, łatwo można było dopowiedzieć w akcie I, a zresztą niejednokrotnie jest jeszcze później powtórzone. Samuel dowiaduje się od swego brata Jana, hetmana nadwornego, jak go tytułuje Szujski (Szujski poszedł w tem prawdopodobnie za przykładem Paprockiego), że król Stefan nie zdjął z niego banicyi, bo wdowa po Wapowskim stanęła z córką przed królem i padła mu do nóg, błagając, by mordercy jej męża nie darował kary. Batory, wzruszony jej bólem, nie zmienił poprzedniego wyroku. Samuel nie upadł jednak jeszcze zupełnie w oczach królewskich: jeśli pojedzie do Niemiec i tam dłuższy czas zabawi, to może w przyszłości będzie mógł wrócić do kraju. Po za tem król nic więcej nie przyrzeka.

Wypadek zrządza, że Gryzelda, siostrzenica króla Stefana, chroniąc się przed burzą, przybywa do zamku Zborowskich. Sa-

*) Patrz „A t e n e u m“, styczeń 1900.

muel zawarł z nią znajomość w Hermansztadzie — i pokochał. Gryzelda nie pozostała dla niego obojętną; Samuel wywarł na niej silne wrażenie. Ona to doradza obecnie Zborowskiemu, aby jechał za nią z Ukrainy do Polski, i przyrzeka, że wstawi się za nim do stryja. Słowa jej są dla Samuela droższe, niż głos rozsądku i rady przyjaciół. Wszak do Gryzeldy jeździł nieraz 200 mil, byle ją tylko mógł zobaczyć. To też tem bardziej teraz, kiedy ona tak blizko, nie może się wyrzec rozmowy i widywania się z nią częściej. Zresztą wierzy, że Gryzelda zdoła wyjednać mu u króla przebaczenie, a jeśli nie, — mniejsza o to, co nastąpi. „Z drogi mi, stary — woła do swego wiernego sługi — tam jest moje szczęście, bodaj je własną głową mi odkupić... A na luteńce dzwoń mi piosnkę oną, którąś na dworze Hermansztadzkim nucił, aż ci król Stefan złoty pierścień rzucił, a ona różę, zdobiącą jej łono. Hej na waletę zanuć Czorsztynowi i górom swoim — pojedziem do Polski! A tobie, stary, srebrną lutnię sprawię, byś śpiewał o mej ostatniej wyprawie." Na to odpowiada mu Wojtaszek: „Ojż! płacz po całej Ukrainie bude, nie jedźcie, panie, wytargajcie przódy wszystkie mi włosy z siwej mojej brody. Do Niemiec jedźmy, jako brat wasz radził, na nowe dwory i nowe turnieje — Samucha będzie sławny na świat cały, a stary lirnik będzie piał pochwały — na śmierć panięciu on swemu nie śpiewa, a śmiercią mu się luteńka odzywa."

W ten sposób prolog zapowiada nam katastrofę, która nastąpi. Kolizya jasno postawiona. Samuel kocha Gryzeldę, siostrzenicę króla. Skazany na banicyę powinien kraj opuścić—w przeciwnym razie śmierć go czeka. Walka uczuć na tem tle miała stanowić główną treść dramatu, jak można wnioskować z prologu. Samuel i Gryzelda, a w konsekwencyi—Zamoyski, jako narzeczony, później małżonek Gryzeldy, i król Stefan mieli być głównemi osobami dramatu. Gdyby Szujski poprzestał na tej osnowie, pogłębił jej tragiczność i rzucił na tło historyczne, powstałby zapewne dramat, lepszy od tego, który nam dał. Materyał jednak historyczny, który wiązał się ze wspomnianą osnową, zawierający mnóstwo szczegółów z życia politycznego rodziny Zborowskich, a nawet z życia osób, stojących na dalszym planie, podbił sobie wyobraźnię twórcy, tak, że ten usiłował go zamknąć w ramy pięciu aktów. Siłą rzeczy jednolitość akcyi, w zasadzie tak wybornie pomyślana, musiała się rozpaść i zatrzeć pod napływem faktów, ze względu na historyę potrzebnych i związanych z główną osnową, lecz ze względu na sztukę zupełnie niepotrzebnych. „Zborowski" jest typowym wyrazemw alki

dwu sprzecznych żywiołów, jakim uległ Szujski — wymogom historyi i wymogom sztuki.

Najlepszym z całej tragedyi jest akt pierwszy, który tak szybkością następujących po sobie scen, jak i wybornem zarysowaniem charakterów, silnie zapisuje się w naszej wyobraźni. Bracia Samuela Zborowskiego udają się do króla z prośbą, aby odwołał ich brata z wygnania. Scena to nad wyraz charakterystyczna. Przeciwieństwo interesów możnej szlachty, która przyzwyczaiła się trząść Rzecząpospolitą i tronem, i interesów nowego króla, pełnego energii i świadomego swych praw, wybornie zaznaczone. W prośbie Zborowskich przebija się po kolei cała skala butnych uczuć magnackich. Duma rodowa, groźba i hardość, mowa w formie korna, lecz w treści zjadliwa, lub odwrotnie — słowa pełne szacunku, lecz forma i gesta szorstkie i nakazujące. To wszystko tam jest i maluje się wybornie. A król?: „Nie! malowanym nie będę! nie będę słabością moją za obiór dziękował, by z tej słabości korzystali owi, co przy elekcyi powinni jedynie o dobru Polski, a nie swojem myśleć”. „Nie na tom tu przyszedł, aby wam herby pozłacać i suknie— znam moje prawa i znam prawa wasze — na piędź ich nie dam przekroczyć, więc biada, kto pierwszy nogę za granicę stawi...” Batory nie dał się zmiękczyć, ani tem bardziej zastraszyć. Rękawice rzucone. Zborowscy, którzy „płuca — jak mówią — wydzierali sobie za Stefanem na elekcyi” — nie zapomną królowi tego wszystkiego. Dramatyczność sytuacyi wzrasta jeszcze bardziej, kiedy król oddaje Zamoyskiemu rękę swej synowicy, by go w ten sposób wywyższyć. Lecz Zamoyski wie, że Samuel kocha Gryzeldę, Samuel, który był niegdyś jego przyjacielem, a i to wie, że wywyższenie jego nad tłum magnatów dodaje oliwy do ognia. Boi się więc tej odpowiedzialności, woli wyrzec się szczęścia, niż przysporzyć nowych ciężarów ukochanemu królowi. „Źlećby to było, gdybym sentymentu tłumić nie umiał ku królewskiej dziewie, jeśliby Pan już na mnie go dopuścił. Źleć by to było, gdybym nie miał siły przestrzedz Was, królu, jako wierna rada...” Zamoyski jasno przewiduje następstwa królewskiego postanowienia. To, co go powinno najszczęśliwszym zrobić, zrobi go przedmiotem jadowitych pocisków. Szlachta nie daruje mu tego, że on, niedawno jeszcze szarak, spokrewnił się z domem królewskim. „Nie rzucaj na mnie cienia twego tronu, bo wtedy tylko zostanę dworakiem, drabem, ubranym w twego domu barwę.” Lecz król nie cofnie swego słowa. Ocenia wielkość poświęcenia Zamoyskiego i dlatego tem bardziej obstaje przy swojem. Węzeł dramatyczny zaciska się z każdą chwilą.

A kiedy Gryzeldzie nie udaje się wzruszyć stryja, kiedy przeciwnie Batory Samuelowi, który za jej radą rzuca mu się do nóg, grozi śmiercią, jeśliby po raz drugi odważył się stanąć przed jego obliczem, i kiedy ten wzburzony woła: „królu Stefanie — wstaję twoim wrogiem" — wierzymy, że katastrofa przyjść musi. Postanowienie braci Zborowskich, że jeden z nich pojedzie do Ratysbony do cesarza rzymskiego, drugi wzburzy okoliczną szlachtę, a trzeci, Samuel, pojedzie na Niż i przygotuje wyprawę, jest logicznem i koniecznem następstwem tego, co się stało w akcie I.

Akt pierwszy spełnił wszystko, czego wymaga ekspozycya; zapowiada dramat, wstrząsający siłą i głębokością tematu. Takich pięć aktów — a powstałaby tragedya niepospolitej wartości.

Lecz akt drugi traci już nieco na sile; jego chatakter jest epiczny. Taką ogromną ilość osób, grup, rozgrywających się epizodów trudno byłoby znaleźć w jakimkolwiek innym dramacie. Posługując się wzorem Szekspira bardzo częstemi zmianami, charakteryzuje Szujski w przelocie usposobienia osób i tłumów, wywołane bądź to wypadkami aktu pierwszego, bądź też uroczystościami weselnemi. Gryzelda zgadza się na poślubienie Zamoyskiego, choć kocha Samuela. Nagłe to jednak postanowienie nie jest dostatecznie umotywowane. Uczucia młodzieńcze, świeże, miłość, która po raz pierwszy rozbudziła duszę i otworzyła przed nią nowe światy, nie tak łatwo dadzą się wyrwać z serca. Gryzelda jest dziewczyną stateczną: tem bardziej uczucia jej nie mogły być płoche. Że taką też autor mieć jej nie chiał, wnosić o tem musimy z niespodziewanej, a gwałtownej katastrofy pod koniec sztuki, ze śmierci Gryzeldy. Tymczasem tej walki uczuć, przez którą Gryzelda przejść musiała, nie uwydatnił Szujski.

Nowy żywioł wprowadza do dramatu Katarzyna Włodkowa, dawna kochanka Samuela. Zrozpaczona zdradą Zborowskiego, zaklina go w chwili, kiedy pochód weselny Zamoyskiego przeciąga przez rynek krakowski, aby jej nie opuszczał — lecz Samuel odtrąca ją wzburzony. Katarzyna mdleje — tłum naciska Zborowskiego. Scena ta odznacza się prawdziwą siłą i doborem słów doskonałym.

Odsłona czwarta na zamku królewskim jest wybornie uscenizowana. Jeszcze tu większe mnóstwo epizodów, jeszcze więcej rzuconych rysów charakterystycznych i ciekawych. Przeciąga król i orszak królewski — Zborowscy i ich adherenci, magnaci, przebrani za Wulkana, za Herkulesa i t. d., wszystko to zróżniczkowane, — tłum pełen indywidualności.

Zamoyski zdaje sobie doskonale sprawę z tego, co zaszło. Wychodząc z komnat żony, mówi: „Teraz się moja Nemezys zaczyna, iże walczyłem — a nie zwyciężyłem. Straszliwe szczęście zbliżyło się do mnie nagle, jak piorun, co na głowę spada. Tysiące głosów było za tem szczęściem, rozum i rozkosz, i król, i ojczyzna, wszystko wołało: weź je! tyś zasłużył. Ale mnie w duszy głos sumienia wtórzył: nie bierz! zabijerz dwie nieszczęsne dusze...“ Wchodzi Samuel. Zamoyski wziął za żonę Gryzeldę i zdeptał go, jak robaka. On, Zborowski, czuje się większym od niego, bo nie zdradził. Banitą był, lecz nie podniósł na nich dłoni. Dziś ma za to wywdziękę. Zamoyski złamany błaga go, aby nie dał się porwać prywacie, choć krzywdy doznał. „O nie chciej przenieść nad dobro twej matki zniszczonych twoich nadziei ostatki! Samuelu, zwycięż! bądź największym z ludzi.“ Lecz napróżno błaga. Zborowski łączy się z braćmi, którzy już dawno gotują się do rokoszu, by mścić swe urazy.

Akt drugi nie posuwa akcyi. Prócz zawiedzionej miłości Włodkowej nie wprowadza do dramatu nowych kolizyi — służy jedynie do psychologicznego usprawiedliwienia, dlaczego Samuel łączy się z braćmi. — Pomimo to akt ten, pełen życia i epizodów, tworzących właściwie tło akcyi, nie zaś samą akcyę — jest zajmujący. Gdyby Samuel wyrósł w następnych aktach na prawdziwego bohatera, gdyby wchłonął niejako w siebie całą akcyę, akt drugi, jako szeroki psychologiczny motyw ważnego kroku w jego życiu, mimo swej epiczności, byłby zupełnie na miejscu.

Od aktu trzeciego tragedya poczyna się rozpadać i psuć. Szlachta w Proszowicach oświadcza się za Zborowskimi i przyrzeka im swoje poparcie. Włodkowa, zawiedziona w miłości, mimo że Gryzelda poślubioną jest Zamoyskiemu, nie może jej darować, że Samuel ją kocha. Wdziera się na pokoje królewskie i, wiedząc o uczuciu Gryzeldy dla Samuela, czy może przeczuwając je — przysięga wobec niej że się zemści, za wzgardę. Katarzyna w swej rozpaczy jest wstrętna. Jako czynnik dramatyczny, rozsadza spoistość akcyi, a główną kolizyę, mianowicie wielki zatarg między szlachtą i Zborowskimi z jednej strony a królem i stojącym za nim Zamoyskim z drugiej, spycha na plan drugi. Gryzelda, przestraszona jej przysięgą, nakłania listownie Samuela do opuszczenia kraju. Tymczasem woźny ogłasza ponownie wyrok banicyi na Zborowskiego i nakaz, aby po upływie trzech dni chwytano Samuela, który ukrywa się w Krakowie. Wywołuje to sprzeczne zdania. Mieszczanie, Bonawentura, i kilku ze szlachty oświadcza się za królem, lecz

ogół szlachty i kozacy, których sprowadza Zborowski, gotowi walczyć do upadłego za Samuela. Akt ten jest słaby. Zapowiedź zemsty ze strony Włodkowej nie sprawia wrażenia, bo spodziewaliśmy się jej już po akcie II; jedynie oświadczenie się szlachty za Zborowskimi jest ważne, lecz to za mało na akt cały.

W akcie IV jeszcze gorzej. Samuel dowiaduje się od Berdysza, łotra, że bracia Zborowscy kazali mu zastrzelić króla na łowach. Oburza to Samuela, który zbyt jest prawy, aby miał w tak nikczemny sposób mścić się na Batorym. Obiecuje trzos złota, jeżeli chybi, a śmierć, jeżeli trafi. List Gryzeldy sprowadza Zborowskiego do Łobzowa, gdzie widzi się ze swoją ukochaną. Gryzelda zaklina go, by uchodził. Lecz Samuel przybył po to tylko, by się z nią pożegnać. Dlaczego pożegnać? Nie odczuwamy grozy położenia. Autor nie wyświetlił nam pobudek, które kierują Samuelem. Powinniśmy już wiedzieć w akcie IV o tem, o czem dowiadujemy się dopiero w akcie V, że postanowił poświęcić się za braci, jako rzekomo ten, który nakłonił Berdysza do zabicia króla. Cały szereg naciągniętych sytuacyi i wypadków! Berdysza można było uwięzić, a braci przestrzedz, że ich oszczędzać nie będzie. Lecz to wszystko potrzebne jest na to, aby Samuel w akcie piątym wyrósł na męczennika.

Burza (przypadek!) zrządza, że Samuel, wracając z Łobzowa, chroni się do domu Włodkowej. Tu za sprawą Katarzyny czyhają już na niego zbrojni i wiążą go. Czy burza była zamówiona? Samuela czeka śmierć, a to za pobyt w kraju mimo banicyi. Akcya rozsypała się doszczętnie. Przygotowane poprzednie kolizye nie rozwijają się. Prawda historyczna opanowała akcyę, niszcząc wszelkie wrażenie.

W akcie piątym po zamachu morderczym na króla, który się za sprawą Samuela nie udaje Gryzelda, dowiedziawszy się o wyroku śmierci na Zborowskiego — umiera. Zamoyski zaś napróżno błaga Samuela w więzieniu o przebaczenie, że, poślubiając Gryzeldę, wtrącił go w rozpacz, a teraz w następstwie musiał go na śmierć skazać. Zborowski nie może przemódz w sobie nienawiści. Na wiadomość jednak, że Gryzelda umiera, mięknie i przebacza. Równocześnie Zamoyski dowiaduje się z pisma marszałka, że to Samuel uratował życie królowi — w jaki sposób doszła ta rzecz do wiadomości marszałka? — wzywa go przeto, aby opuścił więzienie wolny i sławny. Lecz Samuel pragnie śmierci. Zbrzydło mu życie, ma dużo win na sobie, a ta, którą pokochał, umarła. Zamoyski ustępuje, choć jego obowiązkiem było oczyścić Samuela i nie

pozwolić mu umierać, jak opryszkowi. Cokolwiekbądź powodowało Zborowskim, że chciał umrzeć, Zamoyskiego, jako stróża sprawiedliwości, nie powinno to było obchodzić. Daleko lepiej rozwiązuje Szujski tę kolizyę w dramacie „Zborowscy". Tam ustępuje Zamoyski, lecz przekonany! Pomijając to jednak, ta scena więzienna jest piękna i pełna głębszych myśli. Jeśli nie wywiera takiego wrażenia, jakie powinna wywrzeć, złożyć to trzeba na karb znużenia widza i zupełnego rozbicia akcyi dramatycznej. Samuel przeciwstawia się Zamoyskiemu, jako przedstawiciel pokolenia, które zatraciło cnoty przodków, a rozkochało się w ich wadach. Tacy ludzie, jak on, powinni ginąć. „Żyć nie ma po co! Bo przeżyłem starą cnotę mych ojców, a za wami w ślady mógłbym iść tylko z piętnem strasznej zdrady—!"

„Samuel Zborowski" ma w sobie złączone w wysokim stopniu wszystkie zalety i wszystkie wady pióra Szujskiego. Zasadniczy pomysł jest znakomity. Rozgrywa się dramat między trzema osobami, Samuelem, Zamoyskim i Gryzeldą, na tle walki dwu odrębnych światów — szlachty, która swoim interesom podporządkowała państwo, i władzy królewskiej, usiłującej opanować rozbujały indywidualizm przodującej warstwy. O ile przeprowadzenie zapowiadało się bardzo dobrze w akcie pierwszym i jeszcze w akcie drugim, o tyle w dalszych aktach zawodzi. A przyczyny? Ponad niewytrawnością autora i wszystkiemi innemi góruje zasadnicza chęć zamknięcia w ramy sztuki ścisłej prawdy historycznej. Dopóki szczegóły, przez historyę dostarczone, szczęśliwie odpowiadały wymaganiom sztuki, dopóty było dobrze. Tak powstał akt I, a poczęści II. Kiedy jednak siłą rzeczy trzeba było rozwinąć zadzierzgnięte kolizye i liczyć się tylko z prawami dramatu, — prawda historyczna stanęła w poprzek lotowi fantazyi. Dla tej to prawdy historycznej w akcie III i IV akcya płynie dwoma, trzema korytami. Osoby, które powinny stanąć sobie oko w oko, nie spotykają się ze sobą. Szerokie przygotowania do buntu pozostały niewyczerpane. Historyk zabił poetę. Rozwój końcowy wypadków prawie zupełnie nie odpowiada wymaganiom, jakie mamy prawo stawiać na podstawie wrażenia wyniesionego z aktu I i II. Samuel, Gryzelda, Zamoyski bledną, maleją — wszystko wysuwa się z rąk autora — jedynie prawda historyczna żyje i góruje ponad wszystkiem.

VI.

Po „Samuelu Zborowskim" „Halszka z Ostroga" jest wielkim krokiem naprzód. Jest to jeden z najbardziej scenicznych utworów Szujskiego. Wpłynęły zapewne na teatralność „Halszki" liczne przedstawienia jej na różnych scenach. Autor długo poprawiał, usuwał, wprowadzał nowe sceny, a nawet akty. Pierwotwór, który po raz pierwszy wystawiono w Pradze, w tłómaczeniu czeskiem (!), uległ ostrej krytyce Lucyana Siemieńskiego (w „Czasie"). Szujski, który, jak sam się przyznaje, skrzywił się na gorzką pigułkę, ale jej nie odrzucił, owszem połknął całą i dowiedział się z krytyki o wielu rzeczach, które przeczuwał raczej, niż rozumiał, pod wpływem tej krytyki zupełnie przekształcił dramat. „Akt I i II nie uległ znacznym zmianom — pisze autor -- najistotniejszą jest wsunięcie monologu Beaty w drugim akcie, motywującego jej charakter, i skrócenie sceny trzeciej. Akt trzeci za to (scena 1, 2, 6, 7 i 8) uległ zupełnemu przekształceniu, a z dawnego czwartego aktu nic, prócz kilku słów, nie zostało. Akt piąty został także z gruntu przerobiony." Usiłowania Szujskiego, aby „Halszkę" przystosować możliwie najlepiej do sceny, jest znaczące. Te to usiłowania podyktowały później Szujskiemu w przedmowie, napisanej r. 1867, słowa: „dramatowi narodowemu wypada stanąć na wyżynie dzisiejszej sztuki, odpowiedzieć wymogom, jakie obeznana z utworami mistrzów zagranicznych publiczność stawiać ma prawo. Wypada mu stanąć w gotowości scenicznego przedstawienia, którego próbę przejść winien każdy utwór dramatyczny." W różnych dramatach Szujski usiłował pokonać różne trudności, w tym wytężył wszystkie siły, aby stworzyć dramat prawdziwie teatralny, bo rozumiał, jak konieczną rzeczą w sztuce jest przystosowanie jej do sceny. W „Halszce" ze wszystkich dramatów jest najmniej balastu historycznego; tem lepiej na tle, historycznie wiernem, rysuje się dramat dwu serc i walka osób, najbliżej nich stojących. Akcya płynie żywo i zajmująco.

Beata Ostrogska, typ surowej i bezwzględnej matrony, chce wydać córkę swą Halszkę za Łukasza Górkę, którego swata sam Zygmunt August. Halszka, dziewczyna dobra, lecz trochę płocha i zuchwała, nie chce nawet słyszeć o Górce. Prędzej oddałaby rękę Dymitrowi Sanguszce, choć i ten nie przypada zupełnie do serca jej, dziewczynie przejętej aryostowymi bohaterami. Opiekun

Halszki, Wasyl Ostrogski, swata Dymitra, i zabrania Beacie wydawać Halszkę za Górkę. Butę magnata wybornie scharakteryzował Szujski w niewielu słowach. Kiedy Beata podaje mu list królewski, Wasyl odpowiada: „Hoho! mościa księżno. Będę na tyle wolnym synem Polski, by się sprzeciwić. Pisma widzieć nie chcę: król czyli papież — to mi wszystko jedno. Jam głową rodu i ojcem Elżbiety. A co tam wasza miłość ułożyłaś, choćby z wszystkimi królmi chrześcijaństwa, to nic, gdzie mojej nie złożę pieczęci". Ekspozycya wyborna! Z jednej strony—Beata, po której, poznawszy jej charakter, spodziewamy się, że nie ustąpi, król i Górka; z drugiej strony—Wasyl, nieugięty magnat, i Dymitr. Pośród nich Halszka, wydana na łup sprzecznym porywom. Miłość matki i obawa, czupurność i sympatya, jaką żywi dla Dymitra,—to zawiązki, z których wyrosną prawdziwie dramatyczne kolizye. Zaznaczyć trzeba, że autor przedstawił Halszkę w I akcie, jako dziewczynę, która jeszcze sercem nie wybrała. Dowiódł tem silnego poczucia prawdy dramatycznej. Gdyby Halszka kochała gorąco Dymitra, to ani jej oburzenie, ani przysięga późniejsza nie dałyby się usprawiedliwić. Beata przygotowała już wszystko do ślubu Halszki z Górką. Dziewczyna nieugięta zapowiada, że przed ołtarzem ani słowa nie wypowie. Górka ma przybyć samoczwart. Tymczasem Wasyl i Dymitr wpadają do zamku z pocztem zbrojnych, ujàwszy poprzednio Górkę. Halszka, której matka złorzeczy, sądząc, że porozumiała się poprzednio z Dymitrem, oburzona, każe wynosić się Wasylowi i Dymitrowi. Lecz Wasyl nie myśli ustępować. Halszka poślubi natychmiast Dymitra. Teraz to Beata każe przysiądz córce, że będzie nienawidzić męża. Halszka ulega nakazowi matki, przysięga — a potem idzie do ołtarza z Dymitrem.

Na czem polega tu tragiczność? Halszka przysięga, że będzie nienawidzić męża, a później męża tego pokocha. Jest w tem dużo sofistyki, której uczucia nie znają. Jest naciągnięcie sytuacyi, jest przedewszystkiem wpływ teatru Victora Hugo. I jeszcze jedna uwaga. Kolizye dramatyczne wtenczas wzbudzają współczucie widzów, jeśli wypływają z zasadniczych przyczyn, tkwiących w charakterach bohaterów. Tragiczność, w jaką popadła Halszka skutkiem przysięgi, jest następstwem nie tych głębszych przyczyn, lecz jedynie chwilowego uniesienia, który ma wszelkie cechy przypadku.

W każdym razie akt II jest bardzo dobrze napisany, gwałtownie prowadzi naprzód akcyę i kończy się, budząc silną ciekawość. Równocześnie jednak odzywa się w nas niepewność, co nastąpi i jak wypadki będą się rozwijać? W akcie drugim kończy się jakby

pierwszy dramat, podczas gdy rozwój drugiej części nie da się przewidzieć. Ta druga część to będzie dramat nowy, większy od pierwszego, dramat właściwy. Tak zapatrując się na „Halszkę", widzimy w dwu jej pierwszych aktach raczej prolog, niźli część jednolitej tragedyi. Składa się na to kilka przyczyn. • Po pierwsze, swaty królewskie odgrywają za małą rolę w tych aktach, za mało wagi przywiązujemy do nich, nie obawiamy się następstw, szkodliwych dla tych, którzy nimi wzgardzają. Po drugie, zaszłe wypadki między najważniejszemi dla nas osobami, Halszką i Dymitrem, nie doprowadzone są tak daleko, abyśmy mogli przeczuwać, jaką mniej więcej drogą akcya dalej rozwijać się będzie. Halszka mogła znienawidzić naprawdę Dymitra, mogła go pokochać i nie zważać na pierwszą przysięgę, kiedy druga przysięga, małżeńska, zobowiązywała ją do wprost odmiennego uczucia; ogółem w tem, jak dramat dalej posuwać się będzie, autor pozostawił sobie zbytnią dowolność.

W akcie trzecim wytoczono sprawę gwałtu przed Zygmunta Augusta, który nadto czuje się obrażony krokiem Wasyla. Panowie koronni skazują na śmierć Dymitra. Najbardziej gardłuje za tem Zborowski. On też podejmuje się wykonać wyrok, „jeśli go sądy nie znajdą ojczyste." Zborowski czyni to z poczucia czystej sprawiedliwości. To wielki sensat, u którego jednak czyn chodzi w parze ze słowem. „Bo nie czas — jak mówi — pożar wodą wtedy gasić, gdy dom sąsiada dach mego zapali — piorun, co runął dziś na brata głowę, jest wieszczem tego, który mnie obali." Rada, sama w sobie dobra, jest jednak obcem ciałem w dramacie, jak to słusznie podniósł Lucyan Siemieński (w Czasie 1861 r.). Służy jedynie do umotywowania wyroku śmierci. Oprócz rady, która zajmuje większą część aktu III, mamy jeszcze kilka scen, poświęconych Halszce i Dymitrowi. Halszka, pomna przysięgi, nie chce się oddać mężowi — ulegnie, ale jedynie gwałtowi. Odpowiada jej na to Dymitr: „Nie chcę takich zwycięstw! idźcie, Elżbieto! tam pokój mej matki — znała was dzieckiem — marzyła, że może kiedyś was w zamku synową powita — cieniom jej świętym pod straż was oddaję..." Szlachetne zachowanie się Dymitra obudza w Halszce współczucie dla męża. „O, czemu—mówi do siebie — kusiciel go odział najpotężniejszym z wszystkich wdzięków — smutkiem? Póki był dziki — miałam puklerz wzgardy — dzisiaj swawola zgnęła rycerska, pokorny ugiął wysokiego czoła." List z wiadomością, że Dymitra zasądzono na śmieć i infamię, przeraża Halszkę. Ona nie chce jego śmierci. Niech ratuje się ucieczką. Sama po-

chyli się do stóp królewskich i błagać będzie o zniesienie wyroku. Lecz Dymitr nie chce się z nią rozłączyć mimo jej próśb. Uwozi ją z sobą do Czech, a współczucie Halszki dla Dymitra, spotęgowane obawą, iż śmierć go czeka, przerodziło się w miłość. Lecz i na obcej ziemi Dymitr nie był bezpieczny. Zborowski ze zbrojnymi obsaczył go w domu w Norymberdze i w walce zabił.

Halszka wraca do kraju. Matka krząta się koło wydania jej za Górkę. Przybywa król w swaty, lecz spostrzega, że go okłamano. Z zachowania się Halszki poznaje, że kochała Dymitra. Dzięki jego obecności może biedna uczestniczyć w pogrzebie męża. Potem chroni się do Wasyla. A kiedy Górka ze zbrojnymi otoczył zamek stryja, żądając jej wydania, Halszka, byle nie zostać jego żoną, poślubia Siemiona, co jest dziwne, a nawet nieprawdopodobne, wobec tego, że niedawno pochowała męża, którego kochała.

„Halszka" jest jednym z najbardziej teatralnych dramatów Szujskiego. Wrażenie, jakie wywiera, choć nie jednolite, jest silne, a nieraz wstrząsające. Charaktery przeprowadzone konsekwentnie i zajmująco. Dymitr, hulaka trochę i gwałtowny, szlachetnieje pod wpływem miłości. Metamorfoza szczęśliwie oddana. W charakterze Halszki są pewne dowolności, lecz ogółem to typ dziewczyny piękny. Niekiedy jest wprost prześliczną, jak np. w akcie V w czasie pogrzebu Dymitra. Wasyl, Beata, Astralobus, astrolog Beaty, dobrze zarysowani. Sąd w akcie III pełen prawdy i ciekawy, jako epizod. Dysonansem w całości pięknej i jednolitej w nastroju jest samo rozwiązanie.

„Halszkę" pisał Szujski pod wpływem teatru francuskiego, a zwłaszcza Viktora Hugo. Gwałtowne sceny, naciągania tu i owdzie sytuacyi, efekty teatralne, zresztą dobrze pomyślane, np. pogrzeb za sceną Dymitra, budowa aktów, np. II, są tego wymownym dowodem. Szujski szukał drogi. Każda szkoła była dla niego dobrą, jeśli tylko wnosiła coś nowego do techniki teatralnej. To też krytycznie naśladował wszystkie po kolei. W „Halszce" poszedł za romantycznym teatrem francuskim, zwracając przedewszystkiem uwagę na jej sceniczność, co też w zupełności osiągnął.

VII.

Odmienną w budowie jest „Królowa Jadwiga". Jeżeli Halszka w pomyśle dramatycznym, jak i w przeprowadzeniu, ma wybitny charakter gwałtowności, to natomiast „Królowa Jadwiga" ma za-

krój klasyczny. Ifigenia Goethe'go, a przedewszystkiem dramat Racine'a, ma wiele do niej podobieństwa Kompozycya jednolita, akcya, płynąca spokojnie, bez nagłych przeskoków, unikanie zbyt częstych zmian — wszystko dąży do stworzenia dramatu stylowego.

„Nie z grzmiącą pieśnią dziś przed wami stoję — mówi poeta w prologu — bez blasków sromu świętego na twarzy, bez tego ognia, co się w gęśli żarzy i ran zaskrzepłych zawiązki przeżera; w przeszłości bluszczach dzisiaj skronie moje, podobne skroniom gotyckich rzeźbiarzy, a w dłoni rylec, co z trudem rozdziera nieczułe drzewa lub marmuru słoje, aby z nich zbudzić postać bohatera". Nie szukał w przeszłości czynów, co burzą krew i ludzi, zaślepionych namiętnością — pragnął odetchnąć i zamiast nocy dzień słoneczny roztoczyć na scenie. Więc „z widzeń duszy i marzeń dziejowych postacie zmarłych szły pod moje dłuto i z płaskorzeźby i objęć głazowych podniosły głowę, w twardy kamień wkutą. Minnesingerskiej pieśni wątek złoty, serdeczne głosy miłosnej pieszczoty, dziewiczej duszy utęskniony lament w tajemnic pańskich gdzieś mroku się zbiegły, jak w tumie gockim wzniosłych łuków cegły w kościelnej nawy niebieski firmament, by się pokazać innej treści światu — w architekturze gotyckiej dramatu".

„Królowa Jadwiga" to dramat serca — wszystko w nim jest, co składa się na pierwszą miłość, pełną obaw, wzruszeń, przeczuwającą raczej, niż świadomą, świeżą i pełną wdzięku, nie przepaloną ogniem namiętności. Nie chodziło Szujskiemu o oddanie gwałtownych uczuć. Pragnął odtworzyć cichy dramat, jaki rozegrał się w duszy młodziutkiej królowej — w chwili, kiedy ta, nieświadoma jeszcze ani życia, ani cierni korony, zasiadła na tronie polskim. Odpowiedzialność, jaka na nią spadła, zaskoczyła ją zbyt nagle i zbyt młodo, aby mogła nabrać pełnego przeświadczenia o tem, co ją czeka. Zbudziło się w niej jednak przeczucie, że nowe życie będzie całkiem różne od tego, które wiodła. Kiedy wjeżdżała do Krakowa, czuła, że „jedzie w inny świat dziwnej powagi, groźny, jak starców tych sędziwych słowa, że dawne dziewczę zabiła królowa na zawsze — zawsze". Przeczucie to budziła w niej przedewszystkiem obawa i pytanie — czy Wilhelm, którego kocha, zasiądzie z nią razem na tronie polskim. Przeszkód nie widziała żadnych, a bała się jedynie, że, jak to życie, które się dla niej zmieniło, tak może — miłość jej będzie musiała w inną przeoblec się postać. Pewności żadnej — dużo za to wątpliwości. Wszak rada przyboczna mówiła o mężu jej, czemuż nie mówiła, że Wilhelm nim będzie, Wilhelm, o którym wie świat cały, że jest jej narzeczonym. Oba-

wy spełniają się. Burgrabia z polecenia Dymitra z Goraju — nie wpuścił Wilhelma do zamku. Wilhelm przemocą wdarł się i teraz staje przed jej obliczem — „miecz przy mym boku, a ja — ja przy tobie klęczę i witam królowę tej ziemi, co moją panią była bez korony — rozkazów czeka do stóp twych schylony, żyjący ócz twych blaskami jasnemi". Poraz pierwszy musi młoda królowa walczyć z jednej strony z uczuciem, a z drugiej z prawami dostojeństwa. Zwycięża królowa. Wilhelm, jeśli nie chce „rozłączeniem wiecznem zniweczyć szczęścia", musi panować nad sobą, musi szanować naród, na którego ziemi przebywa. Odczuwa Wilhelm zmianę, jaka zaszła w Jadwidze. I dlatego ze smutną ironią mówi: „Kadzidło tronu znać kwiat mój owiało, że upojony niem i zczarowany: powagą królów słowo twoje brzmiało, a umysł młody dojrzał na wyżynie tronu, że w rady rozsądne bogaty! Miałożby w fałdach purpurowej szaty inaczej serce bić pięknej dziewczynie, co niegdyś tylko dla kochanka biło? czyż jedno rano, na tronie spędzone, mą narzeczoną w królowę zmieniło?" Jadwiga lepiej zdaje sobie sprawę z położenia, niż krewki Wilhelm. Ten sądzi, że dość mu być jej narzeczonym, aby na tronie zasiąść. Ona zaś wie, że po za nią i po za jej miłością jest starszyzna narodu, są inne jakieś, nieubłagane względy, z którymi dziś jeszcze się nie liczy, bo ich nie zna, lecz które przeczuwa, że są wreszcie obowiązki — królowej. Wilhelma kocha, rozstać się z nim? — nie! o tem nawet myśleć nie chce — lecz lęka, się bardzo, że „przyjdą straszne rozłączenia wieści".

Ekspozycya przejrzysta! Dla tych, co szukają w dramacie efektów, tragedya nie zapowiada burzliwych scen ani kolizyi, kto jednak odczuwać umie równie dobrze gwałtowne uczucia, jak i wpółrozkwitłe, ten odczuje piękno, zamknięte w „Królowej Jadwidze". Dramat ten traci na scenie dużo ze swej wartości — jak zapewne tracą na deskach teatralnych tragedye Racine'a.

Akcya postępuje naprzód. Ziemowit, książę Mazowsza, i Władysław, książę Opolski, starają się o rękę Jadwigi. Lecz Jadwiga zbywa ich wesoło. Starszyzna przygotowuje ją powoli do swoich planów; ani Dymitr, ani Bodzanta, nie mówią wyraźnie, o co im chodzi, lecz delikatnie podsuwają młodej królowej myśli, że nie wszystko, co młoda wyobraźnia za szczęście poczyta, jest szczęściem, że mała nieraz boleść, choć przykra, chroni przed smutnemi następstwami wadliwego kroku. Proszą ją, aby w stanowczej chwili nie wzgardziła ich radami. Jadwiga domyśla się, do czego zmierzają. Dlatego też odpowiada im, że Polsce szczęście chce dać, ale — szczęśliwa.

Wilhelm butnem zachowaniem naraża się radzie przybocznej. W najbliższym czasie ma opuścić Polskę wraz ze swą świtą zbrojną, „jeśli nie chce, by miecz mu wskazał drogę". Zaskoczony bezwzględnym rozkazem nakłania Jadwigę, aby wzięła z nim ślub potajemnie w klasztorze franciszkańskim. Przedstawia jej, że w przeciwnym razie zostanie żoną dzikiego Jagiełły, po którego rada posłała już tajemnie poselstwo. Lecz Jadwiga nigdy nie zgodzi się na krok podobny. „Przysięgłam Polsce, że żywot mój cały widocznym będzie, jako dzień ten biały, że bez jej wiedzy nie postawię nogi na ciemnej ścieżce podstępu i zdrady". Wierzy jeszcze, że Wilhelm jawnie zostanie jej mężem.

Z pośród dramatów Szujskiego „Królowa Jadwiga" jest jedyną sztuką, gdzie miłość jest osią całej akcyi; są tu wszystkie szczeble w rozwoju uczucia miłości: powitanie, radość, smutek, gorycz, ironia, żal, obawa — aż do rozpoczy. Każda nowa scena między Jadwigą a Wilhelmem to miłość, płynąca swobodnie, szeroko, owiana prawdziwą poezyą, miłość o nowym odmiennym kolorycie. Szkoda, że ujął ją Szujski w chłodną, surową formę Racine'owskiego dramatu. Na tem traci barwę, swoją uczuciowość. Swobodna faktura „Halszki z Ostroga" bardziej nadawałaby się do niej. A jednak i „Jadwiga" jest piękna. Dowiódł Szujski, że nie obce mu są najdrobniejsze drgnienia kochającej duszy.

Wślad za Wilhelmem przybywa do zamku królewskiego poselstwo litewskie z prośbą o rękę królowej dla Jagiełły. Jadwiga oburza się na to, że za jej plecami czyniono zabiegi i porozumiewano się z obcymi jej książętami w sprawie jej zamęścia. Dotychczas sama stała na straży swej godności królewskiej, lecz kiedy nadużywają jej dobrej wiary i chęci, nie będzie się już krępowała. Szujski wybornie podkreślił dodatni rys charakteru Jadwigi — jej energię. Jadwiga słusznie się gniewa. Jeżeli sama postępowała otwarcie — miała prawo żądać, aby tak samo z nią postępowano. Lecz rada przyboczna zasłania się wyższymi względami. Jadwiga nie powinna dać się powodować pierwszemu wzburzeniu: od kogo losy narodu zależą, ten musi mieć dar poświęcania swych uczuć na ołtarzu dobra ogólnego. Polska z Litwą oddawna wiodły boje zacięte, niszcząc wzajemnie swe siły — jakaż potęga powstałaby, gdyby na tronie polskim zasiadł władca Litwy! Jadwiga to, co dawniej przeczuwała, teraz słyszy i pojmuje jasno całą doniosłość chwili, czuje, że to, co mówią ci starce do niej, jest tak nieubłagane, bezwzględne, iż uledz musi, i dlatego na myśl o tem buntuje się i wzburza: „Wyście marzenia me zniszczyli rano,

i odepchnęli głowę ukochaną, którą pragnęłam obaczyć w koronie.... Wy chcecie wieczór, by w rozpacznem łonie zajął się ogień poświęcenia święty? Twarda dłoń wasza i duch nieugięty! Na prawo wasze mam prawo cierpienia, na waszą przemoc mam upór rozpaczy!" W gorączce gniewu godzi się na projekt Wilhelma. Kiedy będzie jego żoną, już nikt nią rządzić nie będzie. Ale nad jej myślami i jej czynami wisi, jak nieubłagane fatum, bojaźń, że jednak stanie się inaczej, jakby chciała, jak chce, jak postanawia. Działa, jak jej uczucia każą, lecz w duszę jej tak głęboko zapadły słowa jej doradców, potrzebę poświęcenia tak bardzo, choć nieświadomie, poczyna odczuwać — że w chwili stanowczej, kiedy energia jej wobec nowych przeszkód tem silniej mogła była wybuchnąć, ulega, jak dziecko, gorącym słowom Dymitra. W nocy zaskoczona w krużganku klasztoru franciszkańskiego — przez panów polskich w chwili, kiedy podążała na ślub z Wilhelmem, po pierwszym wybuchu uniesienia odstępuje od swego zamiaru. To jeszcze nie stanowczy, ale już ogromny przełom w jej duszy. Całą duszą należy jeszcze do Wilhelma, ale już pomiędzy nią a nim otwarła się przepaść Na żaden krok nie zdobędzie się jeszcze, rezygnacya jednak wstąpiła w nią i rozwiała opór. Na własny ból i miłość będzie już patrzeć chłodno. Tak zapewne Szujski pojmował jej stan psychiczny. Wprawdzie nie wszędzie zachował jednolitość i w potokach słów, zwłaszcza w scenie I aktu IV, zbyt długiej i przez to nużącej, zatarł czystość rysunku, lecz ogółem umiejętnie pojął i przeprowadził Jadwigę w tej przełomowej chwili.

Fatum, płynące ze zbiegu okoliczności i z jej ogromnego poczucia obowiązków, poczyna się powoli spełniać. Przybywa Jagiełło. Z jego zjawieniem się sztuka nabiera więcej życia. Dotychczas akcya toczyła się leniwie. Brak jej było bezpośredniego bodźca. Jagiełło wnosi z sobą cały odmienny świat pojęć. Akcya nabiera charakteru stanowczego, męskiego.

Kontrast pomiędzy Jagiełłą a Wilhelmem i dworem polskim jest przeprowadzony znakomicie. Sceny, w których występuje Jagiełło, są najlepsze w całej sztuce. Z barbarzyńca, za jakiego Jadwiga uważała litewskiego księcia, wydobył autor półtony uczuć, jakich niktby nie szukał w piersi syna puszcz nadniemeńskich. Jagiełło, który dużo słyszał o Jadwidze, uderzony jej pięknością, mięknie. W szorstkich zwrotach wypowiada taki podziw i taką uległość, że otoczenie jego poznać go nie może. Dowiedziawszy się, że Wilhelm jest jej narzeczonym, gotów wyrzec się jej ręki, byle jej nie wyrządzić najmniejszej przykrości. On dla niej za dziki, za

obcy. Jadwiga czuje się wzruszoną. Wpada Wilhelm wbrew zakazom, wyzywa Jagiełłę: miecz rozstrzygnie, po czyjej stronie słuszność. Burzy się wszystka krew w Jagielle. Nie przyzwyczajony nigdy do pasowania się ze swymi popędami — w obliczu Jadwigi zdobywa się jednak na moc panowania nad sobą. „Toć, gdybym wiedział, że czyn taki mały mógłby mi zjednać skarb królewskiej chwały i ową panią piękną, jak jutrzenka, — książę Rakuski, tobym prawą rękę odciął i rzucił ci na plac bojowy, a lewą dosiągł twojej złotej głowy!" Lecz Jadwiga nie dopuszcza do starcia. Wilhelm obraził majestat królewski, dobywając w jej obliczu miecza. Dymitr będzie przeto nad nim czuwał, aby uchronić tron od dalszej swawoli. W duszy Jadwigi coraz silniej odzywa się głos obowiązku. Dzieje się to powoli, lecz stale — psychologiczna prawda zachowana z prawdziwie artystyczną miarą.

Zdobywszy się na ten krok, na razie nie widzi Jadwiga innego wyścia dla siebie, jak zrzeczenie się korony. Lecz rozmowa z Jagiełłą sam na sam sprowadza inne rozwiązanie. Młoda królowa, widząc jego ogromną szlachetność i oceniając już jasno całą doniosłość czynu, którego spełnienie od niej jedynie zawisło, oddaje mu swą rękę. I teraz Jagiełło nie chce jeszcze przyjąć jej ofiary. Wie, że byłoby to z jej strony poświęcenie. Nie myślał, że jest wolna. Panowie polscy zwiedli go. Nie chce zamykać jej życia. Będzie cierpieć — lecz niech ona będzie szczęśliwą. Rycerskość ta wzmacnia postanowienie Jadwigi. W pięknej scenie żegna się Wilhelm z Jadwigą. I on korzy głowę przed jej postanowieniem.

Pod względem budowy „Królowa Jadwiga" jest najlepszą sztuką Szujskiego. Być może, przyczyniła się do tego dążność zastosowania się do wymagań klasycznego teatru francuskiego, a przedewszystkiem do zachowania jedności czasu. Prawidło owo, żądające od twórcy, aby przeciąg czasu, w którym rozgrywa się jego dramat, nie przekraczał doby, zmusza go zarazem do obmyślenia jednolitej akcyi. W sztukach o dowolnym okresie czasu, gdzie miesiące i lata mogą upływać między aktami, łatwiej o rozproszenie akcyi. Wogóle prawidło jedności miejsca, przeciw któremu tak bardzo burzono się, zapewne, że nieraz słusznie — ma wielką doniosłość w twórczości dramatycznej. Ono to zmusza artystę do przemyślenia osnowy, do ścisłego uwarunkowania wypadków, które zajdą w jego sztuce, zmusza do poprawnej kompozycyi.

Szujski uniknął w „Królowej Jadwidze" błędów, które popełnił w innych dramatach. Poselstwo litewskie, staranie się

Jagiełły o rękę Jadwigi, jej miłość do Wilhelma — to fakty historyczne; po za tem niejedno stworzyła fantazya poety. Pragnąc zachować jedność czasu, musiał Szujski tak akcyę swą rozłożyć, aby każda scena następna była wypływem poprzedniej. W każdym innym dramacie osnowa, z jakiej powstała „Królowa Jadwiga", byłaby niewystarczającą, za krótką; jeden lub, co najwyżej, dwa akty zrobiłby z niej Szujski. Tu musiał poprzestać na tym szczupłym wątku, który mu dawała historya. Cokolwiekbądź jednak złożyło się na to, kompozycya dramatu jest najbardziej jednolitą. Pierwsze trzy akty za mało mają życia, za to dwa ostatnie, a zwłaszcza wyborny akt IV, nie mają prawie sobie równych w twórczości Szujskiego. W „Jadwidze" jest zarazem najmniej epizodów. Poeta najzupełniej opanował swój temat. Jeśli co zarzucić można jego sztuce, to chłód i przewlekłość niektórych scen, zwłaszcza w trzech pierwszych aktach. Jedno jednak i drugie było po części następstwem założenia.

Zrzekając się obrazowania gwałtownych wypadków dziejowych i zbytniej historyczności w gromadzeniu materyału, baczną uwagę zwrócił Szujski na psychologię osób. Uczucia, które oddaje, są subtelne. W przeprowadzeniu charakteru Jadwigi niema żadnego fałszu, a jest ogromna rozmaitość. Jedynie razi tu retoryczność, zacierająca w potoku słów niejeden świetnie zaznaczony rys duszy młodego dziewczęcia. Postać Jagiełły również dobrze nakreślona, a nad Jadwigą ma tę nawet wyższość, że silniej przemawia do wyobraźni. Postawiony w kolizyi, dla niego samego niezwykłej, oczarowany urokiem młodej królowej, burzliwy, a jednak wbrew swej naturze panujący nad sobą, był wdzięcznym przedmiotem dla psychologa. Zdaje się też, że Szujski najbardziej ukochał go ze wszystkich postaci dramatu. Wilhelm to butny, germański książę. Kocha szczerze i przez to budzi w nas sympatyę; jego język poetyczny, jakim mówi, prosi, błaga i wybucha, jest piękny. W rozwiązaniu jest on zamało wierny swojemu charakterowi, zbyt chłodny mianowicie, kiedy musi uledz konieczności. Po za tem charakter jego maluje się jasno, energicznie. Z innych osób Witold i Dymitr są najlepiej zarysowani.

VIII.

Tragedya „Zborowscy" jest dla badacza ciekawą ze względu, że na tym samym temacie osnuł Szujski „Samuela Zborowskiego".

Porównanie tych dwu dramatów jasno okazuje, że talent Szujskiego rozwijał się i mężniał. „Zborowscy” powstali w dwanaście lat po „Samuelu”.

W „Samuelu Zborowskim” akcya płynęła zbyt szerokiem korytem; autor chciał w nim wszystko wypowiedzieć, o czem się dowiedział ze studyów historycznych, i w nawale szczegółów stracił z oczu całokształt. Nagromadził wiele kolizyi i osób, lecz kolizyi należycie nie rozwinął, osób nie uwypuklił; w dramacie mamy za dużo przygotowań, a za mało następstw. Po akcie pierwszym moglibyśmy spodziewać się, że bracia Samuela odegrają większą rolę w dramacie, po szerokich przygotowaniach do buntu szlachty—że bunt zaważy silnie w przesileniu lub w rozwiązaniu dramatu: tymczasem to wszystko nas zawodzi. Tragedya „Zborowscy” już pod tym względem odskoczyła od swego pierwowzoru; niema tu już tej chaotyczności. Każdy krok, każde słowo ma swój cel.

W pierwszym dramacie bracia Samuela nie mieli żadnej bezpośredniej przyczyny, aby z nim współdziałać. Mogliśmy jedynie przypuszczać, że robili to ze względów rodowych, choć tego nigdzie autor nie zaznaczył. Brak też było z tego powodu w ich działaniu głębszego umotywowania. Tu zaś każdy z braci staje się nieprzyjacielem króla z własnych osobistych względów: Krzysztof, bo król nie chce mu powierzyć najmniejszego urzędu, Andrzej —, bo zawiódł się w swych obliczeniach, przypuszczał, że, kiedy Batory zasiądzie na tronie, zapłaci mu sowicie za to, że na elekcyi skutecznie poparł jego kandydaturę. Król jednak nie śpieszy się z uznaniem jego zasług; Andrzej wprost upomina się o nagrodę, prosząc o pieczęć koronną, w mowie swej jednak daje dotkliwie uczuć Batoremu, jak wiele wdzięczności mu winien. Przepysznie odpowiada król: „Gdzie ja — tam gróźb się kończy panowanie! z pięścią po zaszczyt wam przyjść nie pozwolę. Wolność szanuję, lecz skarzę swawolę. W świątyni sejmu piszcie wasze prawa, wykonać — moja powinność i sława. Moim jest wybór tych, co wykonają, i biorę takich, którzy mi przystają, jak płaszcz do ramion, jak miecz do prawicy”. Nic dziwnego, że wstawienie się potem Andrzeja za bratem Samuelem pozostaje bez skutku. W pierwszym dramacie Samuel sam za sobą się wstawiał, co było mało prawdopodobne i mocno trąciło romantycznością lichszego gatunku; wszak to — stateczna Gryzelda ukryła go w komnacie i w stosownej chwili przypuściła do kolan stryja. Drobny to szczegół, lecz świadczący o dojrzałości poety.

Obydwaj bracia, Krzysztof i Andrzej, bezpośrednio czują się skrzywdzeni. Przytem Szujski położył silny nacisk na ich dumę rodową. Ona to nadaje do pewnego stopnia Andrzejowi i Samuelowi polot ducha. „Nie z czczej ambicyi rosną moje chęci — mówi Andrzej — z domu je wziąłem, co, możny i duży, od swej kolebki Polsce wiernie służy, którego praca nie blask pusty nęci, z domu, co w górę wzniósł się krwią i potem pokoleń, zbrojnych prawem i brzeszczotem". Nie poprzestał na tem poeta — zróżniczkował ich jeszcze więcej. Samuel najszlachetniejszym jest z nich wszystkich, Andrzej — szorstki, gwałtowny i ambitny. Jeśli mści się, to gotów brata poświęcić, byle dopiąć celu. Krzysztof upadł z nich trzech najniżej. On jest zakałą rodu. Cierpią go pierwsi dwaj, lecz dają mu zarazem uczuć swą wzgardę.

Zindywidualizowawszy w ten sposób charaktery trzech braci, nadał Szujski większą siłę rozpędową akcyi. Główną rolę odgrywa Samuel. Wprawdzie usiłował Szujski dla usprawiedliwienia tytułu dać rozwiązanie osobne dla każdego z braci, jak np. dla Krzysztofa w epilogu, lecz to nie zmienia postaci rzeczy. Epilog ten ma luźny związek z całością, a nawet jest zbyteczny. Co do Andrzeja, to ten w ostatnich aktach nie odgrywa wybitniejszej roli, aby go można było uważać za równorzędną osobę z Samuelem. Prócz zasadniczych różnic charakteru i interesów, wykończył nadto Szujski ich postacie prawdziwie artystycznie. Każdy z trzech braci jest wybornie pomyślany i wykonany. Odskok to ogromny od „Samuela Zborowskiego". Tu jest Szujski znakomitym psychologiem, tam nie był nim jeszcze.

Mówiąc o rodzinie Zborowskich, jeszcze o jednem trzeba wspomnieć. Trzej bracia, tak, jak ich autor pokazał w dramacie, mimo, że Samuel ma w sobie dużo szlachetności, tworzyliby za wielką, za czarną plamę w sztuce. Dla złagodzenia przykrego wrażenia Szujski w dusznej atmosferze domu Zborowskich zarysował przelotnie ich matkę Annę. Ślepa staruszka jest prześliczną postacią w tragedyi. Kontrast to mistrzowski. Wieje od tej słodkiej, cichej kobiety taki urok i takie piękno, jak od żadnej innej kreacyi kobiecej Szujskiego.

Co do kompozycyi, pominął Szujski prolog, który poprzedzał „Samuela", a który jest przewlekły i niepotrzebny; pominął również postać Włodkowej, która w pierwszym dramacie odgrywa pod koniec znaczniejszą rolę. Wypadły przez to sceny niesmaczne, zmieniło się również rozwiązanie. Po zatem tak pochód weselny, jak i podburzanie szlachty ściągnął do właściwych rozmiarów. Wszystkie te zmiany są bardzo korzystne dla sztuki.

Akcya w „Zborowskich" toczy się mniej więcej w ten sam sposób, co w „Samuelu". Batory nie zdejmuje banicyi z Samuela, Zamoyskiemu oddaje rękę Gryzeldy i pieczęć koronną. Zamoyski wie, że tym jednym krokiem stworzy sobie dwu nieubłaganych wrogów — Samuela i Andrzeja. Boi się przyszłości. „W rozumie ludzkim niema na to głosu, w obszarach myśli niema na to rady. Tocz się do końca, straszna falo losu!.."

Przybyły wyborne sceny w domu Zborowskich. Charaktery Krzysztofa i Andrzeja rysują się ostro. Andrzej wygnałby chętnie Krzysztofa — bo „dziś, kto pragnie strzały nienawiści na dom Zborowskich — ciebie w twarz nam miota: w garść bierze brudy twojego żywota i kala nimi tarcz naszą herbową!" On zhańbił ich ród, bo błagał króla o podły jurgielt po jakimiś tam mieszczaninie. Na to odpowiada szyderczo Krzysztof: „Co głupsze, powiedz: wsadzić na tron Bata, szargać fortunę, płuca mową zrywać, a potem, kiedy ominie zapłata, w Zborowskim zamku *Dies irae* śpiewać, widzieć, jak pieczęć taka pożądana w dom szerepetki Zamoyskiego Jana idzie... czy (przeciwnie) strasznym bywszy wrogiem (jak on, Krzysztof) przed zwycięskiego stanąć króla progiem i rzec: mych zębów doświadczyłeś, panie, daj co zakąsić, bo pokąsam jeszcze?" Nie chce z nim również nic mieć wspólnego Samuel. Ale na wiadomość, że banicyi nie zdjęto z niego, miarkuje się. Będzie potrzebował pomocy Krzysztofa, choć nim gardzi. Jeszcze nie wie, co pocznie, lecz działać musi: albo wzburzyć szlachtę i powściągnąć króla, a potem na karku wroga z nim się pojednać, lub uderzyć na wschód i tam królestwo sobie założyć! Jeszcze tylko miłość go wiąże. Lecz Krzysztof podaje mu z drwinami list, w którym król zaprasza gości na gody weselne kanclerza z Gryzeldą. Przepiękne miejsce! Samuel blednie, to cios w samo serce, lecz właśnie dlatego drwin brata nie zniesie. „Milcz waść! cios wielki ten list w sobie chowa; śmierć za śmiech każdy! nie puszczę nikomu... musi tu cicho być, jak w zmarłych domu..." Lecz sprawa wspólna, chęć zemsty łączą ich z sobą.

Kiedy Samuel chce jawnie działać, Andrzej układa piekielny plan. Samuel i Krzysztof padną jego ofiarą, ale i król padnie. Oto Samuel pojedzie na sejmik, aby zawiązać konfederacyę. Zamoyski, którego on (Andrzej) uwiadomi, będzie go musiał więzić i skazać na śmierć, jako banitę. Wtenczas to Kościesza, sługa Krzysztofa, zabije króla na polowaniu. Królobójstwa szlachta nie darowałaby im nigdy, lecz śmierć brata Samuela zatrze lub, przynajmniej, zmniejszy wrażenie.

Lecz Samuel domyśla się wszystkiego; zabija Kościeszę na polowaniu w chwili, kiedy ten czyhał na króla, sam oddając się w ręce sprawiedliwości, jako sprawca zamachu. A choć potem, po wydaniu na niego wyroku śmierci, wykrywa się jego niewinność, błaga Zamoyskiego, aby pozwolił mu umrzeć, bo chce pokryć hańbę swego rodu, bo zresztą czuje, że życie jego zmarnowane, a tam w grobie czeka już na niego Gryzelda. Rozwiązanie to daleko logiczniejsze, niż w „Samuelu".

Wartość „Zborowskich" jest bez porównania wyższa, niż „Samuela". Jako artysta i jako psycholog, złożył Szujski w „Zborowskich" niezaprzeczone dowody postępu. Najważniejszą jednak dla nas stroną dramatu jest chęć utworzenia pełnego obrazu ścierających się z sobą dwu prądów w ówczesnej Rzeczyspolitej. Z jednej strony rodzina „Zborowskich", która skupia w sobie wszystkie niemal wady rozbujałej szlachty, która jest jaskrawym przykładem, jak bardzo dobro Rzeczypospolitej uważano za równoznaczne z samolubnemi ambicyami i interesami; z drugiej strony — król wielki i człowiek, który nie dzięki przeszłości swego rodu, lecz dzięki swemu talentowi, wyrósł nad ogół. Z jednej strony rozstrój, z drugiej pragnienie ładu państwowego. Samuel, umierając, bierze na siebie winę tej całej rzeszy szlacheckiej, tej kliki magnackiej, która grzęzła w prywacie i złotej wolności. Po nim jednak pozostają jeszcze Krzysztofowie i Andrzeje, krórzy ani boleć, ani winy swej uznać nie zechcą. Samuel wolał zginąć, niż widzieć przyszłe podłości swych braci. Przy całym swym wichrowatym charakterze miał jeszcze dużo poczucia prawości.

Że Szujski w „Zborowskich" poza samą tragiczną kolizyą chciał jeszcze coś więcej powiedzieć, świadczy epilog. Ten król, zwycięski wprawdzie, lecz umierający otwiera swą śmiercią bezdennie smutną perspektywę.... Jako część w całości, epilog jest zbyteczny, jako wyrażenie idei, potrzebny. Poprzez całą tragedyę kroczy tajemniczy ów Bóg dziejów, kroczy „pośród zmarłych i upadłych i pisze na ich twarzach wyroki swoje święte".

IX.

Z rozbioru powyższych dramatów Szujskiego wyciągnąć można następujące wnioski.

W twórczości poetycznej autora „Dziejów" wyróżnić trzeba dwa pierwiastki składowe — artystę-poetę i historyka. Jako artysta,

miał Szujski świadomość środków oddziaływania na widzów, szukał dróg co najlepszych i próbował w tym celu różnorodnej techniki czy to w tragedyi o zakroju Racine'a, czy w dramacie Szekspirowskim, czy wzorowanym na dziełach hiszpańskich. W pracy tej nie ustawał przez całe życie. Doskonalił budowę, wykształcał dyalog, którym posługiwał się w swych sztukach, pogłębiał język i uszlachetniał jego wierszowaną formę.

Jako poeta, miał duży zasób wyobraźni, która przenosiła go łatwo w minionych wieków życie, wydobywała z mgły przeszłości i wskrzesała dawno zmarłe postacie, dając im intuicyjnie wyczutą duszę. Ta wyobraźnia urabiała ludzi, dawała im moc życia, wypełniała treścią wyblakłe kontury historyczne, zawsze i wszędzie starała się być różną a prawdziwą. Że wyobraźnia Szujskiego niezwykle była czynną, tego dowodzi „Królowa Jadwiga". W tej już nie historya, bo kroniki dostarczały zbyt skąpo wiadomości, lecz jedynie fantazya poety zdołała przekazaną w kilku słowach wieść o walce, jaką stoczyła z sobą młodziutka królowa, rozwinąć i rozpiąć na ramach pięcioaktowego dramatu, dać jej psychologiczny rozwój i stworzyć takie śliczne sceny, jak wszystkie, w których występuje Jagiełło.

Jako dramaturg, miał Szujski głębokie zrozumienie tragiczności. Wszystkie kolizye, w których znajdują się jego osoby, nigdy nie są błahe, nigdy na efekt obliczone. Jeśli co można mu zarzucić, to, że nie zawsze umiał nagromadzony materyał odpowiednio wyzyskać, że scen, głęboko pomyślanych, nigdy dość potężnie nie rozwinął i nie wydobył z nich takiej mocy, jaką mógłby wydobyć. To też dramaty jego czynią wrażenie pierwszych śmiałych szkiców, rzuconych pewną ręką, które mówią nam o tem, co dopiero będzie. Bo ani rysunek wykończonym, ani perspektywa we wszystkich szczegółach należycie przeprowadzona, ani, co najważniejsza, tragicznym postaciom nie dał jeszcze artysta pełnej, wykończonej aż do drobiazgów, charakterystyki.

Ujemny wpływ na twórczość poetycką Szujskiego wywarła historya. Nie można rzec, jakoby studya historyczne skrzywiły jego talent i sprowadziły z dobrej drogi na złą. Wszak „Samuel Zborowski," napisany za czasów uniwersyteckich, jest najbardziej ze wszystkich dramatów chaotycznym i najbardziej może ze wszystkich historycznym, a to przez chęć wtłoczenia w ramy sztuki, całego olbrzymiego materyału historycznego, związanego z główną osnową tragedyi. Zdawałoby się, że przez dalszą pracę, wyłącznie artystyczną, można było pozbyć się tej wady. Lecz studya historyczne utwierdziły go w powyższym błędzie, a nawet wsparły go

ścisłą metodą naukową. Wpłynęły one zarazem ujemnie na wszystkie czynniki, które składają się na powstanie dzieła sztuki. Powściągały i paraliżowały wybuchy uczuć, odbarwiały wyobraźnię, która mogła rozwinąć tęczowe kolory i sprowadzały ją do jednego zasadniczego, szarego tonu, kazały mu pogardzać wszystkiem, co jest efektem, błyskotliwością, ornamentacyą, co zaognia ciekawość i skupia uwagę, tem wszystkiem, co się nazywa bogactwem sztuki i jej scenicznością. Po za tem zapomnieć nie można że Szujski rzucił się wprost bez uprzednich przygotowań do stworzenia tragedyi narodowej historycznej, jednej z najtrudniejszych do wykonania w dziedzinie dramatycznej. Na tem polu, na jakie wszedł, nie miał nawet wzorów. Szekspir, którego zrazu bezwzględnie naśladował i bezwzględnie wychwalał już za dalekim był całą swoją techniką od nowoczesnych wymagań. Zresztą dla Szekspira nie istniał naród, tylko człowiek. Racine? Ten był wszystkiem, tylko nie narodowym tragikiem. Voltaire? Victor Hugo? Przeżywali się tak prędko, jak prędko wyrośli. Schiller? Goethe? jeszcze może najbliżsi i najlepsi. Lecz ani tak wzięci byli podówczas, ani nawet nie stworzyli rzeczywistej wielkiej narodowej tragedyi, ani, co najważniejsza, w niczem nie byli pokrewni jego ideom. Szujski tragedyę swoję chciał przemienić w wielką scenę cywilizacyjną, z której przemawiać miały wielkie dawne błędy i wielkie dawne cnoty, które miały dźwigać i hartować, kiedy tamci służyli przedewszystkiem sztuce i tylko sztuce. We własnej literaturze tem bardziej nie mógł znaleźć żadnych wzorów. To, co zrobiono na tem polu było gwarą niemowlęcą, a już w żadnym razie nie mogło uczyć. Jeden Słowacki napisał „Horsztyńskiego“, „Jana Kazimierza“, „Złotą Czaszkę”—lecz to wszystko były fragmenta. Stąd to przerzucanie się gwałtowne od szkoły do szkoły, próbowanie wszelkich możliwych dróg, stąd pokrój sztuk francuski, angielski i hiszpański.

Tak to badania historyczne i powzięcie wskutek nich myśli pogłębienia ideowego tragedyi narodowej przez wprowadzenie do niej prawie że filozofii historyi — wpłynęły ujemnie na twórczość dramatyczną Szujskiego, doprowadziły go do tego, że pomieszał ze sobą pojęcia historyi i sztuki i pozwolił zalać historycznemu materyałowi i zamulić misterne koryta tragedyi, a filozoficzno-historycznej idei wysuszyć żywotność charakterów i przekształcić je na jej cienie.

Jeśli w wykonaniu takim był Szujski, a nie innym, to w swoich teoretycznych wywodach był bez porównania wyższym. Wszystko, co powiedział w obu swoich przedmowach, a zwłaszcza w dru-

giej, chciał niewątpliwie wprowadzić do swoich sztuk; w zabiegach jednak około stworzenia tej nowej formy tragedyi, której czuł się jednym z uznojonych wstępnych pracowników, a zarazem pochłonięty historycznością swoich osnów, nie zdołał wznieść się na stopnie doskonałości. Tem więcej to, co zamknął w swych przedmowach, jest charakterystycznem. Myśli bowiem, rzucone w nich, świadczą nam o tej ciągłej pracy ducha, który, choć zmęczony i wyczerpany badaniami historycznemi i życiem obywatelskiem, nigdy nie zapominał o ulubionej twórczości dramatycznej, przeciwnie coraz mocniej i coraz bystrzej tężył swój wzrok, aby uchwycić przynajmniej w wyobraźni kształty tego ideału, jaki zgadywał przeczuciem. Świadczą one z jednej strony o tem, że cała praca artystyczna Szujskiego świadomą była siebie, swoich środków i celu, który jej przyświecał, jak świadomem było wszystko w jego działalności, z drugiej strony uzupełniają nam obraz rozwoju artystycznego poety, uzupełniają budowę tej nowej tragedyi, jak on ją pojmował, budowę, której fundamenta wzniósł własnemi pracami dramatycznemi, a dał jej pokrycie i szczyty w teoretycznym wywodzie.

Jego tragedye nie powstawały z założenia wyłącznie artystycznego, z chęci odtworzenia jedynie obrazu danej epoki. Każda z nich miała być pełnem mocy i myśli słowem, rzuconem z trybunału dziejów. Aby tego dopiąć, nie poprzestawał na objektywnem przeprowadzenia akcyi. Osoby jego często rzucają w dłuższych ustępach światło na całość, przemawiając w zastępstwie autora. Czy to będzie Zamoyski, czy Dymitr z „Królowej Jadwigi", czy Wallas, czy Lubomirski — każdemu poeta daje w usta słowa pełne głębokiej prawdy politycznej. Idea Rzeczypospolitej jest jakby duchem, unoszącym się nad wszystkimi dramatami — do niej zwracają się postacie dodatnie i ujemne w chwilach przełomowych. Mimo to jednak nie można powiedzieć, aby Szujski dla przeprowadzenia swoich myśli n a g i n a ł dramaty. Jako historyk, odtwarzał tylko te sytuacye, które były, i wypadki, które zaszły. Lecz, jak historyk korzysta często z nadarzającej się sposobności, aby rzucić swoje ogólne zapatrywanie na przebieg sprawy i obudzić w nas w ten sposób tem większą baczność i krytycyzm, podobnie postępował Szujski, jako twórca dramatyczny. Prawdy historycznej nie przeistaczał, podkreślał ją jednak, aby w widzach wywołać zamierzone wrażenie. W całej twórczości Szujskiego daremnie szukalibyśmy stosunku ludzi do ludzi, namiętności do namiętności — jest jeden, jedyny stosunek, któremu wszystko ulega — stosunek j e d n o s t e k d o n a r o d u. Poeta nie zajmuje się jakąś dążnością złą

czy dobrą dla niej samej, nie tworzy charakterów, jak Szekspir, dla nich samych, lecz tworzy je dla ich stosunku do bytu rzeczypospolitej. To jest owa idea, która pod przeróżnemi postaciami wyłania się w jego poszczególnych dramatach, to jest jego tendencya.

Czytając sztuki Szujskiego, czujemy, że czegoś nam brak, że nie możemy wżyć się w rozwijane osnowy, że nie możemy znaleźć stanowiska obserwacyjnego, z którego twórca patrzał na swoje dzieła. Rozumiemy kolizye, rozumiemy namiętności, które wprowadził, a jednak doznajemy wrażenia — że one nie są zupełne, że mają coś więcej wypowiedzieć, niż wypowiadają. Wieje od nich z małymi wyjątkami chłód liczb i równań. Historyczno-filozoficzna dążność, która w dojrzalszych tworach Szujskiego wycisnęła swoje piętno na każdem niemal słowie i na każdym nowym przejawie charakteru, sprawiła, że atmosfera jego teatru ciężką jest i dziwnie sztywną. Złudzenie życia zaciera się, znika bezpośredniość wrażeń, tak niesłychanie ważna w oddziaływaniu sztuki na widza. Zamiast bowiem do uczucia, tragedya jego usiłuje mówić do rozumu, do rozsądku, bo wreszcie autor, chcąc się jak najlepiej wypowiedzieć, coraz bardziej ścieśnia koło swej twórczości i zamyka się niemal wyłącznie w świecie politycznych kolizyi i namiętności, w świecie złożonych uczuć, najtrudniejszych do przedstawienia, jeśli te nie mają być zimne i nie mają nużyć.

Nie zostawił też żadnego dzieła doskonałego, żadnej tragedyi, któraby mogła, jako kolumna marmurowa, trwać zawsze w naszej literaturze obok Mazepy, Horsztyńskiego i Zemsty. Zasługi jednakowoż położył niezwykłe. Zrzekając się tryumfów łatwych i sławy łatwej, pracował całe życie wytrwale i mądrze, aby torować drogę przyszłemu, wielkiemu, narodowemu dramatowi. Odkrył nowe niewyczerpane bogactwa tragicznych idei i namiętności, pokazał po raz pierwszy w naszej literaturze, gdzie szukać trzeba wielkich postaci i jak ich szukać. Praca to była nad siły. Z jednej strony trzeba było stwarzać formę, której nie było, a do której ukształtowania chciał się przyczynić choćby kilku wiązaniami, z drugiej trzeba było walczyć z tradycyą własnej literatury, aby wyrzec się ponęt liryki i epiki i stanąć na własnym gruncie pojmowania zadania dramatu i jego istoty. Z jednej strony usiłowania twórcze, reformacyjne, z drugiej zbytni balast ideowy, paraliżujący jeszcze tem bardziej już i tak trudne zadanie. W tem tkwi przyczyna, dlaczego tragedye Szujskiego w wykonaniu tak dalekie są od jego własnych, teoretycznych poglądów na dramat.

W nich dopowiedział to, czego nie mógł powiedzieć całą swoją twórczością. I dlatego to owe dwie przedmowy, tak wielkie mają znaczenie ze względu na twórczość Szujskiego. Przedstawiają nam one jego artystyczną działalność już nie, jako szereg tragedyi, które są w mniejszym lub większym stopniu ciekawe i to lub owo zajmują miejsce w literaturze w stosunku do innych — lecz jako, jeden całokształt, w którym prawda, że niejeden marmurowy odłam popękał w kawały pod uderzeniem dłuta, nie wyrażając tego, co chciał wyrazić artysta, lecz który niemniej wielki jest swoją śmiałością i gotyckim pokrojem, jak jest dla twórcy poważnym tytułem do chwały.

Tadeusz Konczyński.



Miączyński i Dumouriez.

Wizerunki i sceny historyczne z dziejów Polski i Francyi

(1769 — 1793).

II.

Walki konfederatów. — Suworow.— Drewicz. — W Sączu. — Miączyński pod Lelowem. — Zasiłki z Francyi. — Pułaski. — Częstochowa. — Lanckorona. — Zatargi z Dumouriez'em. — Szyc i Walewski. — Bitwa stanowcza pod Lanckoroną.— Ucieczka Dumouriez'a. — Miączyński jeńcem. — Jego cyrograf. — Odezwa. — Powrót do konfederacyi.

Siły wojsk rosyjskich w Koronie przedstawiały armię bitną i karną, dowodzoną przez generał-lejtenanta Weymarna, a następnie przez gen. Bibikowa. Armia ta podzieloną była na mniejsze komendy, rozstrzelone po różnych zakątkach rozległej przestrzeni kraju. Generał Suworow dowodził najliczniejszym, pięciotysięcznym oddziałem. Trzecią część armii rosyjskiej stanowiła konnica nieregularna. Pułkownik Drewicz najbardziej dawał się we znaki konfederatom, lecz częstokroć i oddziałowi Miączyńskiego wiodło się pomyślnie w utarczkach z Drewiczem. Męstwo, którego nieustanne

dawał dowody, zjednało mu szacunek—nawet między przeciwnikami. Rękopisy Biblioteki Ossolińskich zawierają, oprócz odezw, uniwersałów i ordonansów Miączyńskiego z owej epoki [1]), charakterystyczny list pułkownika Drewicza, przesłany Miączyńskiemu w d. 9 lutego 1771 r. z powodu zatrzymania wywiadowcy żyda z uniwersałem marszałka bełskiego. Schwytanego w mieście Świrze wywiadowcę odesłał Drewicz Miączyńskiemu z listem tej osnowy:

„Uniwersał Waszmości Pana dostał się do rąk moich. Ojczyzna Waćpaństwa więcej szczęśliwa, jak nieszczęśliwa, przez tych, których Waćpan Dobrodziej nazywasz nieprzyjacielami... Nieszczęśliwa jest ojczyzna przez rodowitych niektórych synów jej. Żyda posyłam przez wszelkiej kary na odwrót do Kalwaryi, oprócz interesów publicznych (papierów), zostając z należytym uszanowaniem dla osoby Jego. Waćpana Dobrodzieja Uniżony sługa, *Drewicz* [2]).

W lutym 1771 roku generalność barska z Preszowa przeniosła się do Sącza i zaleciła Miączyńskiemu, Zarębie i Sawie, „by wszelkie pomniejsze partye konfederackie, słuchające i niesłuchające jej ordynansów, pod swoją zabrali komendę, nieposłusznych zaś, wybierających kontrybucye i furaże, s e r y o karać zaleciła".

Wyłamywaniu się z pod władzy generalności dał początek marszałek Bierzyński, poplecznik b. podskarbiego Teodora Wessla, posiadający zaufanie księcia Karola Radziwiłła.

Ambitne zamysły Bierzyńskiego ujawniły się na zjeździe marszałków konfederackich w Białej, gdzie zamierzano złożyć koło wojskowe w Bochni, niezależnie od generalności. Chciał się tu Bierzyński narzucić, jako marszałek owego związku, a gdy mu się ów zamiar nie powiódł, zaczął jawnie występować przeciw generalności i wszedł w stosunki z otoczeniem króla. Dowiedziawszy się o planach Bierzyńskiego, zjechała generalność do wsi Koneczna, pod granicą węgierską leżącej, i tam wezwała opornego konfederata do usprawiedliwienia się, gdy zaś wezwany nie stanął, ogłoszono nań wyrok, skazujący go na infamię i na śmierć. Wezwano jednocześnie marszałków: Miączyńskiego, Pułaskiego, Ignacego Potockiego, aby ze swemi komendami ruszyli przeciw Bierzyńskiemu i adherentowi tegoż, Dzierżanowskiemu, a po schwytaniu dostawili go do generalności, celem wykonania na nim dekretu.

---

[1]) Ks. 566, str. 296—298, z obozu pod Zamościem, ks. 568, str. 193, z obozu pod Żmigrodem, ks. 570, str. 19, z samego Żmigrodu, ks, 572, str. 429, z obozu pod Pilznem, i wiele inn.

[2]) „Bibl. Ossol." Ręk. № 568, str. 259.

Bierzyński wprawdzie, zdradzony przez marszałka Walewskiego, dostał się pod Żywcem w ręce ścigających go marszałków, lecz dostawiony do miasteczka nad granicą węgierską zdołał umknąć. Wojska jego rozdzielono między różne komendy, a sprawę samą, w którą, jak się okazało, wmieszani byli adherenci pozorni generalności i sprzymierzeńcy dworu, umorzono.

W trakcie owych zawichrzeń wewnętrznych dowódcy rosyjscy, Drewicz i Renn, zadali konfederatom dotkliwą klęskę pod Błoniem (w połowie marca) i ruszyli w krakowskie przeciw Miączyńskiemu i Pułaskiemu. Przyłączyły się do nich oddziały Elżanowa i Albiszewa, ruszywszy z pod Przemyśla i Rzeszowa. Pułaski z głównym oddziałem swoim był w Gorlicach, podjazdy zaś jego krążyły w okolicach Biecza, gdzie im zadano porażkę.

W dniu 10 kwietnia 1771 r. oddział pułkownika Elżanowa w 800 ludzi piechoty i 1200 jazdy uderzył na Miączyńskiego. Przybył temu z pomocą Pułaski, i odparli atakujących, którzy ze stratą dwustu ludzi cofnęli się. Zwycięzcy wyruszyli w Przemyskie i zaczęli ludność miejscową nękać poborami, o czem wojewoda lubelski z żalem doniósł biskupowi Krasińskiemu do Drezna [1]).

Z rozkazu Dumouriez'a skierował się następnie Kazimierz Pułaski pod Częstochowę owładnął jej twierdzą i oparł się zwycięsko śpieszącym w poznańskie oddziałom pułkownika Drewicza. Z jego również rozkazu marszałkowie, Miączyński i Walewski, którzy z oddziałem 6000 konfederatów zajmowali stanowisko między Rabką a Białą (Petrow. III. 199), dopełniwszy w krakowskiem poboru zaciężnych, zbliżyli się ku granicy węgierskiej [2]).

Zamek obronny Lanckoroński powierzony został czujności oficerów francuskich, Labadie i Lasserre'a, i stał się punktem centralnym operacyi Dumouriez'a. Przekonawszy się o korzystnem położeniu Tyńca, o milę od Krakowa znajdującego się, kazał Dumouriez ten punkt ufortyfikować i ustawił tam czterystu piechurów z czterema działami.

---

[1]) Szmitt: „Dzieje" T. III. 425 i T. IV. 100. „Gazety pisane" z lat 1770 — 1772. („Rękop. bibl. Zamojs." N. 1329) wzmiankują jeszcze o pomyślnej potyczce Miączyńskiego z oddziałem Drewicza pod Lelowem, skutkiem której Drewicz cofnął się pod Poznań na sukurs pułkownikowi Langemu, przez marszałka Zarembę obleganemu. Potyczka ta mogła się odbyć w początkach lutego 1771 r.

[2]) „Miączyński sollte von Landskron den Durchgang bei Kalwaria erzwingen, die Posten der Russen vor Krakau zurückwerfen und die Ebene vollends reinigen" v. Schmitt. „Suworow" I. 72.

Następnie pojechał do żup wielickich, wzmocnił zamek w Bobrku i wyżynę na Krzemionkach. Pułaskiemu powierzył obronę linii Dunajca, Miączyńskiemu—żup wielickich i Lanckorony, Walewskiemu — Oświecimia i Bobrka, sam zaś z konsyliarzami wojennymi zajął się zaciągiem piechoty [1]). W chwili zbrojenia Lanckorony generał Suworow, pragnąc przeszkodzić utworzeniu silnej forteczki w promieniu sześciomilowym od Krakowa, przedsięwziął przeciw niej wyprawę, lecz załoga Miączyńskiego, w fortecy usadowiona, atak ów zwycięsko odparła. Padło podówwczas pod murami Lanckorony 250 grenadyerów rosyjskich.

Gdy w taki sposób pierwsze miesiące roku 1771 zapowiadały pomyślny skutek planu bojowego Dumouriez'a, niebawem ambicya i samowola owego naczelnego wodza wznieciły niezadowolenie i szemranie między jego podkomendnymi marszałkami. Pułaski zagroził, że, jeżeli Dumouriez tak dalej despotycznie postępować będzie, czeka go więzienie w twierdzy częstochowskiej, na co Dumouriez oświadczył, że, o ileby przyszło do oporu jego rozkazom, ofiarą rokoszu padnie sam Pułaski. Chcąc poprzeć groźbę przykładem, polecił rozstrzelać w przytomności Pułaskiego, Miączyńskiego jednego z marszałków, Bronikowskiego, za nieposłuszeństwo [2]).

Tymczasem następca księcia Wołkońskiego, baron Saldern, poseł pełnomocny rosyjski w Warszawie, wspólnie z królem i ustanowioną przy boku tegoż Radą patryotyczną postanowił energicznymi krokami stłumić konfederacyę i w tym celu w maju 1771 roku wydano odezwę do narodu, wzywającą go do pomocy przeciw konfederatom i zapewniającą tym ostatnim amnestyę, o ile dobrowolnie i bezzwłocznie broń złożą. Jednocześnie wszakże wezwano wszystkich dowódców komend rosyjskich i królewskich, by skombinowanym ruchem podjęły walną przeciw opornym konfederatom wyprawę. Ruszyły też ze wszech stron oddziały Langego, Łopuchina, Oebschelwitza, Suworowa i Branickiego przeciw głównemu korpusowi konfederackiemu, operującemu pod wodzą Dumouriez'a w Krakowskiem, w zamiarze stoczenia tam bitwy walnej, którаby koniec ruchowi konfederackiemu położyła.

Na wiadomość o ruszeniu się komend rosyjskich wydał Dumouriez rozkaz Miączyńskiemu, by skierował się ze swym oddziałem w stronę Skawiny, gdzie miał być utworzony punkt zborny oddziałów konfederackich. Miączyński rozkaz wykonał, doniósłszy przed-

---

[1]) „Z pam. gen. Dumouriez'a", Poznań, 1865, str. 57.
[2]) Ibid. str. 61.

tem z pod Krzemionek, iż Suworow stawia most na Wiśle. Pułaski natomiast oparł się rozkazowi Dumouriez'a i oświadczył, iż cudzoziemca słuchać nie będzie i że wojnę na swój sposób prowadzić zamierza. Zwrócił się też z własnym oddziałem w stronę Zamościa, zostawiwszy Miączyńskiego bez pomocy, w takiej właśnie chwili, gdy Suworow, przeprawiwszy się przez Dunajec, osaczał pojedyńcze oddziały konfederackie.

W takiem położeniu rzeczy nakłonił Dumouriez pułkownika Szyca, by z Suchej podążył na pomoc Miączyńskiemu, sam zaś z oddziałem Walewskiego podążył na obronę najważniejszego w owej chwili punktu strategicznego — Lanckorony.

Tutaj to w dniu 21 maja 1771 roku rozegrać się miała bitwa stanowcza, decydująca o losie całego ruchu konfederackiego, a zarazem i o dalszej karyerze wojskowej marszałka Miączyńskiego w Polsce.

Zamek Lanckoroński, położony na wyżynie, ciągnącej się na przestrzeni ćwierćmilowej, obejmował wraz z miasteczkiem, u stóp jego rozłożonem, garnizon konfederacki, 600 ludzi zbrojnych liczący, opatrzony 30 działami. Po za wyżyną, na lekkiej pochyłości, był lasek w kierunku Suchej. Z przodu i z prawego boku zamku istniały dwa urwiska niedostępne, okryte lasem sosnowym.

Po odbyciu przeglądu wojska Dumouriez na czele dwustu strzelców pieszych, dowodzonych przez oficerów francuskich, wysłał oddział stu ludzi do lasu przed frontem, stu zaś na prawe skrzydło i ustawił tam dwa działa. Skrzydło lewe oparte było o Lanckoronę. Jego plac boju górował ponad wyżyną przeciwległą, w którą działa zamkowe rdzennym biły strzałem. Kule rosyjskie z armat mniejszego kalibru padały na dwieście kroków przed polskimi szeregami.

Generał Suworow miał pod swą komendą trzy tysiące jezdnych i półtrzecia tysiąca piechoty. Zostawiwszy piechotę na wyżynie, rozkazał konnicy spuścić się do parowu, by pod górę wtargnąć do lasu sosnowego. Widząc to, Dumouriez posłał rozkaz strzelcom, by się przyczaili w lesie i, przepuściwszy kawaleryę, idącą pod górę, nie strzelali. Zapewnił, że zwycięstwo będzie po stronie konfederatów, o ile nie pozwolą przeciwnikom uszeregować się i ruszyć do ataku zwartemi kolumnami.

Nagle ukazały się dwa świetne pułki rosyjskie: petersburski i astrachański. Szły one w rozsypce. Dumouriez staje na czele Litwinów, dowodzonych przez Orzeszkę i młodego księcia Sapiehę; lecz w szeregach tych wszczyna się zamęt, wśród którego pada Sapieha. Dumouriez podąża do huzarów Szyca, lecz ci ostatni, za-

miast rąbać, dają ognia z karabinów i ustępują z placu w rozsypce. Rosyanie, zdziwieni takim niespodziewanym obrotem rzeczy, nie postępując naprzód, szeregują się do ataku. Wtedy to właśnie Miączyński na czele kilku towarzyszy rzuca się na nich, lecz strącony z konia pada i dostaje się do niewoli [1].

W odnalezionym ostatnimi czasy memoryale Dumouriez'a znajdujemy dokładniejszy opis bitwy pod Lanckoroną, oddający należną sprawiedliwość męstwu Miączyńskiego i przypisujący przyczynę przegranej — niekarności Pułaskiego i jego oddziału. Oto wyjątek z owej ciekawej relacyi:

„Dnia 23 maja (?) o siódmej rano—pisze Dumouriez—przybyłem do Lanckorony, gdzie zastałem marszałka bełskiego i Walewskiego, obozujących z 900 ludźmi, z których 70 tylko było strzelców pieszych i jedna armata. Rozłożyli się na dwu wzgórzach, przedzielonych zamkiem i miasteczkiem. Stanowisko takie narażało ich na niebezpieczeństwo oddzielnej porażki. Zaledwie miałem czas zsiąść z konia i rozmówić się z marszałkami, gdy już patrole rozpoczęły pierwsze utarczki i doniosły nam o zbliżaniu się Rosyan. W rzeczy samej rozpoczął się atak. Nieprzyjaciel zdawał się rozporządzać siłami trzy razy większemi od naszych. Składały go dwie kolumny infanteryi i dwie kawaleryi z ośmioma armatami, ze znaczną liczbą kozaków i jegrów. Dałem rozkaz zjednoczenia na wzgórzu całej mojej niewielkiej armii. Z chwiania się i bezładu moich szwadronów przekonałem się, że mogę tylko rachować na huzarów Szyca, tworzących skrzydło prawe. Strzelcy moi, których uszeregowałem na pochyłości wzgórza pod laskiem, cofnęli się na widok Rosyan.

„W tej chwili cała konnica polska, oparta o Lanckoronę i tworząca skrzydło lewe, której dano nie w porę sygnał ruszenia się i zajęcia tyłów Rosyanom, napotkała skrzydło ich prawe i zdjęta paniką naprowadziła je na nasze tyły. Jednocześnie oddział generała Szyca ruszył w pochód, by zająć wzgórze, górujące nad skrzydłem

---

[1] Waleczności Miączyńskiego oddają hołd zasłużony źródła rosyjskie. (Petrow, T. III, 224); v. Schmitt w dziele „Polens Unterg". (T. I. 78) pisze: „Der einzige Miączyński an der Spitze einer tapfern Schaar stürzt sich entschlossen auf die Russen, wird aber vom Pferde gehauen und gefangen". W relacyi Zielińskiego czytamy: Na rowie Sapieha, z koniem zapadłszy, zginął i na drugim podlaski (marsz.), już między łopatkami spisę kozacką widzący, onegoż zabiwszy, salwował się, na trzecim bełskiego (Miączyńskiego) wzięto, a Orzeszka zabito, nie chcącego pardonu, a pana Dumourieza — oczy ludzkie nie widziały" (Hen. Szmitt, IV, 148).

prawem, którędy można było nas obejść. Pospieszyłem na jego spotkanie, by zwrócić go frontem i zmusić do bitwy, co też uczynił. Zrobił parę kroków naprzód i dał jedną salwę karabinową, poczem jednak cofnął się. Widząc, że niepodobna zjednoczyć takich żołnierzy, i mając tuż za sobą karabinierów rosyjskich, a przed sobą Kozaków, uznałem za konieczne cofnąć się, poczem wciągniętym zostałem w odwrót ogólny. Książe Sapieha w chwili, gdy się chciał dostać do swego szwadronu huzarów, zabitym został. Inny marszałek, Orzeszko, również uległ temu losowi. Hrabia Miączyński, marszałek bełski, spadł z konia i wzięty został do niewoli. Niepodobna już było myśleć o skoncentrowaniu wojsk. Rosyanie mieli tylko kłopot z dobijaniem nie broniących się zupełnie dezerterów. Co do mnie, mając około siebie pięciu oficerów francuskich i żadnego nie znajdując wodza pod ręką, gotowego do bitwy, uznałem za właściwe na tem zakończyć wyprawę i nie kompromitować więcej, aż do nowego rozporządzenia, Francyi i jej zasiłków, świadczonych ludziom, którzy na to nie zasługiwali. Udałem się więc bocznemi drogami do Nowego Targu, by stąd dostać się na Węgry. Mniemam, że Pułaski miał cel jedyny w tem, by zgubić Miączyńskiego („*dont la bravoure, l'honnêteté et la naissance lui faisaint ombrage*"), którego waleczność, uczciwość i urodzenie mu zawadzały. Odpisał mi frazesami górnolotnymi w odpowiedzi na mój list i usprawiedliwiał się że chciał obejść nieprzyjaciół... jest to jednak zbyt dalekiem przedsięwzięciem, gdyż znajdował się w chwili bitwy o 30 mil od miejsca spotkania. Tak więc jedynie marszałek bełski i książę Sapieha byli godni dowodzić wojskiem, i ich tylko można było brać w rachubę" [1]).

Całkowita bitwa stanowcza pod Lanckoroną trwała pół godziny. Rosyanie ponieśli strat od kul, miotanych na nich z zamku i to dopiero nazajutrz, gdy pragnęli zdobyć forteczkę z garnizonem, 800 piechoty i 300 jezdnych. Walewski zdobył się nawet na krok stanowczy i uczynił wycieczkę przeciw cofającym się z pod Lanckorony Rosyanom. Suworow wrócił pod Tyniec, którego również nie mógł zdobyć. lecz Oświecim i Bobrek opuszczone zostały przez konfederatów [2]).

Świadectwa współczesne winę przegranej składają nie tyle na niekarność hufców konfederackich, ile na karb samowoli Dumouriez'a.

---

1) „Souvenirs et memoires", Cz. III.

2) Z pam. Dumouriez'a. Poznań, 1865, str. 65.

„Nieprzyjaciel—pisze marszałek Zieliński do biskupa Krasińskiego—nie mogąc pożywić się w Tyńcu, poszedł pod Lanckoronę. Tam Dumouriez komenderował sam, *alias* szykował wojsko. Nasi perswadowali, aby się tak wielkiej forsie zasłonić fortecą. Odpowiedział, że to *contra regulam defendendi fortalitia*. Tak przekonani racyą doświadczonego w Korsyce belligerenta wszystko podług planów i dyspozycyi jego czynili [1]).

Surowiej sądzi postępowanie Dumouriez'a Murray: [2])

„Podobien do owych graczów szalonych, którzy ostatki mienia stawiają na kartę, zdał Dumouriez wszystko na los jednej bitwy, nie troszcząc się zupełnie o jej następstwa w razie przegranej. Wyprowadziwszy z twierdzy, którą zostawił bez obrony, całą załogę, nie przenoszącą 1500 ludzi, wziął ze sobą trzy silne oddziały, które pod wodzą ks. Sapiehy, Miączyńskiego i Walewskiego przystępu do niej broniły, i ruszył na nieprzyjaciela z tą dumą imponującą, którą ożywia pewność zwycięstwa. Rosyanie, nie schodząc z korzystnego stanowiska swego, dali mu się przybliżyć, lecz, skoro przyszło do rozprawy, otoczyli jego hufce i tak je dokoła ścisnęli, że żołnierze jego zaledwie do ręcznej mogli się porwać broni. Bitwa trwała niedługo, a rzeź nastąpiła tak straszna, że, gdyby Szyc ze swymi góralami i huzarami, którzy cudów waleczności dokonywali, nie był w czas nadbiegł, i nogaby nie uszła z wojska konfederackiego. Poległo mnóstwo, większa nierównie liczba poszła w niewolę. Miączyński był w rzędzie tych ostatnich" [3]).

---

1) H. Szmitt, loco cit.

2) Materyały hist. Szmitta, T. I. 240.

3) We wszystkich prawie opisach bitwy pod Lanckoroną, jakie znajdujemy u von Szmitta („Suworow“ etc. I. 76), Rulhiéra („Hist. de l'anarchie“ IV. 245), a nawet u Dumouriez'a („Vie du Général“ I. 251), data owej bitwy błędnie podaną jest na 10 (21) Czerwca 1771 r. Błędnie podaje tę datę i Zarewicz w monografii „Lanckorona“, str. 93, a co dziwniejsza, i Henryk Szmitt w „Dziejach panow.“ Stan. Aug. III, 480. Ten ostatni historyk w tomie IV powołanego dzieła, na str. 146 i nast., sam podaje relacyę o tej bitwie w liście marsz. Zielińskiego do biskupa Krasińskiego, opatrzonym datą 10 czerwca n. s. 1771, a zatem, opisując przegraną lanckorońską, mógł Zieliński pisać o fakcie już wydarzonym, a nie o bitwie, która według Szmitta odbyła się we dni 11 później (21 czerwca 1771 r.). Historyk Petrow w źródłowem dziele: „Wojna Rosyi z polsk. konf.“ T. III. 225 pierwszy zwrócił uwagę na niedokładność owej daty. Tłómaczy on ją niepamięcią Dumouriez'a, który bitwę tę opisał w lat 24 po fakcie (1795). Oprócz innych dowodów, jakie w stwierdzeniu faktu, że bitwa lanckorońska miała miejsce 10 (21) maja 1771, a nie 10 (21) czerwca 1771 r., przychodzi w pomoc i powołany list marszałka Zielińskiego, stanowczo wątpliwość rozstrzygający. Niemniej błędną jest wersya

Z „Gazety pisanej" d. 18 lipca 1771 r. przez dalekiego sługę księcia Prymasa dowiadujemy się o staraniach kasztelanowej podlaskiej, JMci pani Miączyńskiej, by sprowadzony do Warszawy marszałek bełski nie został wywiezionym z kraju, jak to ze wszystkimi jeńcami Rada patryotyczna uczynić postanowiła. Starania te żadnego nie odniosły skutku, i Miączyński z rozkazu posła Salderna dostał się do Kijowa [1]).

Inni marszałkowie, jako to: Michał Czarnecki, Stanisław Karczewski, Ksawery Malewski, Piotr Potocki, Antoni Sufczyński, Adam Szaniawski, Michał Wolbek i Szymon Zieliński, sprowadzeni z konfederatami jeńcami na Pragę, porozsyłani zostali do miast syberyjskich [2]).

Pomyślniejszym był los Miączyńskiego. Instancye, wniesione za nim przez rodzinę, złagodziły smutną jego dolę o tyle, że za kaucyą czterech tysięcy dukatów i pod obowiązkiem złożenia deklaracyi, iż nadal w ruchu konfederackim udziału mieć nie będzie, pozwolono mu wyjechać z Kijowa za granicę rzeczypospolitej.

Poddał się zrazu tym warunkom Miączyński, jak przekonywa deklaracya jego, zredagowana w słowach:

„Niżej podpisany oświadczam uroczyście, iż, gdy broń podniosłem tak przeciw Najjaś. Królowi polskiemu, *legitime* obranemu, tudzież przeciw Najjaś. Imperatorowej całej Rosyi, jako aliantce rzeczypospolitej, dobra jej i uspokojenia krajowego żądającej, od tych czas, wcale, nigdy, z tak nazwaną konfederacyą wdawać się nie będę; żadnej pomocy, ani rady, ani przesyłki, owszem, zawsze w Warszawie siedzieć, nigdy z onej bez pozwolenia J. W. Imci pana posła wyjeżdżać, a do tego, jeśliby mnie jakowe expedycye, lub listy od przyjaciół moich w konfederacyi zostających, zaszły, te wszystkie

---

o poprzedzającym bitwę lanckorońską ruchu Suworowa z Lublina ku Krakowowi przez Dunajec, gdzie jakoby nastąpiło połączenie się z Drewiczem. To ostatnie miało miejsce w marcu 1771 r., a nie w maju t. r. Drewicz pozostawał podówczas w Wielkopolsce, na lewym brzegu Wisły. W raportach do Rumiancowa nie wspomina się o ruchu Drewicza w stronę prawego brzegu Wisły. Jeśliby — pisze Petrow—Suworow szedł ku Krakowowi przez Dunajec, to niewątpliwie natknąłby się na oddział Pułaskiego, który, przebywszy rzekę, starał się przeprawić przez San i nie mógłby być ominiętym. Hr. Rumiancow w raportach swoich do Imperatorowej wzmiankował już 5 (16) czerwca 1771 o porażce Pułaskiego pod Zamościem i o bitwie lanckorońskiej. Wreszcie o dacie 21 maja 1771 wzmianknje minister d'Aiguillon w liście do Gerarda z d. 24 czerwca 1771 r.

[1]) „Gaz. pisane". Bibl. Ord. Zamoyskich, str. 109.

[2]) „Konfed. Barscy", przez A. Kraków, 1895.

JW. panu posłowi, nie tykając onych, oddać powinien będę. Dlaczego, niniejszy skrypt podpisując, krewnych moich na poręczników dla tem większej wiary zobligowałem. Dat in Augusto, 1771. *Józef Miączyński*, starosta łosicki [1]."

Pragnąc jednocześnie usprawiedliwić się przed społeczeństwem z owego kroku, starał się marszałek upozorować to odstępstwo od sztandaru konfederackiego pobudkami politycznemi. Tem można wyjaśnić genezę drugiego skryptu marszałka bełskiego, ogłoszonego publicznie, a wykazującego niespodziewany zwrot w jego przekonaniach.

„W wolnym narodzie wychowanym będąc i do niczego bardziej, jak do służenia miłej ojczyźnie na wzór mych przodków sposobionym będąc — lubo niedawnymi czasy, za odgłosem bronienia wiary i wolności Narodu, jako najpierwszych i najcelniejszych tej Ojczyzny twierdz, z innymi sprzymierzyłem się był obywatelami; gdy jednak w trwaniu tego sprzymierzenia od wyż wymienionych odgłosów widzieć i doświadczać mi się dały czynności, przez poczynione i rozrzucone *interregni* manifesta na detronizacyę Najjaśniejszego Stanisława Augusta, króla i pana mego miłościwego, dążące, a te nieledwie o utratę życia że mię nie przywiodły, więc, jako w przeciągu całym sprzymierzenia mego, żadnego innego nad usługę Ojczyzny nie miałem celu, tej zaś sposób na najpilniejszym prawom posłuszeństwie i na powinnej dla Najjaśniejszego króla JMci wierności szczególnie zakładałem, a założonej nieodmiennie zachować pragnąłem, tak, gdy wyżej wspomnieni, związkiem złożeni obywatele, rzeczoną przeciwko Majestatowi przedsięwzięli czynność, ja, jako wierny temuż Najjaśniejszemu Stanisławowi Augustowi, aktualnie nam panującemu, a za dostojeństwo Tegoż krew i życie łożyć usiłujący Obywatel, reces ten od dzieła wzmiankowanego *interregni* czyniąc, z czystą myślą służenia Panu i Ojczyźnie nienaruszenie tęż wierność i posłuszeństwo ku Majestatowi zachować przyrzekam, a dla gruntowniejszego tejże myśli okazania wyznaniem, własną ręką do ksiąg grodu niniejszego osobiście podanem, jako najuroczyściej oświadczam się. *Józef Miączyński*, starosta łosicki [2]."

Wzburzony stan umysłów w kraju i względy polityki czasowej

---

[1]) Bibl. Ossolin. Rękop. 573, № 22.

[2]) Bibl. Ossol. Ręk. 330, № 21.

nie dozwoliły Miączyńskiemu zastosować się do brzmienia obu powyższych deklaracyi.

Dowiedziawszy się, że generał Weymarn zażądał od członka rodziny Miączyńskiego, szwagra tegoż, hr. Ronikiera, złożenia dodatkowej, pieniężnej za b. marszałkiem bełskim kaucyi, w kwocie 6000 dukatów, uczuł się tak dotkniętym nieufnością, okazaną danemu przez siebie słowu, że postanowił tajemnie opuścić Warszawę i zaciągnąć się ponownie pod sztandary konfederacyi.

Krok ten wywołał silniejsze ze strony posła rosyjskiego względem jeńców konfederackich represye. Gdy w kwietniu 1772 r. nowa partya tychże jeńców do Smoleńska wysłaną być miała, a za niektórymi z nich, zwłaszcza za marszałkiem Trzeciakiem i rotmistrzami, Słoneckim i Świrskim, naglące o ich uwolnienie zaszły instancye, poseł Saldern polecił proszącym oświadczyć: „iż odtąd, który się w niewolę dostanie, wypuszczonym nie będzie, albowiem Imci pan Miączyński, będąc uwolnionym i dawszy na siebie rewers, takowego nie dotrzymał, powrócił do konfederacyi i nie przestaje uniwersałami i manifestami oczerniać wojsk rosyjskich [1]).“

Jeden z uniwersałów Miączyńskiego, o którym wzmiankuje poseł, brzmiał w wyjątkach, jak następuje:

„Są charaktery, których żaden przymus złamać nie może. Z tych jest najświętszy charakter cnotliwego i prawdziwego Obywatela. Zastanowić jego akcyę przez dysymulacyę, pokryć gorliwość i w milczeniu taić własne sentymenta przymusza często potrzeba i niebezpieczeństwo; ale wytłoczyć to z serca, co natura z krwią ulała, co edukacya udoskonaliła, co Bóg przez religię rozkazał, co cnota przez obywatelstwo przepisała, co dawnych przodków przykłady wspaniałe w nas utwierdziły, co najsolenniejsze przysięgi zaręczyły—niemasz nad to żadnej ziemskiej mocy i władzy. Tak więc i ja, niżej podpisany, w batalii, pod Lanckoroną mianej, zdarzającym się często losem wojujących w niewolę dostawszy się, po różnych miejscach wodzony, różnie martwiony, wielorako do podpisu recesu byłem przynaglany. Przyzna mnie, spodziewam się, każdy, przyznają najjaśniejsze sprzymierzone rzeczypospolitej stany, że i najcięższa niewola cnotliwego obywatela zalęknąć nie mogła, gdy z bronią ochoczo wzgardzałem życie... Rezolwowałem się tedy podpisać ów akt recesu, jeden ręczny, *in manus* posła rosyjskiego, drugi, za tegoż rozkazem w grodzie uczyniony, dobrze w umyśle prze-

---

1) „Gaz. Pisane“ z r. 1772, str. 147 (Bibl. Ord. Zamoyskich).

świadczony, że recesa takie nie mogłyby nałożyć powinności na umysł wolny. Jak tylko więc pierwszą upatrzyłem sposobność, tak zaraz do grona wybranych obrońców łącząc się, przeciwko wspomnionym recesom jak najsolenniej manifestuję się, do przysięgłego stanom sprzymierzonym powracam posłuszeństwa, do wszystkich aktów generalności przystępuję i konfederatem oświadczam się. Dan w roku 1772, d. 22 mensis Februarii. *Józef Miączyński*, marszałek woj. bełskiego [1]).“

III.

Z pamiętnika barona Heykinga. — W Dreznie. — Ksiądz Piatoli. — Przyjazd Miączyńskiego. — Rozmowa z Heykingem. — Protest w dziennikach. — Chabannes i Viomenil. — Miączyński u elektora saskiego. — Powitanie ks. Karola.

Do szczegółów dalszych działań Miączyńskiego w sprawie konfederacyi mamy obfity, a ciekawy, materyał w ogłoszonych w ostatnich latach fragmentach z pamiętników barona kurlandzkiego, Karola Henryka Heykinga [2]), który w owym czasie bawił w Dreźnie, w otoczeniu b. księcia kurlandzkiego, żonatego z Franciszką Krasińską.

Heyking, wychowany w Warszawie i ożywiony szczerą sympatyą dla społeczeństwa polskiego, utrzymywał ścisłe stosunki z Polakami, przebywającymi podówczas w Dreznie, a gdy po wzięciu Lanckorony wielu rozbitków konfederackich szukało tam przytułku, dowiedział się od nich o szczegółach, konfederacyi dotyczących, i dlatego notatki jego mają cechę autentycznego dokumentu, malującego nie tylko ówczesne położenie polityczne generalicyi, lecz i osobiste zalety i wady wybitniejszych jej członków.

Do Drezna też zjechał po ucieczce swej z pod Lanckorony Dumouriez i przybył do księcia Karola z wizytą. Miał on już wówczas niezłomne postanowienie porzucenia Polski i sprawy konfederacyi, a chcąc swą rejteradę usprawiedliwić, nie szczędził inwektyw przeciw dawnym towarzyszom broni, zwłaszcza wobec dworzanina ksią-

---

1) Bibl. Ossolin. Ręk. N. 572. str. 160/1.

2) „Aus Polens und Kurlands letzten Tagen”, Berlin 1897. Ów baron Heyking, późniejszy radzca tajny w służbie rosyjskiej, był przyjacielem księstwa Kurlandzkich, a następnie i opiekunem ich dzieci. Utrzymywał zażyłe stosunki przyjaźni ze słynnym ks. Scipionem Piatoli, który, porzuciwszy suknię zakonną, ożenił się z frajliną księstwa Kurlandzkich, panną Fittinghof.

żęcego Bischoffswerdera, którego znał osobiście z Paryża. Te wycieczki jak najgorsze na słuchaczach uczyniły wrażenie [1]).

Zamieszkiwała podówczas w Dreznie księżna Radziwiłłowa wdowa z rodziną. Syn jej, książę Mikołaj, właśnie był z księciem Karolem powrócił z Paryża i przedstawił barona Heykinga matce. Tam również poznał Macieja Radziwiłła, sędziwego Rostworowskiego, który grał rolę posła konfederackiego przy dworze saskim. Zbierała też się tam cała Polonia drezdeńska.

Pewnego dnia otrzymał Heyking zawiadomienie listowne od przybyłego z Warszawy księdza Piatolego, iż towarzysz jego podróży, hrabia Józef Miączyński, marszałek bełski, życzy sobie widzieć się z nim, gdyż ma ważny list do wręczenia, i prosi o przybycie do Hotelu Polskiego, gdzie się był zatrzymał.

Heyking uprzedził o tem księcia Karola, na co tenże oświadczył, iż radby również widzieć się z hr. Miączyńskim, o ile przybyły jest synem wojewody bełskiego i rozgłośnym marszałkiem, ujętym w niewolę podczas Lanckorońskiej potrzeby.

Udawszy się do hotelu, spotkał się Heyking z Miączyńskim i tak jego wygląd opisuje.

„Był to mężczyzna o pięknych rysach twarzy, słusznego wzrostu i wojskowej postawy. Nosił uniform generalski, jako dowódca oddziału kawaleryi. Wyrażał się z łatwością w języku francuskim, jakkolwiek nie zawsze poprawnie. Maniery miał bardzo układne i zalety towarzyskości tak wybitne, że jego otwartość i szczerość budziły zaufanie i do zawiązania przyjaznego stosunku zachęcały. Prosił mnie, bym go zalecił księciu Karolowi i wyjednał dlań oddzielne posłuchanie. List, który mi przywiózł, pochodził od przyjaciela mego z Warszawy. Byłem w nim proszony, bym się zaopiekował hr. Miączyńskim, przedstawił go dworowi saskiemu z najlepszej strony i był z nim na stopie szczerości i zaufania.

„Po spożyciu przyjemnego obiadu zaprowadził mnie Miączyński do sąsiedniego pokoju i rzekł:

— Przyjaciel pański w Warszawie objaśnił mnie o twej sympatyi szczerej dla sprawy konfederacyi, która cię i z tego względu obchodzi, że ma na widoku przywrócenie księciu Karolowi jego praw. Z tego powodu będę z Panem mówił otwarcie o swojem położeniu.

---

[1]) „Es war nicht schwer zu erkennen, das die Vereitelung seiner ehrgeizigen Hoffnungen und die Verletzung seiner Eigenliebe die Farben gemischt hatten, mit denen seine Bosheit das Bild der Konfederation malte". Heyking. 116.

Jak wiesz, wziętym zostałem przez Rosyan do niewoli, i na dane przeze mnie słowo, iż nadal do konfederacyi należeć nie będę, wypuszczony zostałem na wolność. Związany przyrzeczeniem byłbym w rzeczy samej trzymał się zdala od konfederacyi, gdyby generał Weymarn nie zażądał od szwagra mego kaucyi 6000 dukatów. To nałożenie ceny na moją wolność zwolniło mnie od danego przyrzeczenia. Lecz, zanim się udam ponownie do konfederacyi, uważam za właściwe wydrukować w gazetach hamburskiej i dolno-reńskiej oświadczenie, któreby mnie w oczach tych, co nie znają faktu zapłaty kaucyi 6000 dukatów, usprawiedliwić mogło".

„Zamiar ten uznałem za uzasadniony, poczem Miączyński uprosił mnie, bym przygotowane dlań na paru arkuszach oświadczenie w języku polskim zredagował po francusku. Uczyniłem to w czterdziestu wierszach tak dobrze, że Miączyński szczerze był zadowolony i w wylewie serdeczności zaczął na mnie nastawać, bym z nim do konfederacyi się wybrał.

„Zastrzegłem sobie 24 godzin czasu do namysłu, a tymczasem Miączyński udał się na posłuchanie do księcia, skąd powrócił bardzo zadowolony. Spędziliśmy wieczór razem, oddawszy uprzednio wizyty paru Polakom i przyjacielowi ich, p. de Chabannes. Ten ostatni uznał również deklaracyę za konieczną, lecz doradził Miączyńskiemu, by do czasu jej ukazania się pozostał w Dreznie i nikomu tymczasem o zamiarach swoich nie wzmiankował.

„Podczas nocy zacząłem się zastanawiać nad uczynioną mi propozycyą wszechstronniej. Rozważywszy baczniej wszystkie okoliczności, osnułem szerzej nakreślony projekt, który, nie mogąc zasnąć, nad ranem, przy filiżance kawy zredagowałem mniej więcej w tym duchu: iż dla istotnego reprezentowania całej rzeczypospolitej konfederacya winna również posiadać w swoim składzie przedstawiciela Kurlandyi. „Przystąpienia mógłby prawnie dokonać tylko książę i rycerstwo. Z uwagi wszakże, że okoliczności nie pozwalają uczynić tego tymczasowo otwarcie, wystarczy na teraz, jeśli jego królewska wysokość udzieli jednemu z kurlandzkiej szlachty listu wierzytelnego w tej mierze. Zanim to będzie spełnionem, książę mógłby czasowo od siebie upoważnić kogoś do reprezentowania jego praw w obec konfederacyi. Oświadczyłem gotowość podjęcia się takiej misyi, którą dla niepoznaki okryłbym funkcyą adjutanta przy jednym z marszałków. W ten sposób mógłbym bez zdradzenia się znajdować się w ognisku akcyi, której powodzenie bardzo mi na sercu leżało.

„O ósmej nad ranem udałem się do p. Chabannes, by mu osnuty projekt przedstawić. Za jego to poradą miałem memoryał wypracowany bezzwłocznie przedłożyć księciu Karolowi. Prócz tego przyrzekł mi, że sam o tem z księciem pomówi i do następcy Dumouriez'a, p. de Viomenil, napisze.

„Zanim udałem się do księcia, uprzedziłem Miączyńskiego o swych zamiarach. Rzucił się w moje objęcia i wymógł na mnie słowo honoru, że z nim pojadę, o ile książę pomysł mój w zasadzie zatwierdzi.

„Nadzieje nas nie zawiodły. Książę, odczytawszy mój memoryał, zgodził się nań w zupełności i obiecał, że sam do naczelników generalności napisze, a mnie przed odjazdem moim tajnych instrukcyi udzielić nie omieszka.

„Sędziwa marszałkowa dworu drezdeńskiego była ciotką Miączyńskiego. Ona to skłoniła go do przedstawienia się elektorowi i jego rodzinie. Przyjęcie było bardzo łaskawe, ile że dwór drezdeński zawsze okazywał Polakom szczególne względy"...

Jako rys delikatności towarzyskich manier Miączyńskiego notuje Heyking fakt, iż, pragnąc zaopatrzyć swego przyszłego towarzysza w fundusz na drogę, bez ujmy dla jego skrupułów, zwrócił się był doń marszałek bełski, który się właśnie znajdował na partyjce bilardu u księcia Karola z propozycyą zakładu o sto przeciw dziesięciu dukatom w złocie, iż partyę rozegrywaną wygra.

„Przyjąłem—pisze Heyking—ten zakład, lecz, gdy partyę wygrał tymczasem książę Karol, rzekł do mnie Miączyński:

— A więc jestem Panu dłużnym sto dukatów!

— Żartujesz pan, panie hrabio!

— Bynajmniej. Gdyby był wygrał książę, musiałbyś mnie zapłacić dziesięć dukatów. Gdy chodzi o zakład, jestem — Anglikiem!"

Nareszcie nadeszły gazety z deklaracyami Miączyńskiego, poczem tenże pożegnał się z dworem.

Wszystko było już przygotowane do podróży, gdy książę Karol wezwał do swego gabinetu Heykinga i, wręczywszy mu listy cyfrowane, rzekł:

— Oto jest list do księżny. Zanim się udasz do konfederacyi, bądź u niej. Ona cię objaśni o rozterkach, panujących w łonie generalności, byś do dzieła ostrożnie przystępował. Ona cię również poleci swemu stryjowi, biskupowi Krasińskiemu, mężowi światłego umysłu, z którym możesz się zupełnie otwarcie o celu swej misyi rozmówić. Pozostaje on w bezpośredniej korespondencyi tajnej

z francuskim ministrem stanu, a jego opinia jest w naradach generalności decydująca. Dwa inne listy wręczysz obu marszałkom generalnym. W nich oświadczam, że ci ufam w zupełności i daję od siebie pełnomocnictwo. Przedstawisz im moje niesporne prawa do Kurlandyi, a zarazem i zamiary co do trybu postępowania na przyszłość. Oczekuję od ciebie dokładnych raportów tak w sprawach politycznych, jako i wojskowych działań konfederacyi. Baron Viomenil, który obecnie całą kieruje akcyą, otrzymał co do ciebie od p. de Chabannes oddzielne zalecenie".

Poczem odjeżdżającego Heykinga uściskał książę. Wzruszony Heyking ucałował rękę księcia, który, wręczając mu mały pakiecik, rzekł:

— Przykro mi, że nic więcej dla ciebie uczynić nie mogę, lecz sam znasz położenie.

W pakieciku znajdowało się 25 dukatów w złocie.

Otrzymawszy prócz tego resztę pensyi dorocznej, wyjechał Heyking z Miączyńskim z Drezna do Cieszyna, gdzie podówczas było siedlisko generalności.

IV.

Dalszy ciąg pamiętników Heykinga. — Wynurzenia Miączyńskiego w podróży. — Esprit fort. — W Cieszynie. — Marszałek Pac. — Biskup Krasiński. — Bohusz.

Dzięki zażyłym stosunkom przyjaźni z Heykingiem znajdujemy w pamiętnikach tego ostatniego świetnie odtworzoną charakterystykę Miączyńskiego w ówczesnej życia jego dobie, charakterystykę, której trafność stwierdziły w najdrobniejszych nawet szczegółach wypadki późniejsze.

Pewien odcień romantyczności, skojarzony z dziwną miękkością i słabością woli, tem dziwniejszą, że się rozwijała na tle wybujałej, rycerskiej, skłonnej do porywów bohaterstwa, natury Miączyńskiego, stanowił niepodrzędny bodziec jego działań.

Przywiązawszy się szczerze do Heykinga, otworzył przed nim Miączyński duszę swoją całą i w drodze do konfederacyi po opuszczeniu Drezna wyznał, że jedyną pobudką, która go skłoniła do ucieczki z Warszawy i do szukania nowych przygód rycerskich, była chęć zbliżenia się ponownego do córki hrabiny Mniszchowej, która w ówczesnej dobie jego życia była ideałem jego młodzieńczych marzeń.

„Jakkolwiek byłem młody i zbyt jeszcze niedoświadczony, — pisze Heyking — bym mógł ludzi oceniać dokładnie, jednakże nie trudno mi było poznać, że hrabia Miączyński był dobrodusznym do słabości, i że słabość jego charakteru poddawała go wpływom zręczniejszych. Zepsuty pobłażliwością rodziców i przewodników, nigdy się stałemi nie cechował zasadami. Wolnomyślne książki, któremi się przejął, osłabiły w nim wiarę w zasady chrystyanizmu i pobudziły do ich lekceważenia. Zwierzając mi się ze swoich poglądów, sądził, że obudzi we mnie podziw nad tęgością swego umysłu. Prawił z pogardą o fanatyzmie księży, o dogmatach... Ograniczyłem się na wynurzeniu opinii, że i ja uważam za zgubną – nienawiść, jaką w Polsce żywią do różnowierców, że prawdziwy chrystyanizm opiera się na tolerancyi, i że ludziom niezbędną jest wiara w Boga i w nieśmiertelnosć duszy...

Widziałem, że słowa te wywołały jedynie szyderczy uśmiech na jego usta.

— I wierzysz — zapytał — w niematerYalną, a więc nieśmiertelną duszę? ksiądz Piatoli powiedział mi, że masz filozoficzny umysł. Pocóż więc taka między nami obłuda?

— Zdaje mi się, kochany hrabio, że między „wiarą we wszystko" a „niewiarą do niczego" jest jeszcze coś pośredniego, co filozofia uznaje i czego nas uczy... Czy uważasz Jana Jakóba za obłudnika?

— Nie. Powiedziano mi, że dzieła jego, z których znam tylko tom pierwszy „Julii", zakazanemi zostały.

— Otóż... Jan Jakób wierzy w Boga i w życie przyszłe. Pochwałę ewangelii, którą napisał, zaliczam do najwznioślejszych jego dzieł.

— Czyż tak istotnie?

— Mogę to panu okazać. Mam jego dzieła przy sobie.

„Przerywam tu dalszą rozmowę, która, zdawało się, silnie na Miączyńskiego oddziałała i pogodziła go na pozór z zasadami, od których z łatwością zboczyć mu przyszło. Lecz szybkość, z jaką przekonania swe zmieniał, utwierdziła mnie tylko w poglądzie na zmienność jego charakteru, jego lekkomyślność i brak jakichbądź zasad trwalszych.

„Polacy wogóle grzeszą brakiem logiki i charakteru... Nie podobna im odmówić zdolności, do języków zwłaszcza. Wyrażają się poprawnie i celują dostatkiem poetów i mówców, lecz ich mowy sejmowe z trudnością wytrzymują surową krytykę. Zbywa im na gruntowności, głębokości i wewnętrznym związku".

W Raciborzu rozstali się ze sobą towarzysze podróży. Miączyński udał się wprost do Cieszyna, Heyking zaś, stosownie do polecenia księcia Karola, udał się powozem do księżny. Przyrzekł, że zajedzie do Cieszyna i zamieszka przy Miączyńskim. Ten zaś wziął na siebie zadanie przygotowania gruntu dla Heykinga i ułatwienia mu stosunków.

— Wątpię jednak—nadmienił,—by to łatwo poszło. Większość konfederatów jest fanatyczną i nie będzie ci, jako dysydentowi, sprzyjać".

W dalszym ciągu opisuje Heyking spotkanie z księżną, Krasińską z domu, która urokiem swej piękności i wdzięku niewieściego silne na nim sprawiła wrażenie.

Gdy, po przedstawieniu celu powierzonej misyi, opisała mu rozdwojenie, panujące między generalnością, wywołało to gorzkie ze strony posła uwagi:

— Nie należy w pańskim wieku — dodała — tak czarno patrzeć się na świat.

— Życie moje—odrzekł Heyking—splata się z szeregu niepowodzeń, i tem się też tłómaczy cierpki mój pogląd na stosunki ludzkie. Czerpię go z nauk, jakie nastręcza mi historya Polski. Pragnę zresztą, by to pogląd był mylny, i z zapałem łączę się ze zdaniem, które najpiękniejsza księżna w najsprawiedliwszej wynurzyła sprawie.

„Podała mi księżna rękę, którą z uszanowaniem ucałowałem.

— A więc odwagi! rzekła. Jeśli nadzieje nasze się ziszczą, będzie to nowym tytułem do wdzięczności naszej dla rodziny, która już tyle ofiar w sprawie naszej poniosła".

Po dwu dniach pobytu u księżny udał się Heyking do Cieszyna. Zajmował tam Miączyński tak szczupłe mieszkanie, że niepodobieństwem było we dwóch w niem się pomieścić. Z trudem zdobył Heyking za drogie pieniądze jakiś kącik. Wszystkie większe mieszkania zajęli wodzowie konfederacyi.

„Pozostawili oni dużo pieniędzy w mieście, tak, że obecny swój wygląd okazały zawdzięcza Cieszyn Polakom, którzy w owym czasie dużo tu pieniędzy potracili, i Francuzom, dobrze przez rząd swój uposażonym".

Doniósł Miączyński, że usposobienie dla Heykinga było przychylne.

— „Okazałem generalności — oświadczył — twoją deklaracyę, którą w mojej sprawie zredagowałeś. Marszałkowie bardzo jej układ chwalili, a przy tej sposobności marszałek Pac, który zawia-

duje wydziałem spraw zagranicznych konfederacyi, oświadczył mi, że z chęcią przyjąłby sekretarza, posiadającego dobrze trzy języki. Mam nadzieję, że posada sekretarza z płacą 50 dukatów miesięcznie tobie się dostanie, wraz ze stopniem oberstlejtenanta. A teraz nie traćmy czasu. Zabierz swoje listy wierzytelne i sporą ilość biletów wizytowych. Udamy się do hrabiego Paca, który o parę kroków stąd ma kwaterę, a stamtąd do innych. Ambicya republikańska jest tak wymagającą, jak dworska.

„Hrabia Pac był jednym z tych ludzi, którzy odrazu budzą sympatyę. Pełen godności i uprzejmości, łatwości wysłowienia i umiarkowania zdradzał niepospolity umysł. Byłem nim zachwycony. Po odczytaniu listu księcia Karola rzekł.

— Sposób, w jaki jego królewska wysokość zaleca cię, panie baronie, może być tylko przyjemnym skonfederowanej rzeczypospolitej. Zdradza on oględność księcia i życzenie jego zapewnienia przedstawicielstwu narodowemu należnej powagi. Doniosę o tym kroku księcia tajnemu komitetowi, który przepisze, co czynić dalej. Niewątpliwie masz pan i pismo urzędowe do marszałka generalnego konfederacyi, hrabiego Krasińskiego?

„Gdym oświadczył gotowość przedstawienia tego pisma, marszałek Pac wynurzył jeszcze kilka pochlebnych słów pod moim adresem i prosił mnie, bym uważał dom jego za własny. Złożyłem następnie wiele biletów wizytowych marszałkom i konsyliarzom i wraz z Miączyńskim udałem się do hr. Krasińskiego. Znaleźliśmy tu wielu panów w wesołem usposobieniu. Butelki wina krążyły między nimi bez przerwy. Marszałek zaprosił mnie uprzejmie do swego gabinetu. Tu odczytał listy księcia i księżny i wyraził zadowolenie z ich planu. Bardziej uprzejmie, aniżeli politycznie, poradził mi, bym wystąpił publicznie w charakterze delegata książęcego. Pozwoliłem sobie nadmienić, że koniecznem jest czasowo z tem się wstrzymać do czasu, aż dwory wersalski i wiedeński nie wynurzą bardziej pozytywnie opinii w tej sprawie i dopóki konfederacya litewska nie zyska na sile, by mogła samodzielniej działać w Kurlandyi.

„Przedstawił mnie następnie obecnym, jako syna człowieka, który padł ofiarą polityki Rosyi i wprowadzenia Bierena na tron książęcy w Kurlandyi. Tytuły te znalazły łaskę w oczach konfederatów. Usunąłem się rychło, by nie uledz pokusie węgierskiego wina, którem się ci panowie nadmiernie raczyli.

„Następnie udaliśmy się do brata marszałka Krasińskiego, biskupa kamienieckiego.

„Zajęty był właśnie dyktowaniem listu francuskiego księdzu, sekretarzowi swemu. Przechadzał się, dyktując, po rozległej sali. Majestatycznego wzrostu, o rysach ujmujących i mądrem obliczu, pełen wdzięku w obejściu, miłe sprawiał wrażenie. Po odczytaniu listów, oświadczył, że plan ukrywania zamiarów księcia uważa za słuszny, i zapytał, co do czasu odsłonienia tajemnicy czynić zamierzam?

— Pragnę, odrzekłem—stosować się do kroków generalności, o ile mi będzie dozwolonem znajdować się ciągle w środowisku jej działań.

„Miączyński wtrącił w tem miejscu, że dobrzeby byłoby, gdybym otrzymał nominacyę na sekretarza niemieckiej i francuskiej korespondencyi w wydziale spraw zagranicznych.

„Po pewnym namyśle rzekł biskup Krasiński.

— Myśl jest słuszna, a jestem w jej urzeczywistnieniu osobiście zainteresowany. (Biskup pozostawał w korespondencyi z dworem francuskim, przy którym hr. Wielhorski był imieniem konfederacyi uwierzytelnionym). Upatruję wszakże pewien szkopuł, o którego usunięcie trzeba się będzie postarać. Wszak baron nie jest katolikiem?

— Nie. Panującą w Kurlandyi religią jest luterańska.

— Uczynię, co będzie można, by sprawę tę z komitetem załatwić, a możesz w tem na mnie polegać.

„Zadał mi następnie kilka pytań, dotyczących księżny, jego bratanki, lecz gdym zauważył, że obecność Miączyńskiego nieco go krępowała, skróciłem wizytę z wynurzeniem prośby, bym mógł mieć jeszcze raz posłuchanie.

„Naznaczył mi wizytę na godzinę 6 wieczorem dnia następnego, a ponieważ przedtem miała się odbyć narada, poradził mi, bym się jeszcze przedstawił generalnemu sekretarzowi konfederacyi, Bohuszowi, by zjednać go dla siebie.

„Złożyłem był wprawdzie bilet wizytowy temu ostatniemu, lecz przyrzekłem biskupowi, że nazajutrz raz jeszcze stawię sie u Bohusza.

— Na dziś dosyć wizyt, rzekł do mnie Miączyński. Właśnie odbędzie się bal i wieczerza u Maryana Potockiego. Jestem tam domowym i wprowadzę cię.

„Zastaliśmy tam mnóstwo ludzi, między nimi około 20 polskich i śląskich dam. Różnolitość strojów zwróciła moją uwagę. Spotykano tu Polaków z wygolonemi głowami, pudrowanych Francuzów, sztywnych Prusaków, uroczyście się trzymających Austrya-

ków, niezdarnych Ślązaków i wojskowych różnej barwy, którzy szukali karyery w konfederacyi. Obrońcy ojczyzny w oczekiwaniu wawrzynów umieli się zabawiać niezgorzej!

„Nazajutrz udałem się z Miączyńskim do generalnego sekretarza Bohusza. Był w polskim stroju, z wygoloną głową i sumiastym wąsem, podczas gdy większość jego rodaków porzuciła już była strój polski i ubierała się z francuska.

„Przyjął mnie zrazu chłodno, po przeczytaniu wszakże listu księżny, ożywił się i oświadczył, że decyzya skonfederowanych stanów niewątpliwie odpowie życzeniom księcia, jakkolwiek zasady, względem dysydentów przestrzegane, muszą być miane na uwadze.

— Zdaje mi się — odrzekłem — że generalność winna odróżniać dysydentów Korony i Liwy od dysydenckej szlachty księstwa, posiadającego jeszcze z czasów Zygmunta Augusta oddzielne prawa i przywileje."

— Lecz szlachta kurlandzka przystąpiła do sejmu z r. 1768.

— A czyż nie większość Polski przystąpiła do owej konfederacyi? Istnieją w Kurlandyi, jak i w Polsce, dwa stronnictwa. Jedno, trzymające stronę księcia, nie życzy sobie nowości; drugie, które do Bierena przystało, poddaje się woli silniejszego i słucha rozkazów Rosyi."

„Rozmowa nasza w tej materyi ciągnęła się dalej, gdy przyniesiono Bohuszowi papiery.

„Oddaliliśmy się, lecz po chwili Miączyński wezwanym został ponownie do gabinetu Bohusza. Po kwadransie wyszedł z radosną miną i rzekł:

— Idźmy do generała Viomenila. Wszystko pójdzie jak najlepiej. W drodze zwierzył mi się pod sekretem, że mu Bohusz oświadczył, iż zachodzi przeciw mnie intryga celem niedopuszczenia mnie do sekretarstwa z uwagi, że przysięga heretyka nie ma znaczenia, a wątpi, czy się zgodzę na katolicką rotę przysięgi. Zresztą, nadmienił, będzie można to usunąć przez podpisanie deklaracyi, w której Heyking zdeklaruje wierność dla konfederacyi i dochowanie tajemnicy spraw.

— Jak widzisz, rzekł Miączyński — Bohusz, którego zdanie ma wielką wagę, przychylnie jest dla ciebie usposobiony.

V.

Miączyński u Viomenila. Ogiński. Na zamku Krakowskim. Pułaski i Miączyński. Poselstwa.

„Generał Viomenil, którego odwiedziliśmy, — pisze dalej Heyking—sprawił na na mnie bardzo przyjemne wrażenie. Imponował swą rycerską postawą i wyglądem. Podnosiła urok jego postaci wstęga S. Ludwika, której się dosłużył w Korsyce. Spokojny, oględny, skromny i uprzedzający, słuchał wszystkich z wyrozumiałością i poszanowaniem, stanowiąc w tem przeciwieństwo Dumouriez'a, który raził swoim wyniosłym tonem, dumą, zarozumiałością i gwałtownością. Viomenila też lubiono w Polsce i poważano ogólnie.

Wypowiedziawszy Miączyńskiemu kilka pochlebnych słów o jego waleczności i patryotyzmie, zwrócił się do mnie i odezwał się bardzo łaskawie o księciu Karolu. Podniósł, że książę jest blizkim krewnym króla, jego pana, i że to jego osobiste zalety czynią go tak wysoce sympatycznym. Co do urzędu sekretarza generalności wyraził opinię, że ta ostatnia powinna być zadowoloną z nadarzającej się sposobności pozyskania we mnie tak pożytecznej siły. Rozstaliśmy się, zachwyceni osobą Viomenila. Miączyński pospieszył na sesyę generalną, złożoną z biskupów, dwóch gener. marszałków i konsyliarzy województw koronnych i litewskich, hetmana Ogińskiego i regimentarzy. Na sesyi tej miano także powziąć uchwałę w sprawie mojej nominacyi. Tymczasem zaszedłem do siebie celem zredagowania pierwszego raportu urzędowego dla księcia.

„O godzinie 2 dowiedziałem się od Paca, że nominacyę moją przyjęto łatwo w komisyi, lecz na ogólnem zebraniu podniosły się przeciw niej protesty z powodu mego wyznania.

„Zażegnał te upory Pac przemówieniem, w którem wykazał, że bardzo wielu dysydentów służy w konfederacyi w godności oficerów. Jeśli zatem powierza się im krew i honor współobywateli, to dlaczegóż niema się zawierzyć prowadzącemu imieniem konfederacyi korespondencyę, zwłaszcza, jeśli zacność jego przez księcia jest poręczoną. Gdy jednak konstytucya nasza do cywilnych urzędów dysydenta nie dopuszcza, to dajmy mu stopień wojskowy, i w tym charakterze niechaj, wykonawszy przysięgę, załatwia korespondencyę francuską i niemiecką."

„Projekt ten jednomyślnie przyjętym został. Otrzymałem od hr. Ogińskiego, wielkiego hetmana litewskiego, dyplom na adjutanta, skutkiem czego zyskałem rangę oberstlejtnanta, a jednocześnie zostałem sekretarzem z płacą z kasy francuskiej 30 dukatów miesięcznie i 15 dukatów za stopień adjutanta.

„Miałem dużo do roboty, mniej u Bohusza, a więcej u biskupa Krasińskiego. Ten ostatni miał zwyczaj dyktowania, ale przytem tak się zapędzał w chmury, że nieraz, gdym już spisał parę arkuszy, nic nie widziałem, do czego ta pisanina zmierza...

„Pozwoliłem sobie raz przy odczytaniu brulionu zwrócić jego uwagę na parę zupełnie niezrozumiałych ustępów. „Prawda, odrzekł mi na to, te ustępy nie są jasne, lecz to właśnie stanowi styl dyplomatyczny. Trzeba się ich sensu domyślić."

„Pomyślałem sobie w duchu, że to nie styl Ossata, de Noailles'a i innych wybitniejszych dyplomatów. Niewątpliwie, znajdujemy w ich notach często zręczne omijanie kwestyi i dwuznaczne określenia, lecz naturalny rozwój ich myśli jest zawsze łatwo zrozumiałym, a przecież i podstęp przemawia zawsze językiem rozumu.

„O ile mnie rozwlekły i ciemny styl biskupa nużył, o tyle podziwiałem zawsze styl polski pana Bohusza. Była to rozkosz istotna tłómaczyć jego operaty na język francuski. Wszystko w nich było jasnem, określonem, silnem, pełnem powagi i zapału. Przekład mój pierwszego manifestu, wydanego po mojem przybyciu do Cieszyna, udał mi się znakomicie, tak, że generał Viomenil po jego odczytaniu uściskał mnie i nazwał swoim współziomkiem.

„Przeniknąwszy w ciągu parotygodniowego pobytu ducha konfederacyi i porozumiawszy się dokładnie z francuskimi i polskimi dygnitarzami, sporządziłem z tych uwag notatki i przesłałem ogólne resumé o stanie spraw ówczesnych księciu Karolowi.

„Zamek krakowski przebojem przez naszych zdobytym został walеczni Choisy, Galibert, Charlot i inni bronili się w nim na czele garstki Polaków. Twierdza Częstochowska i Bobrek opierały się długo atakom Rosyan. Te małe obronne punkta podtrzymywały plan Dumouriez'a, służąc jako składy amunicyi i rekruta. Jednocześnie organizowano cztery legiony: każdy o 4 tysiącach infanteryi i tysiącu konnicy.

„Legion księcia Radziwiłła był prawie kompletny i był dowodzony przeważnie przez oficerów pruskich. Dowódcą legionu Maryana Potockiego był kawaler Valcroissant, który zajmował się prócz tego zaciągami. Legion Ogińskiego składał się wyłącznie z żołnierzy, zwerbowanych w Saksonii przez majora Schilla, którzy

samopas przybywali. Legion Viomenila miał samych francuskich dowódców, którym dodano do kompanii po 3 lub 4 tłómaczy, polskich oficerów.

„Owa armia 16 tysięczna stanowić miała jądro całego ruchu, podczas gdy skonfederowana szlachta na koniu tworzyła przednią i tylną straż i miała osłaniać skrzydła. Pułaski i Miączyński mianowani zostali dowódcami kawaleryi. Każdy z nich miał przy swym boku jednego francuskiego, drugiego polskiego adjutanta, mianowanych przez Viomenila, który całą kierował akcyą, i ich zadaniem było utrzymywanie między wodzem naczelnym a pojedyńczymi korpusami ciągłego stosunku.

„Książę Sapieha, który wybranym został na Litwie wielkim regimentarzem, zaprotestował przeciw hetmaństwu wielkiemu Ogińskiego. Tylko pojednawczy duch Viomenila sprowadził zgodę między obu tymi niezdolnymi przywódcami.

„Zabiegliwość Francuzów miała na wszystko baczenie. Sprowadzono armaty i broń dla 10 tysięcy wojska pieszego, a to wszystko wśród niezmiernych trudności i szkopułów, gdyż, jakkolwiek za wszystko płacono złotem i to z czubem, jednakże tajni agenci rosyjscy nie zasypiali sprawy. Trzeba było w rzeczy samej sprawności i inteligencyi Francuzów, by przeprowadzić wszystko, co należało.

„Gabinet wiedeński odgrywał tymczasem rolę dwuznaczną. Podczas gdy austryackie władze nazywały Paca i Krasińskiego „generalnymi marszałkami konfederacyi“, uznając tem samem prawność konfederacyi, poseł austryacki w Warszawie nie ustawał w pogardliwem jej traktowaniu.“

„Sprawy wojenne pod kierunkiem Viomenila zaczęły przybierać pomyślniejszy obrót. Rozgoryczenie narodu przeciw królowi doszło do tego, że mogło przyjść do pospolitego ruszenia.

Po ogłoszeniu protestu w obronie praw księcia Karola marszałek Kosakowski usiłował uczynić zamach na Bierena w rezydencyi tegoż, lecz tajemniczy zamysł odkrytym został, i zamach się nie udał.

Inaczej się stało ze Stanisławem Augustem.

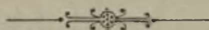
Porwanie jego w stolicy Rzplitej odbyło się w Listopadzie 1771 r., a jakkolwiek generalność uroczyście zaprzeczyła, by w przedsięwzięciu tem miała jakikolwiek udział, jednakże dwory europejskie temu zapewnieniu nie uwierzyły

Celem wyjaśnienia istotnych celów i pragnień konfederacyi zamierzono wysłać posłów do Wiednia i do Konstantynopola. Do pierwszego wybrano biskupa Krasińskiego, do Stambułu — księcia Radziwiłła. Księżna Karolowa wyraziła życzenie, bym towarzyszył biskupowi do Wiednia, na co ten ostatni się zgodził. Lecz w trakcie tego, gdyśmy byli zajęci przygotowywaniem dokumentów i instrukcyj, nagle zaszła okoliczność, która wszystkie nasze plany w niwecz obróciła."

(*d. c. n.*) *Alexander Kraushar.*



Z cyklu: Mare tenebrarum.



I. Mroki.

W morzu ciemności duch mój toczy się bez końca
Po czarnych jakichś falach, spienionych w kędziory:
A blask niewidzialnego — dalekiego słońca
Czasem mrok ułudnymi wyzłaca kolory.

Ale ta kropla złota w przestrzeni hebanach
Znikomą jest — jak ziarno, rzucone na piaski:
I duch mój w czarnej nocy wije się tumanach
I napróżno wygląda za promieniem łaski.

Sam raje sobie stwarzam — i sam siebie kuszę,
By zerwać z drzewa wiedzy owoc zakazany —
Sam mieczem archanioła wypędzam swą duszę
Z Edenów — i tak błądzę, z Edenów wygnany.

Cisza jest tam, gdzie niema tego morza mroków,
Lecz nie wiem, czyli dojdę do jego granicy;
Ono jest wszędzie: w śpiewie pól, w ruchu obłoków,
W ryku miast, w szumie borów, w życia tajemnicy.

Ono jest wszędzie — wszędzie ono mię uciska —
Nierozwiązanych pytań węzłem mię okala —
W rzeki bezdenne zmienia mi wszystkie zjawiska,
A w każdej jakaś czarna rozlewa się fala.

A fala każda własne pewnie ma nazwisko,
Lecz ja nazwiska nie znam, choć się czasem łudzę,
Że je znam... Ja tu, pod nią położony nizko —
Patrząc, łzy czuję w oczach — łzy jakoby cudze.

I tyle naraz w piersi moje fal uderza,
Że jestem, jak rozbitek na bezbrzeżnej dali —
I nie mam żadnej deski — żadnego szkaplerza —
I nie wiem, gdzie się złota moja gwiazda pali.

Wiedzieć? Czy to podobna znać bajeczne słowa
Tych otchłani — tych mroków, w których błądzę wiecznie —
I których treść nieznana — jako śmierć surowa —
Władnie mną, szalejąca, wirująca sprzecznie.

Rąbek ledwie odkryłem jakiejś tajemnicy —
Wnet druga — nie! ta sama powstaje upiorem —
O, gdzie są tego morza trytony — strażnicy
Mrocznych fal — by mi głębia stanęła otworem?

Idźcie precz, wy, zielone, trawą zarośnięte
Ondyny, co tam skarbów strzeżecie zazdrośnie!
Kwitną bzy — młode pączki róży rozwinięte —
Patrzcie — ślą pozdrowienie młodocianej wiośnie.

I suną się przez pola wielkimi oddechy
Jakieś złote widziadła — i zielone bogi, —
Tryskają żywe pieśni, dźwięczą młode śmiechy —
Słońce — miłość — objawień świetlanych dzień błogi.

I we mnie jakieś oko lśni jasnowidzące —
Co przenika w dalekie wschody i zachody;
Widzę promienne gwiazdy, i różane słońce,
I pachnące dąbrowy — i ciche ogrody.

I, rzekłbyś, duch zogromniał w jasnem przemienieniu
I, zda się, bezgraniczne przestworza ogarnia —
Jasno mi! Sam, jak promień, błyszczę na promieniu...
Lecz... Co za wir złowrogi... Ha — grób i męczarnia.

I znów noc — i znów mroki — i znów dusza woła:
Gdzie twoje złote światło — gdzie twa jasna tęcza?
Gdzie serce, objawieniem zmienione w anioła?...
I znów ta noc bez granic, co ducha wycieńcza.

Ty, coś się kąpał w żywych światła oceanach,
Mów, gdzie jest czarodziejska twoja zorza złota?
Rozprysła się w złudzeniach, rozwiała w tumanach,
Raz jeszcze zazgrzytały Edenowe wrota.

I znowu się wygnałem z krainy słonecznej,
Co mi na chwilę błysła w upojeniu sennem —
I nigdy już nie wróci!... Zagasł maj serdeczny —
I toczę się po morzu ciemności bezdennem...

Czy nie wyschnie ta głębia? Krwawy cherubinie,
Czemu z zazdrosnym mieczem stoisz wciąż nademną?
Czemu pędzisz mą duszę na głuche pustynie —
Na to morze przerażeń, na tę otchłań ciemną?

II. Zmora.

Czasami się w północy budzi przerażony
Duch ludzki. Tajemniczych, bladych widm legiony —
Jawią się w cieniach izby. W grozie bezimiennej
Wyciągają swe dłonie. Zaś ów duch bezsenny —
Jasnowidzący razem — i straszliwej mocy
Ślepotą razem tknięty — śród milczenia nocy
Słyszy to, co mu szepczą zamogilne duchy
W swym powietrznym języku, a razem jest głuchy,
Jak gdyby mocą sennej — przerwanej ekstazy —
Zapomniał już rozumieć — człowiecze wyrazy!

Na tom walczył, rozmyślał — na tom krzywdził siebie —
Uchodziłem od stołów, biesiad i rozkoszy —
By znaleźć tę truciznę w mleku swem i chlebie
I pojąć, że w nicości wszystko się rozproszy!

Łzy i ból człowieczeństwa, jego losy mętne,
Zagadka bytu — wszystko gorycz we mnie rodzi,
I naraz mi się wszystko zda tak obojętne,
Że wołam: nic na świecie, nic mię nie obchodzi.

A wówczas w sercu mojem słyszę tajemniczy
Głos, który się oburza na te słowa chore:
Kłamiesz! boś wiecznie głodny tajemic goryczy,
Kłamiesz! bo jeszcze w tobie żądza męki gore.

A gdy nadmiarem bólu serce umęczone
Odpocznienia już żąda i grobowej ciszy
I gdy chwieje się drżące w tę i owę stronę,
Zda mi się, że w niem pulsu nikt już nie dosłyszy.

I wołam: Jam nie kochał! Wyschnięta ma dusza
Pragnęła tylko ciszy bez granic i końca,
I, choć szukałem nieraz dobrego geniusza,
Dumny jestem, że byłem, jako miedź brzęcząca.

Nie kochałem nikogo! tak wołam szalenie,
Bo dusza ma nikogo ukochać nie zdolną — —
A głos mówi mi: Kłamiesz! Kłamstwem jest przeczenie,
Kłamiesz, boś kochał więcej, niżli kochać wolno.

IV. Samotność.

1.

— Liściu mój zbłąkany,
Dokąd wiatr cię niesie?
— Lecę przez tumany,
Szczęścia szukam w lesie.

— Czego szukasz błędnie
Na wsze strony świata?
— Nim ma zieleń zwiędnie,
Szukam liścia brata.
— Brata? Mylnie sądzisz,
Że się sen twój ziści:
Próżno szukasz, błądzisz — —
Niema bratnich liści!

2.

Po niebie płynie biały
Obłok samotny.
Wichry mu nie rozwiały
Źrenicy wilgotnej...
O, jedyny, ostatni
Na skwarnem niebie — —
Napróżno chmurki bratniej
Szuka dla siebie...
W błękitną — nieskończoną
Pustynię — —
Sierocy obłok z srebrną na czole zasłoną
W dal płynie...

V. Posągi.

... W pamięci mojej wieczyście stać będzie
Ten dziwny świat, od świata żywego odmienny,
Świat marmurów tak białych, jak pióra łabędzie,
Jako zimowe śniegi, białością promienny.

Przygnębił moją małość ten naród ogromny,
Przywalił moje trwogi ten naród spokojny,
I widzę, jaki we mnie żyje bezpotomny
Duch, rozdwojony w sobie od wewnętrznej wojny.

O, wy ciche — wy białe — wy czyste posągi,
Bohatery świetlane, bogi i boginie,
Wy, coście na tej ziemi królowały ongi,
Wy, z których nam dziś jeszcze promień żywy płynie...

Zejdźcie—zejdźcie raz jeszcze ze swych piedestałów,
Nieśmiertelne wcielenia Hellady i Romy:
I użyczcie nam ducha swojego kryształów
I uczcie, jak wasz spokój zdobyć nieruchomy.

Wasza białość—ta białość łabędziego puchu,
Wszystkie barwy stopiła w głazy marmurowe;
Spokój wasz—to związanie wszystkich ruchów ruchu;
Milczenie wasze streszcza lat tysiąca mowę.

O, martwe wy postaci, a wiecznie żyjące,
Gdy patrzę w wasze białe, nieruchome oczy,
Zda mi się, że w nich widzę źrenice widzące,
Zda mi się pod marmurem, że tam krew się toczy.

Ironiczne potęgi! Czyli wasze twarze
Iście są nieświadome życia dookoła?
O, nie, wy pewnie, w ludzkim zasłuchane gwarze,
Znacie wszystko, co płacze, co jęczy, co woła!

Bowiem duch, co osiągnął wszystką samowiedzę —
Żadnej nie łaknie wiedzy i łaknąć nie może:
Jowisz—czyli przestąpi swego nieba miedzę,
Gdy wszędzie jego niebios ściele się przestworze?

I tak—w nieskończoności lazurach płynący,
Jowisz—jakgdyby w sennej pogrąża się toni:
I—nic nie widząc—wszystko widzi... Wszechwidzący
I razem nieświadomy—duch bytu harmonii!

Tak każdy z was! Przeżywszy to, co można przeżyć—
Życie, świadomość, czucie—zaklął w marmur biały,
I nic was już nie może olśnić i uderzyć,
I żyjecie—jak we śnie wiekuistej chwały!

A patrząc, na cóż patrzą wasze białe oczy,
Gdy u stóp waszych czarny, bezkształtny lud żywy,
Olśniony ich potęgą, zmęczony się tłoczy —
I upada omdlały, drżący i trwożliwy?..

Czy widzą te szaleństwa, co w źrenicach płoną?
Czy widzą niepokoje, co w tych piersiach huczą?
Czy widzą, jak te widma koleją szaloną
Gonią—i wszędy brzemię swojej troski włóczą?

Czyli słyszą ich wrzawę—okrzyki i śmiechy?
Czyli słyszą ich modły—i bluźniercze ryki?
Czy słyszą ich rozpaczne jęki bez pociechy
I złudzeń nieustannych błądzące ogniki?

Czy pojmują ich żądze krwawe i anielskie,
Ich miłość i nienawiść, ich niebo i piekło?
Upadki i uściski — i rojenia sielskie,
Przeczerwienione walką egoizmów wściekłą?

I ten wrzask dni dzisiejszych? te fabryczne dymy?
Tryumfalny brzęk złota, — głodu jęk ponury,
I mrok — i lód po sercach rozpostartej zimy,
I te wieczyste chmury — te okropne chmury?...

A może nasze życie zda się im bezruchem,
Albo wirem atomów bez celu i myśli?
A to, co my zowiemy naszym żywym duchem —
Dla nich jest cieniem, który cienie w cieniu kréśli.

Może dla nich ta czarna ciżba istot szpetnych,
Są to liche posągi, którym rzeźbiarz lichy—
Społeczność—nie umiala dać rysów szlachetnych
Promiennej Afrodyty, nieskalanej Psychy?

Do spokoju my dążym. Spokój jest w marmurach.
W marmury się przemienić, w granit przelać ducha!
Zamknąć się w nieśmiertelnych liniach i konturach!
Jęki zakuć w milczenie, które wieków słucha;

Otrząsnąć się od gadzin ukąszeń i płazów —
Ujść od jałowej walki; na złudzenia sromy
Zamknąć kamienne oczy... Stać się jednym z głazów,
Co nieruchomo patrzą na ten świat ruchomy: —

Zazdrość budzi ta cisza bogów nieprzerwana —
I ta białość łabędzi — i ta białość śniegu!
O, jakże słodką byłaby taka przemiana,
Jak dobrzeby oglądać świat z innego brzegu!

A. Lange.



Nauka Ekonomii Politycznej

według Henryka George'a.

Trzecia księga dzieła poświęcona jest produkcyi bogactwa; jakkolwiek w tej części pracy porusza George mniej zasadnicze sprawy, niżeli w poprzedniej, jednak na bliższą i szczegółową uwagę niewątpliwie zasługują.

Przedewszystkiem chodzi o ścisłe podanie znaczenia produkcyi; zdawałoby się, że dyskusya na tym punkcie jest zbędna, a jednak ze stanowiska George'a pominąć jej nie można, bo ze swego określenia wyciąga on wnioski podstawowe dla swojej teoryi.

Produkować nie znaczy stwarzać, nie znaczy robić cokolwiek z niczego, nie znaczy powoływać do bytu nową materyę lub nową siłę, bo to jest zadaniem czynników, poza człowiekiem stojących, którym człowiek sam podlega. Produkować to znaczy poddawać istniejące już rzeczy przemianom, to znaczy wytwarzać nowe kombinacye i nowe stosunki i używać do tej pracy istniejącej materyi oraz istniejących sił. Człowiek nie jest twórcą, lecz zmieniaczem tego, co kiedyś zostało stworzone. Reprezentując aktywny czynnik

produkcyi, potrzebuje, jako warsztatu, czynnika biernego, a ten w terminologii ekonomicznej nazywa się ziemią.

George kładzie nacisk szczególniejszy na to, że, co zostało stworzone, nie może być w ekonomicznym sensie wyprodukowane. Zdanie to jest bardzo ważne i należy je zapamiętać.

Słowo *produkcya* ma dwa znaczenia: jedno, ciaśniejsze, a drugie obszerniejsze od używanego powszechnie w mowie potocznej. Produkcya jest właściwie wytwarzaniem bogactwa, i w tem też znaczeniu używa się w ekonomii politycznej, ale pamiętać należy, iż to nie jest jedyne znaczenie tego słowa. Jakkolwiek muzycy, nauczyciele, badacze, chirurdzy, poeci, księża i t. d. nie produkują bogactw w ekonomicznem tego słowa pojęciu, to jednak zajęć ich nieprodukcyjnemi w żaden sposób nazwać nie można, gdyż dają oni ludziom to zadowolenie, dla którego osiągnięcia przeważnie produkcya bogactw się odbywa.

Z drugiej strony znowu skłonni jesteśmy pewne jeno stadya procesu uważać za właściwą produkcyę, odmawiając tego charakteru innym. Tak np. transporterzy, kupcy i wogóle wszelacy pośrednicy nie są uważani za producentów, lecz za czynniki, umożliwiające podział bogactw. Tymczasem jest to przeoczenie faktu, że wyprodukowanie danego bogactwa obejmuje wszystkie stadya, począwszy od najpierwszego, a skończywszy na ostatniem, które polega na tem, że dany produkt dochodzi nareszcie do rąk konsumenta i umożliwia zużycie go. W ten sposób chłopiec, sprzedający na ulicy gazety, jest zarówno producentem, jak redaktor, zecer, maszynista i t. d. Rożdział bogactw nie ma, ściśle biorąc, nic do czynienia z transportem lub wymianą, lecz polega jedynie na takim lub innym podziale owoców produkcyi między ogół konsumentów.

Wszelka produkcya jest wynikiem wpływu człowieka na przyrodę i polega na zmianie w miejscu, warunkach, kształtach i kombinacyach naturalnych materyałów oraz przedmiotów w taki sposób, aby się nadawały do zaspokojenia ludzkich pożądań.

Po bliższem w całej sprawie rozejrzeniu się spostrzeżemy, że produkcya odbywa się w trojaki sposób bez względu na to, czy weźmiemy pod uwagę te stadya, w których bogactwo wytwarza się z materyału, nie będącego poprzednio bogactwem, czy też te, gdzie do istniejącego już bogactwa została dodana jakaś nowa wartość.

Pierwszy rodzaj produkcyi polega na wyzyskaniu przez człowieka tych sił przyrody, które leżą całkowicie poza światem organicznym, jako to: ciążenie, ciepło, światło, elektryczność, spójność, powinowactwo chemiczne i t. d. Opuszczamy dosadny i malowni-

czy przykład wyłącznie tego rodzaju produkcyi, jakiej musiałby się oddawać Robinson Crusoe w pewnych specyalnych warunkach, a powiemy jeno, że ten rodzaj produkcyi George nazywa adaptacyą czyli przystosowaniem, a uprawia go rybak, myśliwy, górnik, mechanik, fabrykant, transporter; a także rzeźnik i trener koni lub innych zwierząt, który nie zajmuje się równocześnie ich rozpłodem. Tegoż sposobu używa się, produkując bogactwo przez wydobycie węgla z kopalni i umieszczenie go na powierzchni ziemi, przez przewiezienie go wreszcie tam, gdzie potrzebny jest do zaspokojenia ludzkich potrzeb. Tego sposobu produkcyi używamy, zamieniając drzewo na materyał budowlany i na deski; zamieniając pszenicę na mąkę, a sok trzcinowy lub burakowy na cukier i t. d. i t. d.

Istnieje atoli drugi jeszcze sposób produkcyi, kiedy człowiek używa dla swoich celów reprodukcyjnej siły przyrody. Przez otrzymywanie jarzyn, sadzonek lub nasion i przez ich zasiewanie, przez chwytanie i hodowanie zwierząt jesteśmy w stanie nie tylko produkować jarzyny i zwierzęta w większej ilości, niżeli nam przyroda ofiarowuje, ale w wielu wypadkach możemy ulepszyć ich jakość i bardziej do naszych celów przystosować. Ten drugi sposób produkcyi, w którym robimy użytek z rozrodczej siły przyrody, możemy najlepiej odróżnić od pierwszego, nazywając go hodowaniem. Takiego rodzaju produkcyi używa farmer, hodowca bydła, ogrodnik, pszczelarz, a do pewnego stopnia przynajmniej browarnik i gorzelnik.

Obok dwu wyżej wymienionych istnieje trzeci sposób produkcyi, który już leży całkowicie poza przyrodą i właściwy jest tylko człowiekowi dzięki rozumowi, jakim jest obdarzony; tym sposobem produkcyi jest wymiana czyli handel, jedna z najważniejszych różnic pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, jedna z najsilniejszych dźwigni ludzkiego postępu. Przez wymianę nie tylko zużycie najwyższych zdolności zarówno ludzkiego, jak i przyrodzonego czynnika w celach produkcyjnych staje się możliwe, ale, co więcej, według George'a, wymiana pociąga za sobą spostrzegalny przyrost ogólnej sumy bogactwa, wskutek czego możemy ją uważać za trzeci tryb produkcyi i nazwać wymianą; mamy więc trzy sposoby produkcyi, a mianowicie: przystosowywanie, hodowanie i wymianę.

Te trzy sposoby zdają się występować i nabierać znaczenia w rozwoju społeczeństwa ludzkiego prawie że w porządku, wyżej przyjętym. Biorą one początek we wzroście potrzeb ludzkich razem ze wzrostem sposobów ich zaspakajania pod naciskiem podstawowego prawa ekonomii politycznej, na mocy którego ludzie starają się zaspokoić swe pragnienia przy pomocy najmniejszego wysiłku.

W pierwotnem stadyum ludzkiego życia najprostszym sposobem zadawalania pragnień jest przystosowywanie do użycia tego, co się znajduje gotowe. W późniejszem, bardziej skrystalizowanem stadyum okazuje się, że pewne pragnienia można łatwiej i pełniej zaspokoić przez zastosowanie hodowli i reprodukcyi, jako to przez uprawę jarzyn i hodowlę zwierząt domowych, a wreszcie, w późniejszym peryodzie rozwoju staje się rzeczą jasną, że pewne pragnienia można lepiej i łatwiej zaspokoić przez wymianę, kładącą większy nacisk na kooperacyę, niżby się to mogło dziać wśród nie uprawiających wymiany jednostek ekonomicznych.

Mówiąc o produkcyi, należałoby poddać też analizie i krytyce słynną teoryę Malthusa, tego jednakże George nie robi w swym systemie ekonomii politycznej, ponieważ rozprawił się z nią w głośnej pracy p. t. „*Progress and Poverty*", dokąd też czytelnika odsyła.

Kilka słów za to poświęca autor rzekomemu prawu zmniejszających się zysków z uprawy roli, o którem Stuart Mill w swych „*Principles of Political Economy*" (Księga I, Rożdział XII, sek. 2) powiada: To ogólne prawidło przemysłu rolnego jest najważniejszem twierdzeniem ekonomii politycznej. Gdyby to prawo było odmienne, toby niemal wszystkie fenomeny produkcyi i podziału bogactw były inne, niż są dzisiaj.

Przekonanie o ważności tego prawa o zmniejszających się dochodach z uprawy roli przenika podręczniki ekonomii politycznej i jest artykułem wiary współczesnych pisarzy scholastycznych takich, jak prof. Walker w Stanach Zjednoczonych lub prof. Marshal w Anglii.

Prawo to zyskało sobie dlatego tak wielkie znaczenie, ponieważ udziela poparcia teoryi Malthusa, na podstawie której ludność przewyższa środki utrzymania. Jakie są konieczne następstwa tego prawa według oficyalnych ekonomistów, możemy się dowiedzieć od Stuarta Milla, który w swych „*Principles of Political Economy*" (Księga I, Rożdział XIII, sekcya 21) powiada: we wszystkich krajach, które przeszły przez wczesne stadyum w rozwoju rolnictwa, każdy wzrost w zapotrzebowaniu pokarmu, spowodowany wzrostem zaludnienia, musi zawsze, chyba że równocześnie wystąpi ulepszenie produkcyi, zmniejszyć porcyę, któraby przy rzetelnym podziale przypadła każdemu indywiduum... Z tego wynika drugi ważny pewnik, że konieczność ograniczania wzrostu zaludnienia nie wypływa, jak wielu mniema, z szczególniejszych warunków nierównego podziału własności. Większa liczba ludzi nie może w jakimkolwiek danym stanie kultury być zbiorowo tak dobrze zaopatrzona, jak

mniejsza. Skąpstwo przyrody, nie zaś niesprawiedliwość społeczeństwa, jest przyczyną kary za przeludnienie. Niesprawiedliwy podział bogactw nie pogarsza nawet złego, lecz, co najwyżej, sprawia, że się je wcześniej czuje. Próżną jest rzeczą twierdzić, że wszystkie usta, jakie przyrost ludzkości powołuje do życia, przynoszą razem ze sobą i ręce. Nowe bowiem usta wymagają tyleż jadła, co stare, a ręce nie produkują tyleż samo.

Po pewnem, nie bardzo późnem stadyum rozwoju rolnictwa, faktycznie od chwili, w której ludzkość zabrała się do kultury ziemi z jaką taką energią i zastosowała jakie takie narzędzia; od tego czasu stało się prawem produkcyi rolnej, że w każdym stanie agrykultury pomnożenie pracy nie pomnaża w równym stopniu ilości produkcyi; zdwojenie pracy nie zdwaja produktów; albo, wyrażając to samo w innych słowach, każdy wzrost ilości produktów osiąga się przez więcej, niż proporcyonalny wzrost pracy, zastosowanej do uprawy roli.

W dalszym ciągu dowiadujemy się, że to prawo zmniejszających się zysków stosuje się tak dobrze do rolnictwa, jak do górnictwa i do wszystkich tych sposobów produkcyi, które nadają charakter bogactwa temu, co tego charakteru nie posiadało. Prawo to nie stosuje się atoli do produkcyi czysto przemysłowej, i tu wzrost pracy pociąga za sobą odpowiedni wzrost produkcyi; gdyby to samo miało miejsce przy uprawie roli, to wtedy jedna ferma, odpowiednio uprawiana, wystarczyłaby do wyżywienia całej Anglii, całych Stanów Zjednoczonych lub całej nawet kuli ziemskiej. Ta *reductio ad absurdum* została przyjęte przez wszystkich oficyalnych ekonomistów, jako pewnik, tak samo, jak przyjęto na podstawie teoryi Malthusa, jako pewnik, że, gdyby wzrost ludności nie spotykał przeszkody w mniejszym wzroście środków do życia, to ludzkość niebawem takby się rozmnożyła, że musielibyśmy stać jeden na głowie drugiego.

Analiza tych twierdzeń wykaże atoli z łatwością, że są one z gruntu fałszywe. Jedno i to samo prawo odnosi się do wszystkich sposobów i gałęzi produkcyi. Wszędzie produkcya stoi w pewnym związku z przestrzenią i czasem, które są nieuniknionymi czynnikami pracy ludzkiej.

Zanim przystąpimy do omówienia tego stosunku przyjrzyjmy się razem z Henrykiem Georgem zasadniczym pojęciom przestrzeni i czasu.

Ponieważ w obecnym referacie obchodzą nas jedynie i wyłącznie ściśle ekonomiczne pojęcia amerykańskiego myśliciela, przeto dla oszczędzenia sobie miejsca i nierozrywania uwagi czytelnika opuścimy cały obszerny roździał treści czysto metafizycznej, traktujący o pojęciach czasu i przestrzeni. Pomijając krytyczne wycieczki George'a w kierunku filozofii metafizycznej lub doktryn teologicznych, zaznaczymy jeno razem z autorem błąd, jaki popełniają ci wszyscy, którzy czas i przestrzeń uważają za istności realne, za coś, o czem można myśleć w oderwaniu od rzeczy, znajdujących się w czasie i przestrzeni. Zarówno czas, jak i przestrzeń, nie są wcale istnościami realnemi, lecz wyrażają po prostu wzajemny stosunek rzeczy do siebie: czas wyraża następstwo, a przestrzeń współistnienie, czas i przestrzeń ani nie istniały, ani mogą istnieć poza światem materyalnym, z którym razem powstały i z którym razem zniknąćby musiały. Pytania, kiedy się czas zaczął, lub co jest poza przestrzenią, są wręcz niedorzeczne.

Ustaliwszy sobie w ten sposób pojęcie czasu i przestrzeni, możemy teraz mówić o nich w zastosowaniu do spraw ekonomicznych.

Człowiek zgodnie ze swą naturą jest stworzeniem ziemnem, to znaczy, jakkolwiek chwilowo może się znaleźć pod ziemią lub nawet nad ziemią, to jednak stale musi na ziemi przebywać, na ziemi żyć i umierać.

Podstawowy fakt, że człowiek do produkcyi bogactw potrzebuje przestrzeni na suchym lądzie, uszedł pierwotnie uwagi, jako za nadto powszedni. Podobnie świeży osadnik uważa najprzód drzewa, jako zawady, które co prędzej usunąć należy, a dopiero po jakimś czasie przekonywa się, że są one raczej źródłem bogactwa, i wtedy je też odpowiednio szanować zaczyna.

W pierwszem stadyum produkcyi, które George nazywa przyswajaniem, przestrzeń była człowiekowi głównie o tyle jeno potrzebną, o ile pozwalała mu przy koczowniczym trybie życia uprawiać myśliwstwo i rybołówstwo. W drugiem stadyum, zwanem hodowaniem, przestrzeń zaczęła nabierać już nowej wartości, jako niezbędny warunek do uprawy zbóż i hodowli bydła. W trzeciem stadyum, które odznacza się wymianą, przestrzeń ma wartość nie dlatego, że dostarcza dzikich zwierząt lub gruntu pod uprawę, lecz dlatego, że, jak w nowoczesnych miastach, jest bliższa lub dalsza od centrów wymiany.

Z tego widzimy, że, jakkolwiek w różnych stadyach produkcyi przestrzeń różną posiada dla człowieka wartość, to jednak w żadnym wypadku wartości tej nie traci zupełnie. Za czasów Quesnay'a

i fizyokratów głównem źródłem produkcyi było rolnictwo, i, studyując warunki tej produkcyi, przyszli fizyokraci do przekonania, że posiadanie przestrzeni czyli ziemi daje niezasłużony przyrost zysków, i dlatego uważali rolnictwo za jedynie produkcyjne zajęcie. Z tego błędu skorzystał Adam Smith i jego następcy, odrzucając teoryę fizyokratów, a przyjmując równie błędną, ale dogodną im teoryę Malthusa, uważając wreszcie i nadal rolnictwo za główne, chociaż nie jedyne, źródło produkcyi oraz tworząc prawo zmniejszających się zysków z uprawy ziemi.

Aby zrozumieć błędność tej teoryi, musimy rozważyć rolę, jaką we wszelkiej produkcyi odgrywa przestrzeń.

Produkcya nie jest niczem innem, jak celową przemianą materyalnych substancyi w celu zaspakajania potrzeb ludzkich; ponieważ zaś wszelkie materyalne substancye znajdują się w przestrzeni, zatem przestrzeń jest jednym z pierwszorzędnych czynników produkcyi.

Znaczenie przestrzeni w produkcyi najlepiej widzieć można w rolnictwie, gdzie niewątpliwie koncentracya pracy podnosi do pewnego stopnia produkcyjność, która jednak poza tym stopniem już nie zwiększa się, a zmniejsza.

Sadzenie ziemniaków jeden o sto metrów od drugiego byłoby trwonieniem pracy, a posadzenie tej samej ilości ziemniaków na mniejszej przestrzeni dałoby większy zysk; lecz koncetracya ta mogłaby się posuwać tylko dopóty, dopóki zbyt gęste sadzenie ziemniaków nie tamowałoby ich rozwoju i wzrostu. Ideał koncentracyi, polegający na posadzeniu wszystkich ziemniaków w jednem miejscu, nie dałby oczywiście żadnego rezultatu.

Na tem oto zjawisku opiera się teorya zmniejszających się zysków z uprawy roli; ale prawo to nie odnosi się wyłącznie do uprawy roli lub do hodowli bydła. Prawda, że do jednej i do drugiej produkcyi potrzeba przestrzeni, i to sporo przestrzeni, ale to samo zupełnie stosuje się i do innych trybów produkcyi na podstawie prawa fizycznego o nieprzenikliwości ciał, na mocy którego dwa ciała równocześnie w tem samem miejscu znajdować się nie mogą. Prawo to obowiązuje zarówno rośliny, jak zwierzęt albo, dajmy na to, cegły.

W każdej gałęzi potrzeba przestrzeni, w jednej mniej, w drugiej więcej, ale w żadnej nie można się obyć bez potrzebnego miejsca do stania, poruszania się, umieszczenia narzędzi, składania wyprodukowanych przedmiotów i t. d. W każdej gałęzi produkcyi kon-

centracya zaczyna dawać większe zyski, aż wreszcie za daleko posunięta przestaje dawać zyski zupełnie lub przynosi straty.

Że tak jest istotnie, można wykazać np. na produkcyi cegieł, tak bardzo różniącej się od uprawy roli. Fabrykacya cegieł jest, według oficyalnej ekonomii politycznej, tą gałęzią produkcyi, w której każdy zwiększony nakład pracy przynosi proporcyonalnie większe zyski. Tymczasem zobaczymy, jak jest w rzeczywistości.

Gdyby jeden człowiek, wyrabiając tysiąc cegieł, wykonywał swą czynność na przestrzeni mili kwadratowej, to oczywiście trwoniłby czas i pracę, która dałaby mu bez porównania więcej zysku, gdyby się skoncentrował, ale ta koncentracya nie mogłaby przekroczyć pewnej granicy. Wydobycie na tem samem miejscu materyału na dwie cegły zamiast na jedną da niewątpliwie zwiększony zysk, ale usiłowanie wydobycia z tegoż samego miejsca materyału na tysiąc cegieł, gdyby wogóle było możliwe, musiałoby znacznie zmniejszyć zarówno wydatność, jak i wysokość zysków.

To samo da się powiedzieć o koncentracyi robotników, których tysiąc, na jednem miejscu zebranych, nie mogłoby wyprodukować tyle, co jeden człowiek, a właściwie nie mogłoby wyprodukować zgoła nic.

To samo wreszcie da się powiedzieć o gromadzeniu wyprodukowanych cegieł; dwie, położone jedna na drugiej, zajmą taką samą powierzchnię, co jedna, ale niepodobna tak położyć tysiąca jedna na drugiej, gdyż trzebaby na to i zbyt wielkiego wysiłku pracy ludzkiej, i lada wstrząśnienie, lada powiew obaliłby cały stos.

Widzimy więc, że i w tym wypadku przyrost pracy nie daje proporcyonalnego przyrostu w zyskach.

Stawianie wysokich, dwudziestokilkopiętrowych domów w Ameryce jest oszczędnością przestrzeni i skoncentrowaniem pracy, ale już i ta obecnie osiągnięta wysokość jest stanowczo za wielka (straż ogniowa zaczyna kłaść swoje veto), a jej przekroczenie byłoby wręcz niemożliwe.

Widzimy więc, jaką rolę w każdym trybie produkcyi odegrywa przestrzeń, a teraz zobaczymy, jaki wpływ na produkcyę wywiera czas.

Każdemu z własnego doświadczenia wiadomo, że jedną i tę samą pracę można wykonać w krótszym lub dłuższym czasie, zależnie od tego, czy się zechcemy skoncentrować i pracować intensywniej, czyli też mniej intensywnie, ale i ta metoda intensywniej-

szej i szybszej produkcyi ma swoje granice, poza które w żaden sposób wyjść nie można.

Gdy mamy wszystkie prawie części składowe domu gotowe, gdy mamy dosyć pieniędzy na to, aby robotnicy pracowali bez ustanku we dnie i w nocy, to przez skoncentrowanie pracy, możemy postawić dom znacznie prędzej, niżeli w zwyczajnych, normalnych warunkach, ale, bądź co bądź, to minimum będzie zawsze pewną ilością czasu, którego *ad infinitum* zmniejszać nie można. I tu więc koncentracya napotka na punkt graniczny, poza który przejść nie będzie mogła, a czas zarówno, jak i przestrzeń, sprawiają, że w każdym trybie produkcyi prawo o zmniejszającym się zysku jest zarówno obowiązujące.

Dwa bardzo ważne roździały poświęcone są bliższemu omówieniu kooperacyi w ścisłem, ekonomicznem, a nie w potocznem tego słowa znaczeniu. Kooperacya jest połączeniem sił indywidualnych ku osiągnięciu wspólnych celów, jest tym środkiem, zapomocą którego zapewnia się ogromny wzrost ludzkiej zdolności, charakteryzujący współczesną cywilizacyę.

Wszelki wzrost produkcyjnej siły człowieka ponad normę, daną jednostce przez przyrodę, bierze źródło w kooperacyi indywiduów. Kooperacya może się odbywać w dwojaki sposób:

1) Przez skombinowanie wysiłków. W ten sposób jednostki mogą wykonać to, co przekracza siłę jednego indywiduum.

2) Przez roździał wysiłków. W ten sposób jednostka może wykonać za więcej, niż jednego, pracy, która nie wymaga pełnej siły jednego indywiduum.

Pierwszy sposób kooperacyi można nazwać kombinacyą pracy, jakkolwiek może termin pomnożenie pracy nadawałby się lepiej ze względu na to, że drugi rodzaj kooperacyi od czasów Adama Smitha nazywa się podziałem pracy.

Doskonałym przykładem na pierwszy rodzaj kooperacyi jest pomoc, jakiej sobie udzielają pierwsi osadnicy na ziemi amerykańskiej. Przypuśćmy, że czterech ma sobie stawiać drewniane domy na wyrąbanisku. Każdy ścina swoje własne drzewa, ale pnie są za ciężkie na to, aby jeden człowiek mógł je na właściwe miejsce dostarczyć. Tak więc wszyscy czterej łączą swoje wysiłki w celu udzielenia sobie wzajemnej pomocy i rzecz do skutku doprowadzają.

Przykłady tej samej zasady w bardziej skomplikowanych stadyach rozwoju społecznego przedstawia zakładanie towarzystw akcyjnych, łączenie się małych kapitałów dla doprowadzenia do skutku takich przedsiębiorstw, jak budowanie kolei, konstruowanie

okrętów, wznoszenie fabryk i t. d.; wszystkie te przedsięwzięcia wymagają więcej kapitału, niż się zazwyczaj znajduje w posiadaniu jednego człowieka.

O ile atoli wielkie korzyści osiągamy z kombinacyi wysiłków, o tyle niemałe też otrzymujemy z podzielenia się jednostki.

I tak n. p. przy płynięciu łodzią są pewne prace, wymagające siły, te lepiej może wykonać jeden człowiek; ale jest też mnóstwo i takich, które trzeba wykonać równocześnie, a które nie wymagają wielkiej siły. Gdy jeden człowiek musi czas stracić na skutek konieczności spełniania danych czynności kolejno, dwu ludzi może je wykonać równocześnie i w ten sposób lepszy rezultat osiągnąć.

Wracając do powyższego przykładu, dostarczanego nam przez amerykańskich osadników, możemy przypuścić, że wypadnie im wszystkim jakiś interes do wsi, o dwa dni drogi odległej. Otóż, gdyby każdy zosobna szedł, toby też każdy dwa dni stracił; gdy atoli jeden tę drogę odbędzie, a pozostali trzej odrobią za niego po pół dnia pracy, na podziale tym wszyscy wyjdą dobrze, nikt niepotrzebnej straty nie poniesie.

Ten drugi sposób kooperacyi dozwala osiągnąć większe rezultaty przy mniejszym wysiłku zapomocą podziału pracy.

Ponieważ mamy tu do czynienia ze zjawiskami, powszechnie znanemi, przeto opuszczamy wszystkie drobiazgowe przykłady, przytoczone przez autora, zwracając chyba uwagę na jeden tylko bardzo charakterystyczny, a mianowicie na pieczenie chleba, gdzie koncentracya pracy, polegająca na wypiekaniu większej ilości bochenków naraz i na większej ilości takich porcyi, następujących po sobie bezpośrednio, sprowadza ogromne zaoszczędzenie paliwa i czasu. Należy bowiem pamiętać, że obok czysto fizycznych niemałą rolę odgrywają tu i momenty czysto umysłowej natury. Wiadomo, że, czem częściej daną czynność wykonywamy, tem łatwiej przychodzi nam wykonywać ją i tem prędzej to czynimy, a tem lepiej.

Na tem właśnie polega cały postęp produkcyi wszelkiego rodzaju, spowodowany wprost podziałem pracy, której zawdzięczamy wspaniały rozwój współczesnej kultury.

Oczywiście, że ta dążność do podziału pracy naprowadziła człowieka na myśl konstruowania machin. Jakkolwiek człowiek jest tak zbudowany, że może wyrabiać ogromną rozmaitość przedmiotów, to jednak machina, chociaż z uszczerbkiem dla rozmaitości, może pod względem jakościowym wykonywać dokładniej i lepiej od człowieka.

Korzyści, wypływające z kooperacyi, Henry George formułuje w następujący sposób:

A. Kombinacya pracy pozwala pewnej ilości indywiduów przez proste połączenie wysiłków wykonać więcej, niżby każde indywiduum zosobna mogło osiągnąć.

B. Podział pracy razem z koncentracyą i kooperacyą, które za sobą pociąga, dozwala jednemu z mniejszym wysiłkiem wykonać pracę za wielu, a to mianowicie:

1. Przez zaoszczędzenie czasu i wysiłku, jak w poprzedzającym przykładzie, w którym jeden człowiek wykonywa drogę, którąby w innym razie musiało wykonać czterech.

2. Przez zużytkowanie różnych zdolności poszczególnych indywiduów, jak wtedy, kiedy posiadający siłę fizyczną oddają się zajęciom, wymagającym siły, podczas gdy słabsi wykonywują rzeczy, wymagające mniej wysiłku, do których jednakże są właśnie uzdolnieni, osiągając ten sam ostateczny rezultat, do jakiego doprowadziłby najwyższy wysiłek wszystkich razem wziętych; albo gdzie ci, co innemi odznaczają się zdolnościami, robią właśnie rzeczy, do których owe zdolności najbardziej się nadają, wskutek czego czynią to, co umieją robić najlepiej, a ogół na tem dobrze wychodzi.

3. Przez powiększanie wprawy, wypływającej z ciągłego wykonywania tego samego rodzaju pracy.

4. Przez nagromadzenie wiedzy. Ta sama tendencya, co zwiększa nie dającą się udzielać innym wiedzę, którą nazywamy wprawą, ułatwia także wzrost właściwej i dającej się udzielać innym wiedzy, która polega na znajomości stosunków, panujących w świecie zewnętrznym, i która jest własnością ciała ekonomicznego, przekazywaną za pomocą pisma lub innych podobnych środków.

5. Przez wyzyskiwanie korzyści produkowania na wielką skalę zamiast na małą skalę i w jednym ciągu zamiast oddzielnie.

6. Przez zużytkowanie przyrodzonych sił, przez wynalezienie machin oraz udoskonalonych procesów, które można zastosować przy produkcyi na wielką skalę.

Oprócz dwu trybów czyli sposobów kooperacyi odróżnia Henry George jeszcze dwa rodzaje kooperacyi: pierwszy, w którym proces, jednej kierującej myśli poddany, odbywa się planowo i świadomie, n. p. ruchy armii: i drugi, w którym proces, przez nikogo specyalnie nie kierowany, stanowi nieświadomą i bezplanową kooperacyę, jak n. p. zaopatrywanie współczesnych miast we wszystko, co im do tak skomplikowanego życia niezbędnie jest potrzebne.

W roździale tym Henry George występuje, jako zasadniczy wróg socyalizmu i państwowej kontroli nad ogółem pracy społecznej. Wysiłki mięśni mogą być poddane kierownictwu jednostki, bo, jakkolwiek kontrolowane jednostki zrzekają się swych praw umysłowych, proces na tem nie traci. Ale poddanie wysiłków duchowych pod kierunek jednostki, poddanie procesów umysłowych pod kontrolę państwa, a tego właśnie chcą socyaliści, musiałoby sprowadzić nie pomnożenie, lecz zmniejszenie owoców pracy i skarlenie duchowego rozwoju rodzaju ludzkiego. W obronie jednostki występując, jest Henry George zwolennikiem wolnej konkurencyi, jako zasady życia ekonomicznego i społecznego, indywidualizm posiada w nim swego wielbiciela i wyznawcę. Cały roździał składa się właściwie z przykładów, mających wykazać zgubność socyalistycznego ustroju społecznego. Jakkołwiek przykłady są bardzo szczęśliwe, chcąc uniknąć przeładowania referatu, opuścić je musimy.

Ostatnie roździaly tej księgi dowodzą zbyt wyraźnie, że ani myślowo, ani pod względem formy nie zostały wcale wykończone. To też idei autora możemy się raczej domyślać, niżeli je jasno ująć. Jeden roździał miał traktować o roli, jaką spełnia w produkcyi wymiana, ten jej trzeci tryb, stanowiący podstawę współczesnej cywilizacyi. Drugi roździał miał omówić znaczenie współzawodnictwa w procesie produkcyi. Żałować należy, iż roździał ten nie został zupełnie i szczegółowo wypracowany, a to ze względu na różnice zdań pomiędzy George'm a szkołą socyalistyczną. Roździał o podaży i popycie ma jeno swój numer i tytuł; treść razem z autorem zstąpiła przedwcześnie do grobu, wreszcie trzy ostatnie roździały miały traktować o trzech czynnikach produkcyi, jakimi są ziemia, praca i kapitał.

Jakkolwiek myśl autora została w tych trzech roździałach zaledwie naszkicowana, to jednak możemy widzieć dokładnie, w jakim kierunku byłaby się rozwinęła. Przez ziemię rozumie Henry George nie tylko uprawną rolę, ale wogóle wszystko, co człowiek dla siebie na ziemi, w ziemi lub nad ziemią znajduje. Wszystko to, razem wzięte, stanowi warsztat dla pracy ludzkiej, która, jako aktywny czynnik, wyprodukowuje całe bogactwo i cały kapitał; ten ostatni, będąc wytworem pracy, służy jej, jako pomoc, do dalszej produkcyi bogactwa, spełnia więc rolę podrzędną, a nie główną, i nie należy mu się to stanowisko, jakie sobie dzisiaj wytworzył. Niesłu-

sznie uprzywilejowane stanowisko kapitału upośledziło pracę, którą dla swych celów wyzyskuje.

Księga czwarta traktuje o podziale bogactw. Już wiemy, że George handlu i wymiany podziałem bogactw nie nazywa; dwa te procesy ekonomiczne są częściami składowemi produkcyi, którą do ekonomicznie logicznego końca doprowadzają. Podział zaś z wymianą, jako taką, nie ma zgoła nic do czynienia i przedstawia sam w sobie proces zupełnie oddzielny.

Słowo podział (po angielsku *distribution*), pochodzi z łacińskiego *dis*, roz, i *tribuo*, dawać, lub *tribuere*, przydzielać. Powszechne pojęcie dystrybucyi (podziału) różni się od pojęcia dywizyi tem, że obok idei roździału na części obejmuje sobą ideę rozdania tychże części, tworzy więc ideę roździału pomiędzy różnych właścicieli.

Wszyscy doskonale rozumiemy, co to jest dystrybucya pracy, obowiązków lub funkcyi, co to jest dystrybucya pokarmu lub jałmużny, dystrybucya gazu, wody, ciepła lub elektryczności, roździał zwierząt lub roślin na powierzchni ziemi, i t. d., i t. d.

O ile z jednej strony dystrybucya nie ma nic wspólnego z wymianą, o tyle z drugiej strony nie obchodzą jej wcale konsumcya lub podatki, które regulują przepisy ludzkie, gdy ekonomia polityczna bada jeno prawa natury, a cel, dla którego produkcya się odbywa, zostaje osiągnięty razem z podziałem bogactw; konsumcya ekonomię nic a nic nie obchodzi.

Potrzeba rozważania podziału wypływa z kooperacyjnego systemu produkcyi. Gdy w pierwotnym stanie cywilizacyi każda jednostka konsumowała produkty własnej pracy, o podziale bogactwa mowy nie było. Inaczej rzecz się ma dzisiaj. Gdy każdy zosobna, powodowany chęcią zaspokojenia własnych pragnień, zabiera się do produkcyi kooperacyjnej, w tejże chwili powstaje kwestya podziału, która w dzisiejszym stanie społeczeństwa tak jest rzeczą drażliwą.

Podział jest właściwie dalszym ciągiem produkcyi, bo, gdy dążność do zaspokojenia pragnień jest źródłem i początkiem produkcyi, końcem jej jest właśnie podział, który pragnienie zaspakaja.

Jeżeli prawdą jest powyższe twierdzenie, to roździał ekonomii, traktujący o podziale, jest ostatnim jej roździałem; bo, gdy początkiem wszelkiej czynności ludzkich jest chęć zaspokojenia pragnień, końcem jej jest podział bogactw, umożliwiający zaspoko-

jenie tychże. Dalszym losem bogactw, które uległy podziałowi, ekonomia wcale się nie zajmuje, chyba gdyby wszystkie one lub jakaś ich część wzięły znowu udział w produkcyi, jako kapitał, ale w takim razie mamy nową pozycyę, która znowu od samego początku musi być rozważana.

Gałęzie wiedzy, zajmujące się ostatecznym losem podzielonych bogactw, mogą być bardzo pouczające i pożyteczne, ale nie wchodzą w zakres ekonomii politycznej, która losem bogactw po ich podziale zgoła się nie zajmuje.

Jeżeli, dajmy na to, podejmuję szereg czynności dla otrzymania pewnej ilości ziemniaków, to szereg ów kończy się logicznie z chwilą, gdym ową zamierzoną ilość ziemniaków posiadł, a co się z nimi stanie potem, to już rzecz dla ekonomii obojętna, jakkolwiek nie obojętna dla jednostki lub całego społeczeństwa.

Jako termin ekonomii politycznej, dystrybucya czyli podział uważany jest za dywizyę czyli roździał bogactw, co jest stanowczo błędne, jak to poniżej zobaczymy.

Zabierając się do rozważania podziału bogactw, musimy sobie jeszcze raz uprzytomnić, że ekonomia polityczna zajmuje się prawami naturalnemi, a nie prawami ludzkiemi, które w przeciwieństwie do pierwszych mogą być dowolnie zmieniane. Henry George w ciągu swego całego systemu konsekwentnie kładzie nacisk na to, że prawa ekonomii politycznej są niezmiennemi prawami przyrody, negując w ten sposób pierwiastki etyczne i humanistyczne, które chyba też w gospodarstwie człowieka niepoślednią rolę odegrywać powinny.

Przystępując do omówienia natury podziału i zamierzając rzeczywiście polemizować ze scholastycznymi ekonomistami, Henry George przytacza ustęp z Milla „*Principles of Political Economy*", który i my tu powtórzymy.

Zasady, wyrażone w pierwszej częsci niniejszego traktatu, są pod pewnymi względami bardzo różne od tych, których rozważeniem mamy obecnie się zająć. Prawa i warunki produkcyi bogactwa mają charakter praw fizycznych. Niema w nich nic dowolnego lub samowolnego. Cokolwiek ród ludzki produkuje, musi być wyprodukowane pod warunkami, nałożonymi przez ustrój zewnętrznych przedmiotów, jakoteż przez wrodzone właściwości cielesnej oraz umysłowej kultury ludzi ......

Ale nie tak rzecz się ma z podziałem bogactw. To bowiem jest przedmiotem ludzkich postanowień wyłącznie. Skoro tylko produkty przemysłu raz istnieją, to już ludzkość, pojedyńczo

lub zbiorowo, może robić z nimi, co się jej podoba. Może je oddać do czyjejkolwiekbądź dyspozycyi i na jakichkolwiek warunkach. Dalej, w stanie uspołecznienia, w każdym stanie z wyjątkiem zupełnej pustki, jakiekolwiek użycie produktów może nastąpić jedynie za zgodą społeczeństwa albo raczej tych, którzy reprezentują jego siłę czynną. Nawet tego, co człowiek wyprodukował osobistym wysiłkiem i bez niczyjej pomocy, nie może zatrzymać sobie, chyba za zgodą społeczeństwa. Nie tylko społeczeństwo może mu to odebrać, ale nawet jednostki mogłyby mu odebrać i odebrałyby, gdyby jeno społeczeństwo zachowało się biernie i gdyby nie wmieszało się w to *en masse* lub nie używało płatnych ludzi w celu zapewnienia mu spokojnego posiadania. Zatem podział bogactwa opiera się na prawach i zwyczajach społeczeństwa. Prawidła, jakie się do podziału stosują, są takie, jakiemi je czynią opinie i uczucia rządzącej części społeczności, i bardzo się różnią w różnych czasach i różnych krajach; mogłyby być jeszcze różniejsze, gdyby się tak rodzajowi ludzkiemu podobało.

Opinie i uczucia rodzaju ludzkiego nie są bez wątpienia przedmiotem przypadku. Są one konsekwencyami podstawowych praw natury ludzkiej, skombinowanych z panującym stanem wiedzy i doświadczenia, z panującym stanem socyalnych instytucyi oraz intelektualnej i moralnej kultury. Ale prawa powstawania ludzkich opinii nie leżą w zakresie naszego obecnego przedmiotu. Są one częścią ogólnej teoryi ludzkiego postępu, o wiele większego i trudniejszego przedmiotu od ekonomii politycznej. Obecnie mamy rozważyć nie przyczyny, lecz konsekwencye prawideł, według których bogactwo może uledz podziałowi. Te, co najmniej, są tak mało samowolne i tyle samo mają cech praw fizycznych, co i prawa produkcyi.

Istoty ludzkie mogą panować nad własnymi czynami, ale nie nad konsekwencyami tychże czynów zarówno dla siebie samych, jak i dla innych. Społeczeństwo może poddać podział bogactw tym prawidłom, które uważa za najlepsze; ale jakie praktyczne rezultaty wypłyną z działania tych prawideł, to musi być dopiero odkryte, podobnie jak inne prawdy fizyczne lub umysłowe, za pomocą obserwacyi oraz rozumowania.

Przystępujemy zatem do rozważenia różnych sposobów podziału produktów ziemi i pracy, które zostały przyjęte w praktyce lub mogą być pomyślane w teoryi.

Wyżej przytoczony ustęp jest wybornym przykładem tego, w jaki sposób scholastyczni ekonomiści traktują prawa podziału

bogactw. Sposób ten jest, według Henryka George'a, wysoce nienaukowy, gdyż jedne prawa traktuje, jako prawa przyrody, a drugie, i to praktycznie biorąc, o wiele ważniejsze, jako prawa ludzkie, dowolne i podlegające zmianie.

Twierdzenie to Milla trzeba pilnie rozważyć, bo zostało ono wygłoszone na rzecz obowiązujących teoryi ekonomicznych przez człowieka, który od dwunastego roku życia poświęcał się logice i napisał o niej pomnikowe dzieło.

Rozpoczynając badanie owego argumentu widzimy, że jego prawdodopobieństwo wypływa z twierdzenia, iż „skoro tylko produkty przemysłu raz istnieją, to już ludzkość, pojedyńczo lub zbiorowo, może robić z nimi, co się jej podoba". To twierdzenie zniewoliło prawdopodobnie i Mill'a i jego następców do przyjęcia zasady, że, choć prawa produkcyi są przyrodzone prawa podziału są dowolne. Bo, istotnie, twierdzenie to samo w sobie jest zupełnie słuszne i niezbite.

Jakkolwiek atoli twierdzenie jest niezbite, to użycie go w argumencie, jak to Mill czyni, jest wybornym przykładem błędu, który logicy nazywają *petitio principii*. Pytanie, nad którem Mill się zastanawia, opiewa, czy to, co się w ekonomii politycznej nazywa podziałem bogactw, podlega prawom przyrodzonym, czy prawom ludzkim; w odpowiedzi zaś cytuje Mill fakt, że to, co się w prawie ludzkiem nazywa podziałem bogactw, podlega dowolności rodzaju ludzkiego, i z tego wyciąga prosty wniosek, że podział bogactw w pojęciu ekonomicznem jest przedmiotem prawa ludzkiego — przedmiotem ludzkich postanowień wyłącznie.

Taki rażący błąd nie mógłby być popełniony ani przez Milla, ani przez jego następców, gdyby nie to, że sprawa podziału bogactw była wogóle pomijana i bardzo ignorowana.

Pytanie zachodzi, czy istnieją prawa przyrodzone, któreby bez interwencyi instytucyi ludzkich dokonywały podziału bogactw?

Rzecz jasna, że nie istnieją żadne prawa fizyczne, obowiązujące powszechnie materyę, coby przeszkadzały dowolnemu podziałowi bogactw, które żadnej opozycyi czynić nie będą, podobnie jakby żadnego oporu nie stawiały przedmioty martwe, przed wiekami wyprodukowane, w pustyni znalezione i dowolnie między żywych rozdzielone.

Gdybyśmy atoli z przedmiotami, współcześnie wyprodukowanymi, chcieli postępować podobnie, jak z przedmiotami znalezionymi, to wkrótce ujrzelibyśmy fatalne następstwa tego porządku rzeczy dla istniejącej kultury. Gdyby nikt nie był pewny owoców swej pracy,

to by wprost przestał pracować, i nastąpiłoby natychmiast ogólne zdziczenie.

Trzeba bowiem pamiętać, że obok praw natury czysto fizycznej są prawa moralne, które z równą siłą działają, a równie są przyrodzone. I te to prawa zaprotestowałyby przeciwko dowolnemu zupełnie podziałowi bogactw, nie należy bowiem ani na chwilę zapominać, że człowiek przykłada rękę do produkcyi w celu zaspokojenia swych pragnień i pożądań; ale zaspokojenie to daje dopiero podział, a nigdy produkcya sama. I z chwilą, gdyby podział z prawami moralnemi liczyć się przestał, produkcyaby osłabła znacznie lub zniknęła zupełnie.

Henry George po raz pierwszy w rozważaniu praw ekonomii politycznej powołuje się na prawa moralne przy podziale bogactw; na ogół atoli biorąc, przypisuje on im widać za małą rolę, skoro je zupełnie ignoruje, skoro je pod rozwagę nie bierze i skoro wogóle etycznym pierwiastkom w ekonomi politycznej żadnej prawie nie przypisuje roli.

Jakkolwiek Mill w zasadzie nie uznawał faktu, że prawa podziału bogactw są prawami przyrodzonemi, lecz przyznawał im charakter praw, przez ludzi dowolnie ustanowionych, to jednak w końcowem twierdzeniu poprzednio przytoczonego ustępu zdradza się mimowoli, że miał przeczucie odmiennego porządku rzeczy.

Aby krytykę jasno przeprowadzić, powtórzmy to końcowe twierdzenie, uzupełniając myśl w nawiasach i podkreślając słowa, o które w dalszym ciągu chodzić będzie.

Mamy więc tu w (ekonomii politycznej) rozważać nie przyczyny, lecz konsekwencye (ludzkich) prawideł, wedle których bogactwo może być podzielone. Te to (k o n s e k w e n c y e), co najmniej, są tak mało dowolne i tak samo posiadają cechy praw fizycznych, jak prawa produkcyi. Istoty ludzkie mogą kontrolować własne czyny, ale nie k o n s e k w e n c y e swoich czynów bądź to w odniesieniu do siebie samych, bądź w odniesieniu do innych. Społeczeństwo może poddać roździał bogactw prawidłom, które uważa za najlepsze; ale jakie p r a k t y c z n e r e z u l t a t y wynikną z działania tych reguł, trzeba dopiero wykryć, jak każde inne fizyczne lub umysłowe prawdy, za pomocą obserwacyi i rozumowania.

W powyższym ustępie mamy uderzający przykład użycia wyrazu „skutek” czyli „konsekwencya” tam, gdzie słowo „następstwo” winno być użyte.

Następstwem jest to wszystko, co następuje. Jeżeli mówimy, że jedna rzecz jest następstwem drugiej, to stwierdzamy pomiędzy

niemi stosunek sukcesyi, nie twierdząc, że stosunek ten jest niezmienny lub przyczynowy, ale konsekwencyą jest to, co z czegoś innego wypływa. Mówiąc, że jedna rzecz jest konsekwencyą drugiej, twierdzimy, iż zachodzi między niemi stosunek niezmienny i przyczynowy.

Pomieszanie tych dwu słów w mowie potocznej, gdzie zwykle wiemy, o co nam chodzi, jest rzeczą małej wagi, ale w ścisłem rozumowanie takie pomieszanie słów sprowadza pomieszanie pojęć i brak ścisłości.

Ale tego właśnie błędu dopuszcza się Mill w powyżej przytoczonem twierdzeniu. Mówi on o konsekwencyach prawideł ludzkich, według których odbywa się podział bogactw. Tymczasem są to następstwa owych prawideł, a nie ich skutki. Mówić bowiem, że człowiek może kontrolować swoje czyny bez możności kontrolowania ich skutków—znaczy to samo, co zaprzeczać praw przyczynowości. Ponieważ zaś istotnie objawy, o których mowa, są jeno następstwami prawideł ludzkich i mają charakter niezmiennych praw przyrody, przeto też muszą być konsekwencyami jakichś innych niezmiennych praw przyrody.

Prawdą, jaką Mill niejasno zaznacza, jest właśnie fakt, że, jakkolwiek człowiek może pragnąć wywierania wpływu na podział bogactw, to jednak tenże odbywa się według pewnych stałych prawideł, leżących po za władzą człowieka.

Jakkolwiek George jest zwolennikiem teoryi, że w ekonomii politycznej wszystko musi się odbywać według niezmiennych praw przyrody, to jednak, przyjmując wolną wolę u człowieka, godzi się na fakt, że ludzie w zakresie tychże praw przyrody mogą się dosyć swobodnie i niezależnie obracać.

Ale owe obowiązujące nas prawa przyrody są absolutnie stałe i niezmienne i, jeżeliby się udało wykazać nieugiętość praw podziału wobec wysiłków ludzkich, tobyśmy tem samem udowodnili, że są one prawami przyrody.

Aby to uczynić, wystarczy, według George'a, odwołać się do faktów powszechnie znanych.

Trzy wielkie prawa podziału bogactw, ogólnie przyjęte, są następujące: prawo zapłaty, procentu i renty. Trzy te prawa nie dadzą się w istniejącym ustroju społecznym zmodyfikować i wszelkie usiłowania w tym kierunku idą na marne.

Na potwierdzenie tego przytacza George nieudane próby ustalenia zapłaty robotników w Anglii, ustalenia stopy procentowej w stanie Nowy-York i renty gruntowej w Irlandyi. To samo odnosi

się do cen, bo człowiek nie może bezpośrednio wpływać na podział, jeno pośrednio, za pomocą produkcyi. Tu znowu następuje szereg przykładów, jako to do przeszłości już należące stosunki pańszczyzniane i obecnie praktykowane cła ochronne.

Zresztą przy pilnem badaniu „Zasad ekonomii politycznej" Milla Henry George znajduje, że autor sam nie przeprowadza konsekwentnie swego twierdzenia, jakoby prawa podziału zależały jedynie od postanowień ludzkich.

Jeżeli atoli ekonomia scholastyczna jest w błędzie, twierdząc, że prawa produkcyi są prawami naturalnemi, a prawa podziału tylko ludzkiemi, to jednak prawdą jest, że istnieje między niemi różnica, i to bardzo znaczna. Prawa produkcyi są prawie wyłącznie fizyczne, podczas gdy prawa podziału mają charakter moralny. Przy podziale powstaje kwestya obowiązku i sprawiedliwości, która nie istnieje prawie wcale przy produkcyi. Ten fakt sprawia, że prawa podziału, wchodzące w zakres etyki, pozornie uchylają się z pod wpływu praw przyrodzonych. Ale są to jeno pozory, bo Henry George uznaje dwojakiego rodzaju prawa naturalne: odnoszące się wyłącznie do materyi i wyłącznie lub przeważnie do ducha. Przy rozważaniu tych drugich powstaje pytanie dobra i zła, kwestya sprawiedliwości.

Bezpośrednio z kwestyą podziału bogactw związana jest kwestya własności; jeżeli podział odbywa się według postanowień ludzkich wyłącznie, to i własność nie innym podlega wpływom.

Przedmiot ze względów praktycznych bardzo jest ważny i zasługuje na bliższe rozważenie.

Ze scholastycznych ekonomistów Stuart Mill, jedyny według George'a, spostrzegł związek pomiędzy podziałem bogactw a własnością, i stąd tę drugą rozważa bezpośrednio po pierwszym. Ale przy tem wszystkiem trwa w swym błędzie w całości, gdyż z tą samą konsekwencyą twierdzi, że posiadanie podobnie, jak podział, zależy jedynie od zmiennych i niestałych praw ludzkich, przyczem popełnia wiele błędów logicznych, jak widać z wstępnego paragrafu jego traktatu o własności, księga II, rożdział I, Sek. 2, który tak opiewa:

Własność prywatna, jako instytucya, nie zawdzięcza swego powstania żadnej konsyderacyi użyteczności, przemawiającej za jej utrzymaniem, skoro raz już została postanowiona. Dosyć wiemy o czasach pierwotnych zarówno z historyi, jak i z analogicznych stanów społeczeństwa w naszych czasach, aby widzieć, że trybunały, które zawsze wyprzedzają przepisy, zostały pierwotnie ustanowione nie dla oznaczenia słusznych praw, lecz dla powstrzymania gwałtu

i kończenia sporów. Przeważnie ten cel mając na względzie, udzieliły one prawnej mocy pierwszemu zajęciu, traktując jako napastnika tego, kto pierwszy rozpoczął gwałt przez pozbawienie lub usiłowanie pozbawienia drugiego jego własności. Zachowanie pokoju, które stanowiło pierwotny cel rządu cywilnego, zostało w ten sposób osiągnięte; przez potwierdzenie posiadającemu tego, co nawet nie było owocem osobistego wysiłku, udzielano gwarancyi wszystkim, że zawsze doznają opieki.

Całe powyższe twierdzenie George odrzuca, jako błędne; w pierwszem bowiem zdaniu Mill twierdzi, że prywatna własność nie powstała ze względów czystej użyteczności, w trzech następnych zaś twierdzi przeciwnie, że użyteczność była źródłem powstania prywatnej własności. A przytem wszystkiem powiada jeszcze, że społeczeństwo, zatwierdzając niesłuszne posiadanie, gwarantuje sprawiedliwą własność.

Mill popada w tę sprzeczność jedynie dlatego, że jest wyznawcą filozofii utylitarnej, która wychodzi z użyteczności, a nie praw moralnych w celu zbudowania systemu naszej etyki. Sprzeczności te przewijają się przez cały roździał, traktujący o własności, i, chociaż Mill pragnie własność traktować, jako ludzką wyłącznie instytucyę, zapomina się i ustawicznie mówi o słuszności i sprawiedliwości — tych wybitnie nadludzkich pierwiastkach.

Nic też dziwnego, że, wobec tej niezgodności z samym sobą, Mill, mówiąc w jednym ustępie, że własność bierze początek nie w sprawiedliwości, lecz w użyteczności, zaraz potem tak się w tej samej sprawie oświadcza:

Socyalne urządzenia współczesnej Europy wzięły początek w podziale własności, który był wynikiem nie „słusznego" roździału lub pracowitości, iecz podboju i gwałtu; i pomimo tego, co pracowitość czyniła przez wiele wieków dla zmodyfikowania dzieła siły, system zachował wielkie i liczne ślady swego pochodzenia.

Prawa własności nigdy jeszcze nie zgodziły się z zasadami, na których opiera się usprawiedliwienie prywatnego posiadania. Uczyniły one własnością rzeczy, które nigdy nie powinny były stać się własnością, i stworzyły absolutną własność tam, gdzie powinno było istnieć jedynie ograniczone posiadanie.

W ustępie tym Mill twierdzi, że ludzkie prawa posiadania nie powstały z potrzeby usunięcia gwałtu, lecz z gwałtu samego; że nie były nigdy w zgodzie z tem, co możemy nazwać naturalnem prawem własności, że przeciwnie gwałciły to prawo, uważając za własność to, co według owego prawa wcale własnością nie jest. Gdyż

twierdzić, że prawo ludzkie powinno być inne od wprowadzonego przez prawodawstwo, znaczy twierdzić, że istnieje prawo naturalne, na którem przepisy ludzkie opierać się powinny.

Sam Mill zdradza się nieco niżej, że zna to prawo naturalne, ponieważ mówi:

Własność prywatna w każdej obronie, jaka się na jej korzyść czyni, ma przypuszczalnie gwarantować jednostkom owoce ich własnej pracy i wstrzemięźliwości.

Zakończmy rozważanie praw własności przytoczeniem jeszcze jednego ustępu z Mill'a, na który wyraźnie George sam się godzi.

Instytucya własności, ograniczona do swych istotnych elementów, polega na uznaniu u każdego człowieka prawa do wyłącznego rozporządzania tem, co własnym trudem wyprodukował lub otrzymał darem lub na podstawie ugody, nie siłą lub podstępem od tych, którzy to coś wyprodukowali. Podwaliną systemu jest prawo producentów do owoców produkcyi.

Prawo własności więc zawiera wolność nabywania na mocy kontraktu. Prawo każdego do tego, co sam wyprodukował, obejmuje też prawo do tego, co zostało wyprodukowane przez innych, jeżeli zostało osiągnięte z ich przyzwoleniem.

Tak oto mniej więcej przedstawia się kwestya własności, według Milla i George'a, kończącego księgę o podziale roździałem, który teraz mamy rozważyć.

Nie wystarczy sformułować kategoryczne twierdzenie, że ktoś jest w błędzie; trzeba mu to jeszcze dowodnie wykazać. Zadania tego podjął się właśnie Henry George w ostatnim roździale czwartej księgi swego dzieła, w którym wykazuje, gdzie i w czem Mill popełnia pomyłkę.

Cała rzecz polega na tém, że zarówno Mill, jak jego poprzednicy i następcy, starali się i starają usprawiedliwić prywatne posiadanie ziemi i znaleźć w podziale miejsce na dochody właścicieli ziemskich. Ponieważ zaś prywatne posiadanie ziemi nie da się uzasadnić naturalnemi prawami, przeto prawa podziału muszą wypływać z postanowień ludzkich wyłącznie.

Mill zarówno, jak Adam Smith oraz inni scholastyczni ekonomiści, uważał zawsze ziemię, jako typ własności prywatnej, i nie śmiał zastosować do niej skalpela swej krytyki.

Rzetelna podstawa własności i rzetelne prawa podziału tak są jasne, że nikt nie może na tym punkcie uczynić pomyłki. Owoc pracy powinien należeć do producenta. Na nieszczęście atoli dla

scholastycznych ekonomistów zasada powyższa nie może objąć sobą ziemi, stąd konieczność oparcia praw własności na utylitaryzmie i na czysto ludzkich postanowieniach.

A pomimo wszystko nie waha się Mill wygłosić zdania, że „nic innego nie jest objęte własnością, jak prawo każdego do swych osobistych zdolności", że „gdy główną zasadą własności jest zapewnienie każdemu tego, co wyprodukował pracą i nagromadził wstrzemięźliwością, zasada owa nie może się odnosić do tego, co nie jest produktem pracy, to znaczy do surowych płodów ziemi".

W ten sposób zdawałoby się, że Mill uznał naturalne, a więc jedynie racyonalne i słuszne prawo własności. Zaraz atoli w następnem zdaniu rozciąga to prawo i na ziémię, popadając w starą sprzeczność, z której niema wyjścia.

Nie chcąc referatu przedłużać, opuścimy obszerny ustęp z książki Milla, przytoczony przez Henryka George'a; ciekawy może go znaleźć na 463 stronie oryginału. Tu zaznaczymy jeno razem z George'm, że Mill zaczyna od twiérdzenia, iż prawo własności nie odnosi się do ziemi, a kończy twierdzeniem, że się, przeciwnie, odnosi. Niekonsekwencya bierze źródło w pomieszaniu ze sobą dwu pojęć: ekonomicznego i nieekonomicznego. W ekonomicznem pojęciu ziemia jest tem wszystkiem, co człowiek znajduje na jej powierzchni lub pod jej powierzchnią; w pojęciu nieekonomicznem ziemia jest jedynie gruntem uprawnym, w który wiele już pracy ludzkiej włożono. Otóż Mill używa tych dwu pojęć bez różnicy, stąd niejasność i niekonsekwencya.

Piąta i ostatnia księga pośmiertnego dzieła Henryka George'a poświęcona jest pieniądzom, jako środkowi wymiany i miernikowi wartości. Każdy, kto się zetknął bodaj pobieżnie ze sprawami ekonomicznemi, wie, jak powikłaną i niejasną jest nauka o pieniądzach. Jakkolwiek używamy ich od wczesnej młodości aż do późnego wieku i praktycznie umiemy bardzo dobrze odróżnić pieniądz od tego, co nie jest pieniądzem, to jednak nie mamy ścisłego i dokładnego pojęcia o naturze i funkcyach ekonomicznych pieniędzy. Odnosi się to nie tylko do profanów, ale specyalistów, wśród których niema zgody i porozumienia tak na tym punkcie, jak i na wielu innych pierwszorzędnej wagi. O pomieszaniu pojęć świadczy fakt, że kwestya pieniędzy nie schodzi z porządku dziennego, a jednak do

tej pory ani w Ameryce, ani w Europie nie została w sposób zadowalniający rozstrzygnięta.

Czem więcej się o pieniądzach pisze, tem bardziej przychodzi się do przekonania, że nic pewnego o nich nie wiemy.

Najnowsze wydanie Amerykańskiej Encyklopedyi (z 1896 r.) powiada: „Pieniądz jest tą częścią monety obiegowej, która posiada wartość istotną, którąby więc nawet nie użyta, jako moneta obiegowa, nie przestała być bogactwem." Ci, którzy są takiego lub podobnego zdania, utrzymują, ze pieniądzem mogą być tylko metale, i że, gdziekolwiek istnieją pieniądze papierowe, mają wartość jedynie dlatego, że je można każdej chwili wymienić na złoto lub srebro, trzymane w tym celu w bankach państwowych.

Z tych znowu jedni twierdzą, że na pieniądz nadaje się jedynie złoto, inni utrzymują, że srebro ma te same lub większe prawa, i że demonetyzacya srebra pociągnęła za sobą wiele złego.

Z drugiej strony nie brak i takich, którzy twierdzą, że pieniądz powstaje wskutek prostego edyktu odpowiedniej władzy, upoważnionej do wydawania pieniędzy.

Nie brak nareszcie i takich, którzy rozumieją, że wszystko, co umożliwia wymianę towarów bez ich bezpośrednej zamiany, jest pieniądzem, że więc na tę nazwę zasługują weksle, czeki, przekazy i t. d., wystawione przez ludzi prywatnych, i że mają tę samą wartość, co i typowe, przez państwo wydane pieniądze.

Bardzo wiele pomieszania pojęć na punkcie pieniędzy zawdzięcza się niedokładnym i błędnym pojęciom odnośnie do natury i źródła wartości. Skoro bowiem pieniądz jest miarą wartości i przedstawicielem bogactwa, nie można mieć o nim dobrego zrozumienia przed dokładnem zrozumieniem teoryi wartości oraz istoty bogactwa. Poprzednio widzieliśmy, że, według George'a, wszyscy oficyalni ekonomiści nie mają jasnych i właściwych pojęć zarówno o wartości, jaki o bogactwie, a wskutek tego i teorya pieniędzy musi być u nich niejasna i zagmatwana.

Autor sądzi, że, skoro doszedł do rzetelnych pojęć na punkcie wartości i bogactwa, przeto może dać też prawdziwą i rzetelną teoryę pieniędzy.

Niezgodność opinii opiera się głównie na tem, że niema między ekonomistami porozumienia co do tego, co należy uważać i traktować jako pieniądz. A skoro tak, to zobaczmy, jakie na tym punkcie panują przekonania u ogółu ludzi, poczem może zdołamy do jakiegoś jasno sformułowanego dojść twierdzenia.

Gdym się zgodził zapłacić komuś za oddaną mi przysługę pieniędzmi, a w zamian za to daję mu drzewo, cegły lub bryłkę złota, to wprawdzie może on wziąć te rzeczy zamiast umówionych pieniędzy, ale prawdopodobniej nie zgodzi się na taką tranzakcyę, twierdząc, że przyjąłby ofiarowane przedmioty w miejsce pieniędzy, gdyby mu w danej chwili były osobiście potrzebne, ponieważ zaś nie są mu potrzebne, więc miałby jeno kłopot z wyszukaniem tych, którzyby ich potrzebować mogli, i wskutek tego przekłada pieniądze.

Szczególniejsza cecha pieniędzy tkwi w łatwości, z jaką przechodzą z ręki do ręki przy znoszeniu zobowiązań lub przenoszeniu tytułu własności. Istotna wartość nie odgrywa tu żadnej roli, a jedynie tylko funkcya, którą pieniądz spełnia przy zamianie. To nawet dziecko zrozumieć potrafi.

Szczególniejszem zadaniem pieniędzy jest nabywanie towarów; przy tym procesie wartość pieniędzy nie wchodzi wcale w grę, bo cóż ona może obchodzić nas tak długo, jak długo dany przedmiot ograniczony jest do nabywania innych przedmiotów.

Na upartego moglibyśmy nawet cukierków używać do nabywania innych towarów, ale rola ich, jako pieniędzy, skończyłaby się z chwilą ich zjedzenia. Ale zupełnie to samo stałoby się z pieniądzem papierowym, użytym do zapalenia papierosa, lub ze złotą monetą, użytą do zaplombowania zęba albo do ozdoby.

Krótko mówiąc, zadaniem pieniędzy bez względu na materyał, z którego są zrobione, jest nie zaspakajać pragnienia wprost, lecz pośrednio przez wymianę na towary. Nie jemy pieniędzy, nie pijemy ich, nie nosimy, jako ubrania. Przesuwamy je z ręki do ręki, to znaczy kupujemy za nie inne towary. Pieniądze cenimy nie dla nich samych, lecz dla tego, co za nie otrzymać możemy. A jeżeli gromadzimy pieniądze, to dlatego, aby mieć miłe uczucie, że każdej chwili jesteśmy w stanie nabyć za nie, cokolwiek nam się żywnie podoba.

Funkcya, do której spełnienia potrzebujemy pieniędzy, nazywa się kupnem i sprzedażą: strona, dająca pieniądze za towary, nazywa się nabywcą, a strona, oddająca towary za pieniądze, nazywa się sprzedawcą lub kupcem.

W procesie tym traktujemy pieniądze tak, jak gdyby pieniądze były czemś ważniejszem od przedmiotów, stanowiących materyę tranzakcyi; wskutek tego nawet istnieje zwyczaj, że otrzymujący pieniądze wyraża swoje szczególniejsze zadowolenie słowami „dzię-

kuję". Zadowolenie to wypływa stąd, że ten, co otrzymał pieniądze, może o wiele łatwiej zaspokoić swoje różnorodne potrzeby od tego, który otrzymał towar; i dlatego przy zamianie każdy ubiega się raczej o pieniądz, niżeli o towar.

Dla wykazania roli, jaką odgrywają pieniądze w społeczeństwie ludzkiem, daje nam Henry George przykład, który przytoczymy jeno w zarysach, nie przeprowadzając go w szczegółach, bo je każdy zdoła sobie sam w duszy dośpiewać.

Przypuśćmy, że wybiera się w dłuższą drogę kilku ludzi i że każdy dla opędzenia kosztów podróży zaopatrzył się w pewne dające się wymienić przedmioty. Jeden wziął konia, drugi tytoń i herbatę, trzeci bryłki złota i srebra, a ostatni zapas gotówki. Każdy potrafi sobie przedstawić los tych trzech podróżników i zrozumieć, że ostatni odbył drogę najwygodniej i najłatwiej.

Z tego przykładu nie wynika wcale, że pieniądze są najcenniejszymi przedmiotami; bynajmniej, z tego wynika tylko, że ze wszystkich przedmiotów, służących do wymiany, najpodatniejsze w tym kierunku są pieniądze.

Ostatnie to twierdzenie musi być atoli wygłoszone z pewnem zastrzeżeniem, wiadomo bowiem, że pieniądze jednego kraju stają się prostym towarem w drugim kraju, towarem, który jest tak samo trudno wymiennym, jak wszystkie inne.

Pytanie więc zachodzi, czy pieniądz jest jedynie przedmiotem postanowień rządowych, i czy rząd może rozstrzygać, jaki pieniądz ma być używany i jaką wartość ma posiadać?

Na to pytanie Henry George daje odpowiedź przeczącą, twierdząc, że rząd może wprawdzie wywierać wpływ na pieniądze tak samo, jak może wywierać wpływ na język państwowy, to znaczy, że może oznaczyć rodzaj pieniędzy, jaki urzędnicy wyłącznie przyjmować będą, tak, jak może oznaczyć, w jakim języku mają być pisane wszystkie dokumenty urzędowe, ale na tem rzecz się kończy; rząd nie jest w stanie wywrzeć stanowczego wpływu na jakość środka zamiennego, zależnego od wspólnej ugody obywateli, tak, jak nie może wpłynąć stanowczo na język, jakim matki do swych dzieci przemawiają.

Czyż więc może mamy powiedzieć przeciwnie, że o materyale na pieniądz rozstrzyga nie rządowe *fiat* lecz wartość istotna, że więc na monetę nadają się wyłącznie metale szlachetne, jak złoto i srebro?

Nie, stanowczo nie, boć i metalowe pieniądze posiadają pełną wartość zamienną w jednym kraju, a nie posiadają jej w drugim.

Jak nie egzystuje do tej pory uniwersalny język, tak też i nie egzystują uniwersalne pieniądze.

Co się tyczy twierdzenia, że o wartości danego materyału na pieniądz stanowi jego wartość istotna, to przeczą temu oczywiście wszystkie pieniądze papierowe, dla celów praktycznych tak samo dobre, jak metalowe.

Henry George podaje przykłady z historyi Stanów Zjednoczonych, dowodzące czarno na białem, że najróżnorodniejsze, czasami całkiem bezwartościowe przedmioty spełniały w danej chwili z wielkiem powodzeniem zadanie pieniędzy.

Czyż więc wobec tego mamy się zgodzić na zdanie tych, którzy twierdzą, że pieniądzem jest wszystko, co można użyć przy wymianie, a co wyklucza handel zamienny?

Także nie, bo w takim razie nastąpiłoby pomieszanie pojęć pomiędzy tranzakcyami, załatwianemi za gotówkę, a tranzakcyami, załatwianemi na kredyt. Gdy zamiast dawać pieniądze, wystawiam czek lub weksel, to także unikam handlu zamiennego, a jednak nikt nie zechce utrzymywać, że w tym wypadku pieniądz odegrał jakąkolwiek rolę; zaufanie i kredyt spełniają w dzisiejszem życiu ekonomicznem kolosalne zadanie, równie ważne, a może jeszcze ważniejsze od pieniędzy.

W popularnem więc pojęciu do pieniędzy przywiązana jest własność zupełnego zakończenia wszelkiej tranzakcyi handlowej, czego o kredycie powiedzieć nie można.

Czemże więc jest pieniądz?

Najwyraźniej główna własność pieniędzy tkwi nie w formie lub substancyi, lecz w użytku.

Zadaniem pieniędzy jest nie ulegać konsumcyi, lecz służyć ustawicznie, jako środek zamienny, umożliwiający przechodzenie bogactw z ręki do ręki. Z tego określenia widzimy, że pieniądz, posiadając jedynie i wyłącznie charakter reprezentacyjny, sam w sobie wcale bogactwem nie jest.

To też pieniądz przyjmuje się przy zamianie nie, jako przedmiot wartościowy sam w sobie, lecz tylko, jako dopełnienie i zamknięcie procesu wymiany.

Przyjmując pieniądz, pytamy jedynie i wyłącznie o to, czy będziemy mogli użyć go dalej w tym samym celu; jeżeli tak, to go przyjmujemy, jeżeli zaś mamy jakąś wątpliwość, to albo nie przyj-

I wszystko mu się miesza w jakiś chaos dziki —
I w mózgu mu wirują splątanymi szyki —
Wszystkie cierpienia duszne, własne i niewłasne —
I zda się, że na boleść piersi są zbyt ciasne —
I zda się, że na jęki pierś zbyt niedołężna —
I zda się, że ta zmora jest taka potężna,
Że się do szpiku kości twa istota lęka,
Że łono ci rozsadza, że czaszka ci pęka!
I zda się, że twa dusza już na wskroś jest chora —
I że nigdy cię — nigdy nie rzuci ta zmora,
Której mózg nie wymyśli — usta nie powiedzą!
Choć świdruje ci serce z taką samowiedzą,
Z tak piekielną jasnością, z takim szałem dzikim,
Żeś niezdolny jej ludzkim wyrazić językiem.
A jak przedtem powieka całe ciało twoje —
Okrywała — jak w całun — w czarne swe zawoje;
Tak teraz się rozszerza nagłą tajemnicą
Twój wzrok — jakbyś się naraz cały stał źrenicą —
I widzisz — niby wielkie — bezgraniczne stepy —
Nieskończoność — i razem jesteś, jako ślepy.

III. Kłamstwa.

Kłamstwem jest obojętność, kłamstwem jest przeczenie,
Kłamstwem jest ów śmiech gorzki, co drwi sam ze siebie;
Kłamstwem nicość, co pożreć ma bytu przestrzenie,
Kłamstwem śmierć, co pod ziemią prochy ludzkie grzebie.

A jednakże jam kłamał, kłamał obojętność;
Kłamałem śmierć i nicość — i szyderczym śmiechem —
Przeczyłem tym, co znali światła umiejętność —
I dzisiaj oko w oko stoję z moim grzechem.

Wobec nierozwikłanych zagadnień człowieka,
Kiedy duch ręce łamie, strwożony niemocą:
Zda się, że go tajemnic ma pochłonąć rzeka,
I wichrem—chaotyczne myśli w nim łomocą.

mujemy pieniędzy wcale, albo też z dyskontem proporcyonalnym do stopnia naszej wątpliwości.

Pieniądz więc ustanawia powszechna zgoda przyjmowania czegokolwiekbądź, jako środka zamiennego; pieniądz zatem jest tem, co w danem miejscu i w danym czasie uważane jest za środek zamienny.

Jak niema uniwersalnego języka, tak niema uniwersalnych pieniędzy, które są, że tak powiemy, mową wartości.

Powiedzieliśmy, że pieniądz służy, jako pośrednik, przy wymianie. Tak jest niewątpliwie — to jest najważniejsza funkcya pieniędzy; ale istnieje jeszcze i druga, niesłychanie ważna, jakkolwiek jest natury pochodnej — pieniądz jest też miarą wartości.

Ponieważ pieniądz jest pośrednikiem przy wymianie, przeto też, rzecz jasna, przechodzi ogromnie często z ręki do ręki i ustawicznie zmienia właściciela. Gdy celem jego nie jest konsumcya, przeto robi się go zwykle z materyału trwałego, niełatwo podlegającego zniszczeniu. Pieniądz, często z ręki do ręki przechodząc i wartości swej nie zmieniając, staje się powszechnie lepiej znany od innych przedmiotów przy wymianie używanych; to samo oczywiście można powiedzieć i o jego wartości.

Tu nasuwa się atoli pytanie, które trzeba stanowczo rozstrzygnąć. Jeżeli źródłem i podstawą wszelkiej wartości jest praca, to dlaczegobyśmy nie mogli w pracy znaleźć nie tylko wspólną, lecz także ścisłą i ostateczną miarę wartości?

Fakt ten zastanawiał już i Adama Smitha, który pisał: „Bo chociaż praca jest realną miarą zamiennej wartości wszystkich towarów, to jednak nie ocenia się powszechnie drugich za pomocą pierwszej".

Mimo całej swojej bystrości atoli Adam Smith wyjaśnienia tego faktu wcale nam nie dał; skonstatował jeno rzecz samą, jako rzucającą się w oczy zbyt wyraźnie, aby jej nie widzieć, i na tem koniec.

W świetle atoli wszystkiego tego, co Henry George poprzednio powiedział, rzecz da się zupełnie dobrze wytłómaczyć. Powód, dla którego rzetelna miara wartości nie może być jej miarą wspólną, leży w naturze i konstytucyi ludzkiej. Uczucie poniesionego trudu i wysiłku, uczucie znużenia i wyczerpania, jest percepcyą ściśle osobistą, wewnętrzną, o której możemy dać na zewnątrz pojęcie wyłącznie za pomocą akcyi, czynu.

Widzieliśmy, że praca w znaczeniu wysiłku jest prawdziwą, ostateczną i uniwersalną miarą wartości; cokolwiek dany przedmiot przyniesie w zamianie, to zawsze opiera się na ocenie wysiłku i trudu, towarzyszącego pracy, której posiadanie owego przedmiotu oszczędzi.

Oceny takie przeprowadzamy nieustannie w umyśle, gdyż pamięć, zapisująca doświadczenia osobnicze, pozwala porównywać wysiłek, jakiego trzeba było do zrobienia lub osiągnięcia jednego przedmiotu, z wysiłkiem, potrzebnym do zrobienia lub osiągniącia jakiegoś innego przedmiotu.

Ale chociaż każdy może dokonać takiej oceny dla samego siebie, nie może dać o niej nikomu innemu pojęcia wprost, gdyż uczucie znużenia i wstrętu, stanowiące właśnie miarę wysiłku, może być w normalnych warunkach przekazane tylko za pomocą zmysłów.

Aby więc ostatecznie znaleźć wspólny miernik wartości, musimy koniecznie obrać jakiś wynik wysiłku tak, jak, chcąc mierzyć światło, ciepło lub elektryczność, jesteśmy zmuszeni przyjąć za miernik jakiś dotykalny objaw tych różnych form energii.

Nawet tam, gdzie wysiłek jest wyrażony w czasie, praktyczny rezultat owego wysiłku rozumie się sam przez się. Faktycznie wszelka miara na czas redukuje się ostatecznie do rezultatu, w ciągu danego czasu osiągniętego.

Skłonność do uważania namacalnych rezultatów za miarę wysiłku objawia się nawet w ocenie pracy literackiej, płatnej od wiersza, szpalty lub arkusza. Lepsza praca zostaje chętniej przyjęta i drożej zapłacona—to prawda, ale ostatecznie zostaje zapłacona od wiersza lub arkusza, czyli od czasu, jakiego było potrzeba do jej napisania.

Ostatecznie więc widzimy, że miarą wysiłku i wartości jest rezultat praktyczny, i dlatego też zawsze produkty bywały za taką miarę uważane. Ponieważ zaś możemy w tym celu użyć jakiegokolwiek produktu, czyli towaru, używamy tego, który, ulegając najczęstszej wymianie, najlepiej znamy, którego wartość możemy najłatwiej i najściślej oznaczyć. Z tego to powodu zwykle wspólny miernik wymienny jest też wspólnym miernikiem wartości, a tym we wszystkich krajach cywilizowanych jest pieniądz.

Pamiętać atoli należy, że pierwotną funkcyą pieniędzy jest służyć, jako środek wymiany, a dopiero drugą stanowi miara wartości.

Dwa te zastosowania pieniędzy nie zawsze ze sobą ściśle korespondują.

Mimo wszystko, co się powyżej powiedziało, praca (w znaczeniu wysiłku) jest rzetelną miarą zamiennej wartości wszystkicb produktów, jedyną zarówną uniwersalną, jak i dokładną miarą wartości, jedynym miernikiem, przy którego pomocy możemy porównywać wartości wszystkich towarów we wszystkich czasach i we wszystkich krajach. Mimo wszystko prawdą jest, że istotną ceną każdego przedmiotu jest trud i kłopot zyskania go. Prawdziwą wartość dla człowieka, który posiadał jakiś przedmiot i który chce się go pozbyć lub wymienić na inny, jest ten trud i kłopot, jakich dany przedmiot oszczędzi posiadaczowi, lub jakie on może nałożyć na innych.

Gdy więc praca jest miernikiem wartości, wymiana towarów między różnymi krajami nie może stanowić żadnej istotnej trudności. Również wskutek tego samego powodu przejście wewnątrz danego kraju od jednej do drugiej miary wartości nie sprawiałoby żadnego zamieszania, gyby nie wpływ na kredyt, czyli zobowiązania, o których słów kilka powiedzieć nam wypada.

Ze wszystkiego, co się wyżej powiedziało, wcale nie wynika, aby nawet w dzisiejszym stanie kultury pieniądz był absolutnie potrzebnym pośrednikiem przy wymianie. Nawet dzisiaj podróżny znalazłby bez trudu kraje, w których łatwiejby mu było prowadzić wymianę przy pomocy odpowiednio złożonego zapasu towarów, niżeli przy pomocy pieniędzy. Nasza własna cywilizacya w epoce, poprzedzającej rozwój przemysłowy, charakteryzujący dziewiętnasty wiek, musiała uprawiać w znacznym stopniu handel zamienny bez pomocy pieniędzy, jak o tem świadczą kupcy, wysyłający swoje okręty z towarami, i jarmarki, na których wymieniano różne produkty i usługi.

Rozwój życia społecznego pociąga za sobą wyrugowanie z użycia prostszych metod i zastąpienie ich bardziej skomplikowanemi. I tak, dzisiaj już nie moglibyśmy żyć bez telegrafów, telefonów, zapałek, broni myśliwskiej, jakkolwiek przodkowie nasi w czasach niezbyt odległych doskonale bez tego wszystkiego się obywali.

To samo odnosi się do pieniędzy, bez których dzisiaj żyćbyśmy nie umieli, zapominając, że przodkowie nasi rozwijali się przemysłowo i społecznie bez pieniędzy. Używając co dzień pieniędzy, zapominamy o tych wszystkich współczesnych tranzakcyach, co do-

skonale obywają się bez pieniędzy, które zeszły tylko do prostego miernika wartości.

Dzisiaj nie tylko pojedyńcze państwa dokonywują wymiany bez pomocy pieniędzy, ale nawet lokalnie nowa ta metoda z powodzeniem jest używana. Bogatsi ludzie mogą przy pomocy czeków obywać się zupełnie bez gotówki i to nie tylko w małych, ale i w ogromnych zbiornikach ludzkich.

To coraz częstsze obywanie się bez pieniędzy w różnych tranzakcyach handlowych na wielką skalę nie jest niczem innem, jak powrotem do pierwotnych metod, używanych przy wymianie przez pierwotną ludzkość. Te pierwotne metody opierały się na zaufaniu czyli kredycie, który obecnie z dniem każdym coraz poważniejszą zaczyna odgrywać rolę. Człowiek, który nie miał pieniędzy, a te są wytworem bardzo późnym, nie mógł oczywiście dokonywać wymiany usług i produktów swej pracy bez zaufania i kredytu, który musiał poprzedzić wszelki handel zamienny. Z rozwojem kultury formy kredytu, w jaki ubierało się zaufanie człowieka do człowieka, zmieniały się, stawały się bardziej zawiłe i bardziej skomplikowane, ale proste i pierwotne metody można spotykać dziś jeszcze w tych kątkach ziemi naszej, do których współczesna cywilizacya jeszcze nie doszła.

Adam Smith znacznie przeceniał trudności wymiany bez pieniędzy, ilustrując ją naciąganymi przykładami. Henry George, przeciwnie, trudności tych nie widzi, znajdując, że rola pieniędzy nie jest tak ważną, jakby się to na pozór zdawać mogło.

Zaufanie i kredyt pojawiły się na powierzchni ziemi jednocześnie z rodzajem ludzkim, który przyniósł z sobą na świat uczucie prawdy, miłości, sympatyi. Bez tych uczuć ród ludzki nie mógłby się ostać w walce ze światem zwierzęcym, na tych uczuciach opiera się wzajemne zaufanie i kredyt, ta dźwignia handlu zamiennego.

Zaufanie czyli kredyt są nie tylko wcześniejsze od pieniędzy, ale i o wiele ważniejsze. Z rozwojem kultury kredyt zaczyna zastępować pieniądz, którego rola ogranicza się do miernika wartości. Środkiem wymiany staje się papier bez realnej wartości, ale oparty na wzajemnem zaufaniu i kredycie.

Księga, traktująca o pieniądzach, kończy się dwoma naszkicowanymi zaledwie roździałami o genezie pieniędzy, jakoteż o dwu rodzajach pieniędzy, prawdziwym i fikcyjnym.

Ponieważ roździały te nie są należycie opracowane, a przytem przeważnie powtarzają to, co było powiedziane w poprzednich roździałach i co się samo przez się rozumie, przeto, aby nie prze-

dłużać referatu niepotrzebnie, kończymy streszczenie pośmiertnego dzieła Henryka George'a zastrzeżeniem, że pobudką do pracy było przeświadczenie, iż powinniśmy bezwarunkowo znać wszystkie kierunki, panujące w ekonomii politycznej, bez względu na to, czy godzimy się na nie, czy też nie.

Henry George odegrał bardzo wybitną rolę we wszystkich krajach, po angielsku mówiących, jako to: Stany Zjednoczone, Kanada, Wielka Brytania, Australia. Hasła, przez Henryka George'a rzucone, znalazły sympatyczny oddźwięk w umysłach i sercach szerokich mas, czujących na własnej skórze braki i wady dzisiejszego ustroju gospodarczego całej ludzkości. Pod sztandarem, który Henry George rozwinął, potworzyły się kluby naukowe i polityczne, wytworzyło się odrębne stronnictwo (*single-tax party*), które zyskuje sobie coraz większy zastęp zwolenników. Znać najnowsze prądy światowe jest naszym niezaprzeczonym obowiązkiem: to racya niniejszego referatu.

Wojciech Szukiewicz.



RUCH ARTYSTYCZNY.

II.

Nieco o impresyonizmie. — Kamil Corot.—Jego studya. — Jego maniera. — Symfonia barw. — Malarze krajobrazów. — Portrety natury. — Łamigłówki kolorystyczne. — Wybryki impresyonistyczne. — Przewrót w technice malarskiej. — Reakcya.

Impresyonizm! Impresyonizm!... Jakże nazwa ta brzmi u nas dziwacznie, a i pojęcie tego wyrazu jakże dla publiczności, przypatrującej się obrazom, słuchającej oper, czytającej powiastki i poemaciki dzisiejsze, ma różne znaczenie!

Prawda to rzecz względna. Rzeczywistość istnieje w pełni o tyle tylko, o ile jednostka uświadamia ją sobie w umyśle. Piękno ukazuje się we wszechświecie dopiero wraz z istotą moralną, i to jako jej właściwość. Prawdy poznać, a tem bardziej odtworzyć nie możemy — należy zatem odtwarzać za pomocą sztuki nie przedmioty same, ale w r a ż e n i e, jakie te przedmioty spowodowały w naszych zmysłach. Niema rzeczywistości — jest tylko poczucie rzeczywistości! Niema piękna — jest tylko poczucie piękna! Precz z rzeczą samą w sobie — precz z realizmem w sztuce! Nie o drzewo, nie o kamień, nie o wodę, nie o człowieka w obrazie chodzi, ale o wrażenie, jakiego artysta na widok tego człowieka, tej wody, tego kamienia, tego drzewa w danej chwili i w danych warunkach do-

znał. Bryły i kształty trwałe nie są godne uwiecznienia na płótnie. Malarz, szanujący swoją indywidualność i swoją rękę, będzie odtąd utrwalał w sztuce wrażenia ulotne swej duszy i objawy przelotne wszechistnienia. Jeszcze krok—a pojęcia znikną zupełnie: malarstwo stanie się muzyką barw, muzyka — plastyką dźwięków, a literatura—współzawodniczką jedynie malarstwa i dźwięków, ba! rzeźba nawet sfrunie z podnóża pomnika i na swoich ciężkich skrzydłach podąży w krainę ruchu, *impresyi* chwilowej, bezpośredniości wrażenia.

Dla wielu ludzi *impresyonizm* to szkarada formy, jaskrawość koloru, dziwactwo pomysłu, ubóstwo kompozycyi w malarstwie; to strzępia melodyi, rozdźwięczność harmonii i krzykliwość instrumentacyi w muzyce; to kojarzenie słów na podstawie pokrewieństwa ich brzmienia, brak znaków pisarskich i nadmiar myślników w literaturze; to chaotyczność płaszczyzn w rzeźbie. Słowem, objaw zboczenia umysłowego w sztuce, przekleństwo. *Impresyonista* dzisiejszy to neurastenik i nieuk.

Dla innych *impresyonizm* to ostatnie słowo sztuki, materya uduchowiona, duch, wcielony w farby, dźwięki, słowa czy kształty, absolut, ujęty w formę zmysłową, Błogosławieństwo Boże. *Impresyonista* to nad-człowiek.

I wistocie. „Sztuka to człowiek. W utworach sztuki przejawia się i utrwala wszystko, co pod formą najmniej znikomą stanowi właściwość człowieka, a więc myśl, życie duchowe, wiedza, uczucie społeczne, cywilizacya, działalność”. „Lecz z drugiej strony sztuka jest pewnego rodzaju równoważnikiem rzeczywistości, którą jednostka usiłuje odtworzyć i pokazać. To też niepodobna określić i przeniknąć jej natury zupełnie, dopóki się nie zaprzeczy tej rozłące podrobionej, która ma jakoby, według mniemania ogólnego, istnieć najpierw między sztuką a życiem ludzkiem, następnie zaś między życiem ludzkiem a życiem powszechnem. Jeżeli zatem, z jednej strony, sztuka jest człowiekiem samym, to z drugiej, znów należy przypuścić, iż dzieło ludzkie zawiera w sobie coś, co wybiega ponad człowieka i zarazem istnieje bezwzględnie poza człowiekiem. Na tej drodze również będziemy musieli przyznać i sztuce znaczenie metafizyczne, racyę bytu we wszechświecie — i pięknu, nieróżniącemu się, w pojęciu najwyższem tego wyrazu, od boskości, rzeczywistość przedmiotową, niezależną, której zawartości poczucie nasze nie jest zdolne wyczerpać”. Tyle Jan Pérès w swojem studyum: „Sztuka i Rzeczywistość” (*L'art et le Réel*).

Lecz jakże *impresyonistom* dzisiejszym, utrwalającym na płótnie przelotne efekty świetlne, daleko do tego absolutu piękna, łączącego sztukę z rzeczywistością, utrwalającego najmniej znikome właściwości życia ludzkiego! Przedewszystkiem poza kilku mistrzami szczerymi, którzy po większej części zeszli już do grobu, niema dziś symfonisty barw, a są tylko koloryści przesadni, dziwacy z wyrozumowania, na zimno!

Impresyonizm zrodził się we Francyi — prawie równocześnie z romantyzmem — tam się rozplenił i tam wydał owoce, a raczej owoc cierpki sztuki materyalnej, dzisiejszego kolorytu, przyrządzonego nie w otoczeniu natury, lecz w pracowni — z trzech barw zasadniczych: żółtej, czerwonej i niebieskiej. Ojcem „impresyonizmu" i sposobu malowania w pełni światła (*plain air*) był Kamil Corot (ur. 1796 † 1875), chluba Francyi, jeden z czterech mistrzów krajobrazów (Corot, Teodor Rousseau, Troyon i Millet), poeta zmierzchu wieczornego, brzasku porannego, nimf,kąpiących się w mgle, atmosfery przejrzystej, migoczącej srebrnym blaskiem pary. Wyszedł z klasycyzmu, który, jeżeli tolerował krajobrazy, to tylko włoskie, pełne ruin starożytnych, postaci historycznych, bóstw mitologicznych. W oczach pedagogów, wychowanych na estetyce Winckelmann'a i Rafała Mengs'a, a przejętych powagą Ludwika David'a, poza malarstwem historycznem nie było sztuki. Zaledwie Poussin cieszył się niejakimi względami. Klaudyusz Lorrain był „zanadto oddany rodzajowi"; Hobbema jakby nie istniał wcale, a o Ruysdael'u, mistrzu niezrównanym krajobrazu holenderskiego, pisano, iż „pracował dla ludzi, odrętwiałych umysłem i duszą. Ideał był mu całkiem obcy". Krajobraz, jeżeli nie ma być „zimnym portretem przyrody błahej i nieożywionej", powinien przemawiać do duszy „akcyą uczuciową". Valenciennes „ustanowił, iż czterem porom dnia odpowiada wybór przedmiotów właściwych" i przytoczył z podręczników wszelkie odmiany bogów, pół-bogów, nimf, dryad, hamadryad, najad, limniad, potamid, oceanid, oread, satyrów, sylenów, mogących „upiększyć krajobraz". I Corot też należał początkowo do szkoły Valenciennes'a, wprawiał rękę na antykach, kształcił umysł „na poetach, opisujących i opiewających naturę", jeździł do Włoch. Lecz ukradkiem studyował krajobraz *sub Jove crudo* i czytał Jana Jakóba Rousseau. Bo dziwna rzecz. „Odkrycie natury", tyle sławione, jako jedna z największych zdobyczy w. XVIII, najpóźniej dało się uczuć w dziedzinie malarstwa. Kiedy Jan Jakób Rousseau zachwycał się „złotem janowców, purpurą krzewów, powagą drzew, rozmaitością nadzwyczajną traw i kwiatów", a Bernardin de

Saint-Pierre, zdziwiony ubóstwem obrazowem języka, domagał się „nazw i zwrotów nowych dla nowej sztuki, oddawania natury", malarze współcześni studyowali odlewy gipsowe figur starożytnych, uprawiali kult linii dokładnej i komponowali „z głowy" krajobrazy historyczne. Dopiero Corot otworzył oczy współczesnych na naturę i, choć sam wahał się długo w wyborze stanowczym drogi, bo zaledwie w pięćdziesiątym roku życia otrząsnął się z wpływów szkoły, pierwszy w XIX wieku wprowadził krajobraz do świątyni sztuki i pierwszy zaczął utrwalać na płótnie wrażenie bezpośrednie — *impresyę* przedmiotu i rzeczy. Stąd pochop nowej formy sztuki.

Lecz Corot miał poczucie rzeczywistości, poczucie piękna, poczucie harmonii. Był w równym stopniu malarzem, poetą, muzykiem. Swiat zewnętrzny istniał dla niego w bryłach i kształtach, rysował się w przestworzu powietrznem i modelował się w świetle słonecznem, a oko malarza, chwytające w lot znamiona wytworne, wdzięk wewnętrzny, słodycz jego wyrazu, dodawało mu czaru, opromieniało go poezyą, wydostawało zeń czy też wprowadzało doń cechy boskości — twory świata nadzmysłowego. Poczucie żywe a subtelne wartości względnej tonów dopełniało reszty: obraz malowniczy stawał się symfonią muzyczną. Tony i półtony, zestawiane harmonijnie, wypływające łagodnie jedne z drugich, dopełniające się wzajem, przełamywane subtelnie zielenią jasną i błękitem fijołkowym, przesiane srebrem wilgoci atmosferycznej, zaczęły w przestworzu powietrza śpiewać na cześć światła hymn piękny, jasny, łagodny, pogodny w nastroju. Corot pierwszy poważył się zbudować obraz nie na liniach, lecz na stosunku wzajemnym barw. Nie należy jednak sądzić, iż przyszło mu to do głowy samo, jako objawienie natury czy sztuki. Jego *impresyonizm* w obrazach to owoc trzydziestoletniej pracy, to wynik jego estetyki swoistej. „Artysta w życiu — powiada on — musi być sumiennym, pewnym siebie i wytrwałym, a nadto posiadać znajomość dwóch rzeczy: rysunku i wartości względnej (*valeur*) tonów". Corot był rysownikiem z wprawy, z nauki, ze szkoły, a kolorystą z Bożej łaski. Niepodobna wyrazić słowami uczucia, jakiego się doznaje na widok jego obrazów. Jakaś współdźwięczność dwu tonów zespolonych w jeden akord, jakieś przeciwieństwo dwu barw dopełniających, jakaś dzwonnica ceglasto-różowa, objęta dokoła lazurem płynnym nieba, które mienią się gdzieniegdzie przeblaskami zieleni, napełniają oko taką rozkoszą nieuchwytną, jak gdyby się obcowało ze zjawiskami świata nadzmysłowego. A jednak jest to malarstwo w właściwem tego słowa znaczeniu. Metafizyka nie ma z tem nic do czynienia. Lecz, aby

ocenić należycie jakiś twór malarski, trzeba, jak mawiał Delacroix, „mieć oko”, tak samo, jak przy ocenianiu tworów muzycznych, trzeba „mieć ucho”. Corot był przedewszystkiem malarzem, który z daru Opatrzności miał „oko niesłychanie czułe i trafne”, a studya dokładne dały mu pewność ręki i możność uogólniania efektów świetlnych. Poczucie subtelne powietrza, życia, atmosfery naprowadziło go na myśl utrwalenia w obrazach stosunku przedmiotów do otoczenia. Chodziło mu już nie o przedmioty same, nie o ich budowę wewnętrzną i fizyonomię swoistą, nie o człowieka, nimfę, las, jezioro, kościół, dom, lecz o wartość względną tonu tych przedmiotów w harmonii z barwnością charakterystyczną atmosfery, która przesłania wszystko kolorytem ogólnym, uwarunkowanym cechą jakiegoś danego tonu zasadniczego, jakiegoś danego efektu świetlnego. Z wyjątkiem może Leonarda da Vinci niema chyba malarza, któryby tak pilnie, tak ściśle, tak drobiazgowo, jak on, studyował szczegóły natury. W szkicach jego i notatkach znajduje się wszystko, co malarz dokoła siebie zauważyć może, a więc: ziemia, woda, drzewa, konary, gałęzie, liście, kształty brył, linie ruchów, plany perspektywy powietrznej, stosunek cienia do światła, wreszcie efekty zmienne wschodu i zachodu słońca, które stenografował znakami, przez siebiewynalezionymi, i liczbami, oznaczającemi stopień natężenia światła czy barwy. Malował zawsze z notat, co, jak mawiał, pozwalało mu „schodzić na grunt”. Obserwacya dokładna objawów przelotnych światła, zależnych od tchnienia wiatru, od ilości pary wodnej w powietrzu, od kąta załamania promieni słonecznych, doprowadziła go do tak zwanego „impresyonizmu”. Lecz mógł sobie pozwolić na syntezę wrażeń w obrazie, ponieważ gromadził wszystkie szczegóły analizy w notatach.

Jest to wielki malarz światła, czuły poeta natury, pogodny symfonista barw, ale malarz, poeta, symfonista jednostronny. Każdemu, kto chce sobie uprzytomnić w wyobraźni obrazy Corot'a, przychodzą na myśl „mgły srebrzyste” — błękit nieba, zieleń drzew, opary wód, odzież i ciała nagie figur, przesiane drobniutkimi punkcikami światła — „placek, obsypany białym maczkiem”, jak mówił złośliwie Delacroix, twórca szkoły romantycznej w malarstwie. Tak czy owak jednak, jest to od czasów Klaudyusza Lorrain'a (1600 † 1682) pierwszy malarz francuski, który potrafił świetlność przejrzystą i płynną tła przeciwstawić miąższości przedmiotów, znajdujących się na bliższym planie obrazu.

W całej jego manierze typowej, od pierwszego arcydzieła — „Dyany w kąpieli”, do ostatniego — takiego lub owego krajobrazu,

przeważa jeden i ten sam motyw. Między dwiema masami zieleni lub między dwiema skałami, opartemi z obu stron obrazu o ramy, znajduje się wielki przestwór nieba i wody z widnokręgiem, mknącym wdal; pora dnia jest nieokreślona, brzask lub zmierzch, kiedy to bryły rysują się sylwetkami w powietrzu wilgotnem, linie drżą w konturach, barwy mienią się przebłyskami złota, srebra, zieleni, fijoletu, nieboskłon lśni się światłem, jeszcze jasnem, ale poważnem, uroczystem, skupionem. Figury, wprowadzone do obrazu, to tylko ozdoby przygodne — arabeski linii lub tony draperyi wiotkich, powiewnych, umiejętnie modelowanych, urozmaicających tę dekoracyę rozkoszną, tę symfonię światła, która obejmuje wszystko swoją powagą, spokojem, czarem, słodyczą. Tylko u góry czuć jakby upojenie lekkie, jakby liryzm promieni słonecznych, wschodzących lub zachodzących z westchnieniem. Niezależnie od treści, od przedmiotu obrazu, aktorami istotnymi są nie figury pojedyńcze, lecz chór melodyjny barw, harmonia powietrzna, w której się objawia i ześrodkowuje „akcya uczuciowa krajobrazu". Każdy utwór Corot'a to większa lub mniejsza „symfonia pastoralna". Wszystko tu wiąże się z jednym motywem — światłem, dokoła którego lub w którem przybory obrazu żyją, drgają, tańczą, skaczą, śmieją się, radują i śpiewają pieśń wesołą na nutę melodyi sielskiej. Ale bo też Corot przepadał za muzyką; malując, miał wciąż piosnkę na ustach. W końcu improwizował obrazy, malował na obstalunek, powtarzał się w efektach, zacieśniał jeszcze bardziej zakres swej maniery. Niemniej jednak nie z n i e p r a w i ł sztuki; przeciwnie: zbogacił ją językiem malowniczym, „dreszczem nowym wrażenia" (*impresyi*), któremu jednak nie poddawał się niewolniczo aż do szału zmysłów, aż do paroksyzmu nerwów.

Sztuka jest powiernicą naszych uczuć, naszych smutków, pragnień i radości. To też powinniśmy być wdzięczni każdemu artyście, który tworzy dzieło, tchnące szczęściem, pogodą, harmonią, światłem. Corot to liryk szczery, którego oko zachodziło łzą rozrzewnienia na widok czarów natury, — i idealista, który dokoła siebie widział tylko piękne cechy życia. Świat dla niego był tworem miłości i rozkoszy, nie zaś gniewu i rozpaczy.

Inaczej impresyoniści dzisiejsi. Przedewszystkiem, od czasów Corot'a, Teodora Rousseau, Troyon'a, Millet'a, a poniekąd i Courbet'a malarstwo krajobrazów upadło. Teodor Rousseau (1812 † 1867) twierdził, że malarz ma wszędzie pod ręką wszystko co mu potrzeba: niebo, ziemię i widnokrąg, lecz „kompozycya znajduje się w nim, i on ją wprowadza do świata zewnętrznego". Bez

kompozycyi niema dzieła sztuki, a „kompozycya jest wtedy, gdy przedmioty, odtworzone na płótnie, zawierają pod powłoką naturalną echa wrażeń, wzbudzonych w naszych duszach.” „Obraz powinien najprzód być zrobiony w głowie. Nie rodzi się on bynajmniej na płótnie. Malarz uchyla kolejno zasłony, jakie go pokrywały”. Natury ani naśladować, ani kopiować nie można. Artysta przychodzi do niej z sercem, przepełnionem uczuciami i pragnieniami indywidualnemi, z okiem swoistem, chwytającem jej znamiona inaczej, z innej strony, pod innym kątem widzenia — i na płótnie interpretuje jej charakter po swojemu, transponuje jej motyw na swój ton. Stąd od epoki do epoki, od pokolenia do pokolenia, od człowieka do człowieka coraz to inne portrety natury. Lecz malarze dzisiejsi nie wnoszą nic z siebie do krajobrazu. „Każdy — słowa Andrzeja Michel: *Notes sur l'art moderne* — przykuca na ziemi, ustawia stalugi na skraju swego pola czy ogródka, kleci w głębi z kawałków świątyni i kolumn rozbitych pałacyk myśliwski lub fermę i pod pozorem dokumentu czy analizy uwiecznia na płótnie studyum z natury — urywek mniej lub więcej malowniczy, w którym nie czuć ani myśli przewodniej, ani woli artystycznej, ani wzruszenia. Jest w tem dużo zręczności, wirtuozowstwa, ale niema pomysłu uprzednio powziętego. Malarz trzyma się niejako wzoru fotograficznego, nie uczestniczy w dziele, traktuje obojętnie sztukę swoją.” A przytem to, co u mistrzów dawnych zwało się „spójnią kompozycyi” i „kondensacyą sił obrazu”, nie istnieje. Realiści bezduszni dają kopie martwe szczegółów natury, a impresyoniści puszczają ognie sztuczne na płótnach.

Teodor Rousseau studyował dane drzewo w danem otoczeniu, na danym gruncie — i następnie dawał jego portret, niby osoby, posiadającej swój charakter, swoją duszę. Impresyoniści w drzewie widzą tylko masę przenikliwą, o którą potrącają się promienie słońca. Bryła nie istnieje; płaszczyzny są tylko refleksami światła, a nawet refleksami refleksów. Aby lepiej uwidocznić ruchliwość plam barwnych i błyskotliwość atmosfery, malarze dzisiejsi rozłożyli ton na jego części składowe i zestawili elementy obocznie na płótnie. Taka mieszanina kolorów zasadniczych wywołuje złudzenie optyczne, wskutek którego powietrze w obrazie wydaje się przejrzystszem, a drganie światła żywszem i bielszem. Zblizka widać tylko grudki nierównomierne farb surowych, nie przygotowanych na palecie, wyciśniętych na płótno wprost z torebek, jak je fabrykant przyrządził. Zdaje się, że malarz nie używa pędzla. Kolory układają się same, a rysunek powstaje przygodnie z przecięcia

się smug zielonych lub czerwonych z płaszczyznami niebieskiemi lub żółtemi. Już Rembrandt mówił, że „malowidło czuć nieprzyjemnie zblizka", co znaczyło, iż na jego obrazy należy patrzyć z pewnego oddalenia. Obrazom impresyonistów dzisiejszych przypatrywać się niepodobna, co najwyżej, można raz rzucić okiem z odległości od dwudziestu do pięćdziesięciu kroków i... wydawszy okrzyk podziwu lub wzruszywszy ramionami, pójść do domu.

Przedewszystkiem malarze łudzą się, że mogą chwytać efekty świetlne w lot i odtwarzać wrażenie bezpośrednio, poza wszelką umową sztuki. Podobno Klaudyusz Monet, twórca dzisiejszej doktryny impresyonistycznej, rysownik niezdarny i malarz cudaczny, obchodził się całkiem bez pracowni, w której światło jednak jest ujednostajnione w barwie iześrodkowane w natężeniu. Inna rzecz notować efekty wprost z natury, a inna malować w pełni światła, kiedy nie tylko charakter obrazu, lecz i obraz sam przeinacza się co chwila w kolorze. Przy lada powiewie wiatru, napędzającym czy rozpędzającym już nie chmury, ale obłoki przejrzyste, wszystko się zmienia — i modelacya, i fizyognomia, i wyraz krajobrazu. To też Monet wykonywał kilka naraz obrazów i co chwila przeskakiwał od jednego płótna do drugiego. Akrobatyka to śmieszna i zbędna, gdyż artysta, obdarzony pamięcią wzroku, może dokonać dzieła z lepszym skutkiem pod dachem szklannym pracowni, przy oświetleniu mniej więcej stałem. Zresztą inna jest skala kolorów w naturze, a inna na palecie malarza. Że zaś niepodobna odtworzyć słońca prawdziwego na płótnie, więc też i stosunek tonów w obrazie nie odpowiada zgoła stosunkowi tonów w naturze. Jest to tylko transpozycya efektu rzeczywistego na inny ton w granicach możliwości technicznej, tak samo uwarunkowana środkami, jak transpozycya muzyczna z opery na samą orkiestrę lub z orkiestry na sam fortepian. Tu i tam oddaje się pewien tylko efekt, uwzględnia się pewną tylko cechę, a pomija się mnóstwo szczegółów świadomie, umyślnie, byle zachować jako tako stosunek cienia do światła. Impresyoniści dzisiejsi nie liczą się z środkami technicznemi malarstwa i, wychodząc z założenia fałszywego, z tonu przesadnie jaskrawego, urządzają na płótnie łamigłówki świetlne, sylogizmy kolorystyczne, w których przesłanki doprowadzają wprawdzie do wniosku logicznego, lecz niezgodnego z prawdą.

Wszystko w naturze dąży do równowagi i harmonii; tymczasem w obrazach impresyonistycznych wszystko dąży do wybryku wyobraźni i do efektu szczególnego, niezwykle, chorobliwie, boleśnie wydatnego. Czuć w tem nie zmysły obserwatorów, którzy widzą i uogólniają, lecz logikę maniaków, którzy, zamknąwszy oczy

na całokształt efektów w naturze, odtwarzają jakiś szczegół dziwaczny lub uzewnętrzniają wrażliwość czy drażliwość swoją na jakiś chwilowy rozdźwięk w harmonii wszechświata. Coś podobnego dzieje się też i w muzyce, zarówno skandynawskiej, opartej na tonacyi odrębnej i na dysonansach przygodnych, jak i nowo-włoskiej, uzmysławiającej bezpośredniość wrażeń za pomocą harmonizacyi jaskrawej i orkiestracyi krzykliwej.

Niemniej jednak impresyonizm ma swoją dobrą stronę. Zatracił wprawdzie w przedmiotach poczucie bryły, formy indywidualnej i wyrazu, lecz zdobył nową skalę światła, pokazał, jak ono rozpierzcha się w przeblaskach gorących po niebie głębokiem, jak zabarwia się odmiennie w różnych porach dnia, jak rozlewa się łagodnie po płaszczyznach gładkich, jak wichrzy się burzliwie w załamach przedmiotów chropowatych, jak iskrzy się na zwierciadłach metalicznych, jak maluje na wodach bieżących. Nie wpływa to na charakter i fizyognomię przedmiotów w obrazie, bo i obrazu samego zblizka nie widać; lecz dość jest odstąpić od płótna o owe dwadzieścia czy pięćdziesiąt kroków, aby w jakimś zakątku wystawy czy salonu zauważyć nagle wizyę światła, kawałek widnokręgu oddalonego, nad którym snop promieni słonecznych, odbity od płótna, drga, migoce, mieni się, śmieje, wiruje, rozpływa się wszerz, wybucha wzwyż, gra blaskami srebra żywego i złota płynnego, rozpryskującego się iskrami w powietrzu.

Jest to wynik naturalny przekształcenia się sztuki na podstawie nowych środków, jest to skutek owej pogoni za efektami światła. Zmysł wzroku wysubtylizował się, instrument stał się czulszym, wrażliwszym, doskonalszym, oko malarza, choć nie zajrzało głębiej w duszę człowieka czy w istotę przyrody, to jednak objęło szerszy widnokrąg świata, sztuka stała się bogatszą o jeden szczegół techniczny. W sposobie w y r a ż a n i a s i ę za pomocą barw nastąpił przewrót. Dawna modła przyciemniania obrazów ustąpiła miejsca nowej — rozświetlania tła. Chwila to w ewolucyi malarstwa wielce znamienna — i maluczko, a ukaże się wielki artysta, oczekiwany od dawna, lecz ten... nie będzie i m p r e s y o n i s t ą.

Trafnie uzasadnia to przytoczony powyżej Andrzej Michel. „Skonstatowawszy rezultat i d o r o b e k dzisiejszej sztuki modernistycznej, trzeba teraz wskazać zarodki jej rozkładu i śmierci, tkwiące w zasadzie samej, posuniętej przez doktrynerów nowej szkoły do krańca i niedorzeczności. Impresyoniści zapragnęli utrwalić na płótnie najruchliwsze, najprzelotniejsze, najzmienniej-

sze, najnieuchwytniejsze efekty natury i obdarzyli nas kilku malowidłami niesłychanie delikatnemi". Jasność, przejrzystość, powiewność, dreszcz barw to ich siła. „Że jednak zachciało się im obserwować wyłącznie i jakby w oderwaniu to, co w układzie przedmiotów rzeczywistych jest najnietrwalsze i najbardziej znikome, przeto ulegli odurzeniu i chimerze". To ich słaba strona. „Natura — źródło wiekuiste i podłoże naszych dzieł i naszej wyobraźni — to tylko światło i powietrze przezroczyste a lekkie; lecz do niej, mimo że podobno nie istnieje, trzeba będzie ostatecznie powrócić. Teodor Rousseau nie mylił się. Drzewa istnieją, i skały istnieją, i grzbiet potężny gruntu istnieje, i kształty tęgie a trwałe przedmiotów istnieją. I te to właśnie formy naturalne, które zaledwie w ciągu tysięcy wieków lub wskutek przewrotów okropnych mogłyby uledz przemianie, impresyonizm poświęcił wytwornym, czarującym, lecz zmiennym wrażeniom światła, efektom znikomym, które jedna chwila wywołuje lub rozprasza. Rozsądek naprowadza na myśl, iż malarstwo, uganiając się wciąż i wyłącznie za tymi ulotnymi i złudnymi odcieniami światła, sczeznie w próżni. Potrzeba mu podwaliny mocniejszej i podpory pewniejszej. Ostatecznie formy indywidualne warte są też obserwacyi i studyów". „To też młodzi malarze, zresztą już dziś liczni, przyswoiwszy sobie dorobek nowej szkoły, polegający na uważnem przypatrywaniu się grze refleksów i harmonii otoczenia, powracają do ścisłej nauki formy i do dawnego sposobu przyciemniania obrazów, który dla oka stanowi niejako wypoczynek po wybrykach impresyonizmu.... I reakcya zarysowuje się widocznie..."

Tak we Francyi, gdzie sztuka rozwija się stale i przechodzi z jednej formy w drugą naturalnie. Inaczej u nas, gdzie grunt pod wytwórczość artystyczną jest zaledwie przez jednostki przygotowany, a sztuka żyje od człowieka do człowieka, od osobnika gienialnego do naśladowcy bezmyślnego, od porywu samorzutnego do mody bieżącej.

Moda impresyonizmu zaczyna gdzieindziej przechodzić. My ją w tej chwili, a z drugiej ręki, podejmujemy i, niebaczni na cechy kultury swoistej, do sztuki wprowadzamy. Jakie ona, szczepiona sztucznie na pędach naszego temperamentu, owoce wydała, pozwolę sobie pokazać na przykładach, a tych, dzięki tak zwanej „szkole krakowskiej", już dziś nie brak.

(d. n.)

Antoni Sygietyński.

KRONIKA EKONOMICZNA.

Zwrot pomyślny w sytuacyi na rynku pieniężnym. — Zbrojenia morskie. — Nowe plany powiększenia marynarki we Francyi i w Niemczech; koszta, łożone na te zbrojenia; próżność wysiłków niesienia zbrojnej opieki w razie wojny; polityka kolonialna.

Giełda tryumfuje! W styczniu nastąpiło ogólne w Europie zachodniej obniżenie stopy procentowej, i natychmiast zapanowało ożywienie w handlu akcyami, znikły wszelkie obawy, i głosy, ostrzegające przed zbytnią wiarą w nieprzerwanie pomyślny bieg interesów, poszły w zapomnienie. Ten zwrot pomyślny nastąpił wszakże kosztem bardzo poważnych strat, które ponieśli ci, co zbytnio wierzyli w dawniejsze prognostyki nieprzerwanego rozwoju. Lecz z tem giełda się nie liczy. Ostatniego w szeregu psy gryzą, trzeba dbać o to, by nie być ostatnim, i kwita! Tymczasem jednakże ten zwrot świadczy o tem, że punkt kulminacyjny pomyślnej konjunktury nie został osiągnięty, i możemy liczyć na nowy rozmach machiny produkcyjnej, którego starczyć może nie tylko na rok, lecz na kilka lat nawet. Wszakże o groźnej nauce, jaką dały ostatnie miesiące roku zeszłego, należałoby nie zapominać. Zjawiska, jakie zachodziły na rynku pieniężnym, były aż nadto wyraźną wskazówką, że kocieł pod tą machiną pracuje z całem natężeniem, a w takim razie obawa eksplozyi nie zostaje usuniętą przez chwilowe obniżenie

ciśnienia. Spekulacya rozproszyła się i dała pobudkę do naprężenia sił produkcyjnych; część spekulantów słabszych została przywołaną do porządku przez podniesienie dyskonta, które uniemożliwiło im dalsze operacye zwyżkowe, ale spekulacyi nie usunięto, usunąć jej niepodobna. Produkcya będzie się rozwijać w dalszym ciągu, lecz bez granic rozwijać się nie może w tym tempie, co w latach ostatnich. Położenie zaś jest tem groźniejsze, że giełda świata, Londyn, nie może spokojnie patrzeć w przyszłość. Wprawdzie rozprawy parlamentu w pierwszych dniach lutego wykazały, że opozycya sił nie ma, że nikt nie przeszkodzi bohaterom giełdy, panom Chamberlain i Balfour, wyciskać ostatnie siły narodu, aby prowadzić dalej najbardziej bezecną wojnę bieżącego stulecia. Nie omylimy się nawet, twierdząc, że względy na stan interesów giełdowych powstrzymywały polityków liberalnych od zajęcia stanowiska, bardziej zgodnego z programem partyi. Wojna więc będzie prowadzona dalej i, być może, teraz, kiedy pan Chamberlain i kompania nie potrzebują naglić wodzów o zwycięstwo, któreby utrwaliło stanowisko rządu, będzie ona prowadzona z większą oględnością, a więc z większymi widokami na zwycięstwo oręża angielskiego. Prawdopodobniejszem wszakże jest, że nastąpią dalsze jeszcze porażki zdemoralizowanej już armii, a w takim razie nikt przewidzieć nie może, czy ów „spokój publiczności angielskiej, godny podziwu" da się utrzymać nadal, czy nie nastąpi czasem tem większe, bo długo tajone, zaniepokojenie, które spowodować może w pierwszym lepszym dniu straszną i niszczącą panikę giełdową, spadając, jak piorun z jasnego nieba.

Jasno już teraz zarysowały się plany zbrojeń morskich w dwu militarnych państwach, w Niemczech i we Francyi. Rząd Rzeczypospolitej domaga się kredytu na wybudowanie 6 pancerników, 5 krzyżowców pancernych, 112 torpedowców, 28 statków, przeznaczonych do ścigania torpedowców, i 26 statków podwodnych. Okręty mają być wybudowane do roku 1907, i koszt budowy obliczono tymczasem na 476 milionów franków, która to suma, jak zwykle okaże się w końcu za małą. Prócz tego zażądano znacznych sum na wzniesienie nowych fortyfikacyi morskich w Marsylii i Beserta oraz wzniesienie nowych fortyfikacyi w punktach, ważnych dla obrony kolonii, w Saigon, Dakar i t. d. Ogólna suma tych wydatków ma wynosić 900 milionów franków i ma zostać pokrytą z kredytu rocznego 107 milionów rocznie. Ten krok ministeryum francuskiego został bez kwestyi spowodowany przedewszystkiem fantastycznymi

planami cesarza Niemiec o budowie marynarki pierwszorzędnej; gdy wszakże rząd francuski może wobec stanu swoich finansów liczyć na pokrycie tych znacznych wydatków z dochodów regularnych, rząd niemiecki widzi przed sobą dla urzeczywistnienia zamiarów cesarskich tylko drogę olbrzymiej pożyczki. W Niemczech chodzi o budowę 11 okrętów pancernych, 8 wielkich i 16 mniejszych krzyżowców; okręty te mają być wykończone do roku 1916. Prócz tego jednakże do tego czasu mają być wykończone okręty, przeznaczone na zastąpienie starych, co postanowił już parlament w roku 1898, a mianowicie: 17 pancerników, 10 krzyżowców większych i 29 mniejszych. Prócz tego mają być wybudowane dywizye torpedowców, co rok po jednej dywizyi. Jakie będą koszta budowy? Okręt pancerny kosztuje, według obliczeń tymczasowych ministeryum marynarki, 25 milionów marek, wielki krzyżowiec 18 milionów, mniejszy 5,5 milionów, dywizya torpedowców 6 milionów. Zauważyć tu należy, że koszta te jeszcze w roku 1898 obliczano znacznie niżej, 20 milionów bowiem za pancernik, 15 milionów za większy i 4,6 milionów za mniejszy pancernik. Podwyższenie to nastąpiło wskutek podrożenia żelaza i stali oraz wskutek zmian w konstrukcyi i w uzbrojeniu. Przyjąwszy więc te cyfry, otrzymujemy sumę 1271,5 milionów marek na koszta budowy.

Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że te kosztowne machiny, mają żywot bardzo krótkotrwały. Według normy, prawnie przyjętej w Niemczech, okręt pancerny musi zostać zastąpiony przez nowy po latach 25, krzyżowiec większy po latach 20, mniejszy po latach 15. Ponieważ marynarka niemiecka po doprowadzeniu do stanu zamierzonego w roku 1916 ma liczyć okrętów pancernych 38, krzyżowców większych 20, a mniejszych 45, trzeba dla ustalenia tej liczby budować rocznie $\frac{38}{25} = 1,52$ pancernika, $\frac{20}{20} = 1$ wielki krzyżowiec, $\frac{45}{15} = 3$ małe krzyżowce, co uczyni wydatek stały roczny 72,5 milionów marek. Lecz to są wydatki li tylko na budowę okrętów; wybudowane potrzebują załogi, węgla, nakładu na utrzymanie. Wydatki tedy, które mają być ponoszone corocznie na budowę nowych okrętów i inne wydatki, oblicza ministeryum w sposób następujący:

w roku	1900 —	152,390,000	marek	w r.	1902 —	325,990,000	marek
„	1901 —	217,090,000	„	„	1903 —	234,770,000	„

w roku	1904 — 243,420,000 marek	w r.	1913 — 308,810,000 marek
„	1905 — 251,950,000 „	„	1914 — 311,820,000 „
„	1906 — 260,360,000 „	„	1915 — 317,700,000 „
„	1907 — 268,640,000 „	„	1916 — 323,460,000 „
„	1908 — 276,800,000 „	„	1917 — 325,990,000 „
„	1909 — 284,830,000 „	„	1918 — 331,390,000 „
„	1910 — 292,740,000 „	„	1919 — 336,670,000 „
„	1911 — 296,200,000 „	„	1920 — 341,830,000 „
„	1912 — 302,220,000 „		

A więc od roku 1901 do 1920 państwo niemieckie ma wydać na marynarkę 5,773,600,000 marek, z czego 2,396,000,000 kosztu powstaje wskutek zamierzonego powiększenia liczby okrętów.

Ze spisu ludności roku 1895 wiadomo, że w rolnictwie, handlu i przemyśle jest czynnych 19 milionów ludzi. Oni z zarobków swoich utrzymują kobiety, dzieci i starców oraz całą falangę wojskowych i urzędników, oni też pracą swoją wytwórczą dają państwu możność pokrywania swoich wydatków. Na ich więc barki spada i ten ciężar nowy. Te 19 milionów poniosą więc na głowę w ciągu najbliższych lat 20 marek 304, a przyjąwszy pomnożenie ludności, około 300 marek, czyli po 15 marek rocznie. Czy nie zadużo?

Przytem pamiętać należy, że rywalizacya wzajemna nie dopuści nigdy do tego, aby obecne ustosunkowanie sił zbrojnych uległo zmianie, a ten szalony wyścig nakłada na państwa ciężary olbrzymie. Podajemy tu cyfry ogólnego budżetu marynarki w głównych państwach, jaki notuje czasopismo „Marinerundschau“, przyczem w rubryce *a* są zawarte wydatki ogólne, w rubryce *b* wydatki na budowę i uzbrojenie nowych okrętów, wszystko w milionach marek.

	w roku 1897		w roku 1898	
	a	b	a	b
Anglia	450	250	580	370
Francya	202	94	230	121
Rosya	223	74	260	120
Niemcy	118	49	122	51,4
Stany Zjednoczone .	138	55	338	219
Japonia	147	128	180	150
Włochy	82	37	82	44
Austrya.	23	6	25	6

W jakim celu państwa ponoszą te olbrzymie wydatki na cele nieprodukcyjne, tembardziej nieprodukcyjne, że, jak zaznaczyliśmy,

wydatki, łożone na budowę okrętów wojennych, są najoczywistszą stratą wobec krótkiego czasu, przez jaki te okręta są zdatne do użytku? Ochrona wybrzeży musi być zapewnioną bez kwestyi, lecz w nowych planach niemieckich i francuskich już nie o to chodzi: wysuwa się tu na pierwszy plan obrona „interesów zamorskich", opieka, jaką nieść trzeba handlowi. Jednakże pierwsze twierdzenie jest bezwarunkowo sofizmatem. Handel potrzebuje o tyle tylko opieki zbrojnej, o ile chodzi o stosunki handlowe z ludami barbarzyńskimi lub półcywilizowanymi, a na to obecne siły aż nadto starczą; o ile zaś handel ten odbywa się pomiędzy krajami cywilizowanymi, to w czasie pokoju żadna nie zachodzi potrzeba ochraniania okrętów handlowych, gdyż na szczęście dla ludzkości rozbójnictwo morskie przestało grozić marynarzom. W czasie zaś wojny przy dzisiejszym stanie techniki wojennej wszelki handel morski ustać musi. W przyszłej wojnie morskiej— na to dziś zgodzono się powszechnie — każda ze stron walczących będzie dążyła w pierwszej linii do zniszczenia handlu przeciwnika; torpedowce i krzyżowniki będą statkami pirackimi, będą zabierały i topiły każdy okręt handlowy pod banderą przeciwnika. Ochronić zaś własnych okrętów żadne z państw nie jest w stanie. Jan Bloch w trzecim tomie swego dzieła „Wojna przyszłości" przytacza zdanie powag angielskich. W czasopiśmie swojem „Naval Annual" admirał Brassey przytacza orzeczenie kolegi swego admirała Greigh: „Odrzucam bezwarunkowo myśl, aby nasze statki handlowe mogły grać jakąkolwiek rolę w razie wojny. Od czasu, kiedy pełnię funkcyę w zarządzie marynarki, przekonałem się, do jakiego stopnia trudno bywa nawet w czasie pokoju skoncentrować siły zbrojne w jakimkolwiek punkcie, gdy chodzi o to, aby marynarka spełniła swą powinność. Twierdzę stanowczo, że nasza marynarka nigdy nie będzie w stanie nieść pomocy dostatecznej statkom handlowym w czasie wojny." Admirał zaś Colombe, autor specyalnego dzieła „O ochronie komunikacyi morskiej", dochodzi w tem dziele do wniosku, „że obecnie nikt nie ma jasnego pojęcia, a tembardziej nie może być mowy o jakiejkolwiek decyzyi, czy dla ochrony handlu morskiego należy starać się oczyścić morza od krzyżowników nieprzyjacielskich, czy urządzić konwoje statków handlowych, czy chwycić się jakiegokolwiek innego środka"; zresztą powiada on w końcu: „jest to rzeczą obojętną, i położenie jest takie, że wobec strasznych niebezpieczeństw, jakie grożą od napaści krzyżowców i torpedowców, żaden statek kupiecki w czasie wojny nie opuści portu." Po wszechstronnem rozpatrzeniu

tej sprawy Bloch dochodzi do wniosku, że każda z potęg morskich rozporządza dostatecznymi środkami zniszczenia, by zburzyć handel swego przeciwnika, natomiast ochronić swego handlu nie jest w stanie nawet królowa mórz, Anglia. A więc—skoro wybuchnie wojna, handel państw, zamieszanych w walkę na morzach zostanie bezwarunkowo przerwany. To zaś byłoby klęską najstraszniejszą, gdyż dla wszystkich państw zachodniej Europy oznacza to, po pierwsze, przerwanie wszelkiej działalności przemysłowej, a więc bezrobocie dla milionów robotników, a co gorsza—oznacza zatamowanie dowozu żywności, którego ludność potrzebuje bezwarunkowo, ponieważ ani w Niemczech, ani we Francyi, ani we Włoszech, a tembardziej w Anglii nie sposób wyżywić dziś ludność plonem krajowej produkcyi rolniczej.

Istnieje tylko jedna możność zażegnania tych klęsk — porozumienie międzynarodowe. A dodać należy, że, co do zbrojeń morskich, porozumienie takie jest najbardziej możliwe. Skoro wojna morska jest klęską bezmierną dla wszystkich państw, konieczność sama zmusiłaby je do uszanowania raz zawartego układu; z drugiej zaś strony wystarcza przyjęcie jednego tylko postulatu, by uczynić zbytecznemi wszelkie usiłowania, skierowane do zbrojnej ochrony handlu morskiego, postulatu, że w s z e l k a w ł a s n o ś ć p r y w a t n a n a m o r z u j e s t n i e t y k a l n ą. Pomimo wszelkich sofizmatów krzykaczy szowinistycznych, ten postulat w końcu musi zostać uznany; inaczej cała kultura świata cywilizowanego jest narażona na najokropniejsze niebezpieczeństwo.

Co do drugiego mniemalnego powodu, konieczności zbrojeń — potrzeby utrzymania i rozszerzania posiadłości kolonialnych—jest on nie mniej sofistycznym. Zwolennicy polityki zaborczej twierdzą, że posiadanie kolonii jest koniecznem dla państw przemysłowych, gdyż trzeba otworzyć upust, dokądby mogła wysiedlać się ludność, której staje się ciasno w skutek nadmiernego rozmnożenia, a powtóre, trzeba zapewnić sobie rynki zbytu. Lecz już pierwsze twierdzenie trudno pogodzić z faktem zastoju we wzroście ludności Francyi i z faktem braku rąk roboczych w rolnictwie, który stanowi palącą dziś kwestyę w Niemczech i u nas. Nie dosyć na tem: dziś rozlegają się skargi na brak ludzi w przemyśle nawet, np. w kopalniach, co zaznaczono na zjeździe górników w Warszawie i świeżo w sejmie pruskim. Odpowiedzą nam, że to stan wyjątkowy, który minie, gdy minie ożywienie

przemysłowe. Lecz czyż w takim razie nie byłoby racyonalniej dążyć do unormowania stosunków, przy których peryodycznie miliony ludzi zdolnych do pracy bywa skazanych na próżnowanie wskutek stagnacyi, a potem brak znów rąk dla wytwarzania dostatecznej ilości towarów, niż uganiać się za opanowaniem coraz nowych przestrzeni na kuli ziemskiej, aby tam wytworzyć znów te same stosunki ekonomicznego bezładu?

Przytem argumentacya o koloniach, jako o nowych rynkach zbytu, jest przesadną. Powołują się tu chętnie na przykład Anglii Anglia ma — powiadają—-najbardziej rozwinięty handel i przemysł dlatego, że ma odbyt zapewniony w swoich koloniach. Cyfry wszakże uczą zgoła czego innego. Podajemy cyfry ogólnego wywozu Anglii i wywozu do kolonii w milionach funtów sterlingów za okres czasu od roku 1888 — 1898:

	wywóz ogólny	wywoz do kolonii.
1888	299,0	91,7
1889	315,6	90,8
1890	328,3	94,5
1891	309,1	93,3
1892	291,7	81,2
1893	277,1	78,6
1894	273,8	78,6
1895	285,8	76,1
1896	296,4	90,7
1897	294,2	87,0
1898	290,0	90,0

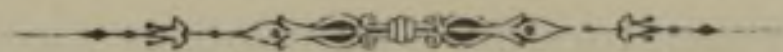
Z cyfr tych wynika przedewszystkiem, że kolonie nie są ani decydującym, ani nawet najważniejszym czynnikiem dla handlu i produkcyi Anglii, zaledwie trzecią część swego wywozu Anglia lokuje w koloniach. Przytem należy zwrócić uwagę, że towary, wywiezione do kolonii, nie wszystkie są pochodzenia angielskiego. W handlu bowiem z temi koloniami francuscy, belgijscy i niemieccy producenci z rozmaitych względów wolą wysyłać swoje towary do portów angielskich, a nie z portów ojczystych. Czy Anglia, gdyby nie była posiadała oddawna swoich kolonii, stała się takiem środowiskiem przemysłu handlu, to inna kwestya. Chodzi o to, że dziś jej potęga handlowa opiera się po części już tylko na posiadaniu tych kolonii.

Rzecznicy polityki kolonialnej wogóle zapominają, a przynajmniej udają, że zapominają, o nader ważnej kwestyi, mianowicie o tem, że utrzymanie kolonii w dzisiejszych cza-

sach nakłada na metropolię znaczne ciężary. Angielskie kolonie o ile nie posiadają samorządu, przyprawiają państwo co rocznie o znaczne wydatki na administracyę, a we wszystkich koloniach metropolia ponosi wydatki na utrzymanie siły zbrojnej. Francya wydaje rocznie na utrzymanie swoich (wraz z Algeryą) 150 milionów franków, podczas gdy handel wywozowy z temi koloniami wynosi zaledwie 120 — 140 milionów franków. Holandya ponosi na wydatki kolonialne przeszło 16 milionów guldenów holenderskich, co przy ludności 5 milionów jest wydatkiem znacznym. Niemieckie kolonie, nie przedstawiające żadnej wartości, przyczyniają wydatku 16 milionów marek, a jak zaznaczyliśmy już, cały handel wywozowy i przywozowy nie dorównywa tej sumie. Te wydatki bezpośrednie stanowią wszakże zaledwie cząstkę ciężaru, skoro wydatki miliardowe na cele powiększenia sił zbrojnych morskich są motywowane koniecznością ochrony kolonii.

Zresztą — wszystko to już było. Przed stu z góry laty Adam Smith pisał: „Na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, że tworzyć wielkie państwo w tym jedynie celu, aby pozyskać cały naród konsumentów, jest przedsięwzięciem, nadającem się li tylko dla narodu, składającego się z przekupniów. Jednakże w rzeczywistości jest to przedsięwzięcie, zgoła nie ponętne dla takiego państwa przekupniów, natomiast bardzo ponętne dla państwa, którego rząd ulega wpływowi przekupniów. Mężowie stanu w takiem państwie, ale też tylko w takiem, mogą zdobywać się na pomysł szafowania krwią i dobytkiem swych współobywateli, aby zdobywać podobne państwa. Powiedz jakiemu kramarzowi: „Kup mi dobra ziemskie, a zobowiązuję się nabywać suknie tylko w twoim kramie, nawet, gdybym musiał za takowe płacić drożej, niż u twego konkurenta“,— ręczę, że kramarz nie bardzo pochopnym będzie do zgodzenia się na taką tranzakcyę. Lecz, gdyby jakaś osoba trzecia zechciała kupić tobie dobra ziemskie, to kramarz byłby bardzo wdzięcznym swojemu dobroczyńcy, gdyby ten postawił, jako warunek, że będziesz suknie swoje kupował tylko w sklepie kramarza.”

Dzisiejsi mężowie stanu — „szafują krwią i dobytkiem swoich współobywateli” w celu dogadzania „kramarzom“, albo, jak powiemy dzisiaj, reprezentantom kapitału. Czyżby byli pod wpływem kramarzy? *J. B. M.*



Rozbiory i Sprawozdania.



Pamiętniki Stanisława Niemojewskiego, 1606—1608, wydał Aleksander Hirschberg. Lwów 1899.

Ze słowa wstępnego wydawcy dowiadujemy się, że autor pamiętnika pochodził z zamożnej rodziny Niemojewskich, herbu Rola, osiadłej w województwie Pomorskiem. Pierwotnem gniazdem tej rodziny był Lubieniec, wieś, położona w ówczesnym powiecie przedeckim. Stąd najpóźniej w połowie wieku XVI przeniosła się jedna gałąź tej rodziny na Pomorze, do Łowireka w powiecie świeckim, w pobliżu wielkiej puszczy tucholskiej. Zdaje się, że Niemojewscy wówczas już musieli się odznaczać pewną zamożnością, skoro niebawem wchodzą w koligacye z najznakomitszemi z rodzin senatorskich. I tak Jan, syn Macieja, który pod koniec życia (w r. 1611) został kasztelanem chełmińskim, ożenił się z Katarzyną, córką Stanisława Kostki, wojewody pomorskiego. Jedna z córek jego wyszła za Kaspra Rozrażewskiego, kasztelana śremskiego, inna była za Krasińskim, kasztelanem ciechanowskim. Synowie jego również piastowali godności senatorskie, a najmłodszy z nich Maciej, przenosząc się na coraz wyższe dostojeństwa, w końcu został wojewodą

pomorskim. Jednym ze starszych jego braci był Stanisław, autor „Pamiętnika".

Urodził się on około r. 1560 i zapewne najprzód w kraju pobierał nauki, a następnie kształcił się we Włoszech. W wieku XV tysiące młodzieży polskiej udawały się w tym celu do Padwy. Między innymi kształcił się tam także Maciej Niemojewski, brat Stanisława. O innym z jego braci, Jerzym, wiemy z napisu, umieszczonego na grobowcu jego w Starogrodzie, że również przez dłuższy czas bawił we Włoszech. Prawdopodobnie i Stanisław musiał tamże pobierać nauki. Przemawia za tem niezwykłe jego wykształcenie, mające wybitne cechy zachodnio-europejskie, i niektóre ustępy jego „Pamiętnika", świadczące, że język włoski nie był mu obcym.

Wróciwszy do kraju, zapewne wkrótce został jednym z dworzan królewskich, już w styczniu bowiem r. 1589 wysłał go Zygmunt, jako posła swojego, na sejmik generalny pruski, zebrany z początkiem lutego t. r. w Malborgu. Podobną misyę otrzymał on także w r. 1596. Zdaje się, że musiał on częściej odbierać podobne polecenia i zapewne pomyślnie z nich wywiązywał się, ponieważ w nagrodę za to i dzięki niezwykłym jego zdolnościom i wykształceniu zamianował go Zygmunt wielkim podstolim koronnym. W roku 1606 zaszedł wypadek, który naraził go na niezwykłe i bardzo ciężkie przejścia i przygody. Z początkiem stycznia t. r. przybył do Krakowa Jan Buczyński, sekretarz cara moskiewskiego Dymitra, który, jak wiadomo, odznaczał się zamiłowaniem w zbieraniu drogich kamieni i przeróżnych kosztowności. Buczyński ogłosił, że, jeżeliby kto miał klejnoty na sprzedaż i udał się z nimi do Moskwy, to car je nabędzie, nagradzając hojnie właścicieli. Na wiadomość o tem wielu kupców z Krakowa i Lwowa ruszyło do Moskwy. Pociągnął za nimi Cellari z dalekiego Medyolanu i kilku bogatych złotników z Augsburga.

Dowiedziała się także o tem Anna, siostra Zygmunta III, która miała bardzo piękny zbiór klejnotów, oceniany przez współczesnych na 200,000 talarów. Postanowiła ona również skorzystać ze sposobności i przynajmniej część ich sprzedać carowi. Jako siostrze króla, nie wypadało jej, nawet w sposób poufny, wystąpić z taką propozycyą; przeto postanowiła powierzyć sprawę człowiekowi zaufanemu, któryby, ofiarując nabycie klejnotów carowi, nazwisko właścicielki w ścisłej zachował tajemnicy. Wybór jej padł na Stanisława Niemojewo, ktskiegóry już wówczas znanym był ze swoich niepospolitych przymiotów rozumu i charakteru. Pan Podstoli podjął się

chętnie tej misyi i z początkiem marca t. r. wraz z piętnastu domownikami wybrał się w drogę do Moskwy. Pomiędzy klejnotami, które mu powierzyła królewna szwedzka, szczególną pięknością miały się odznaczać niektóre dyamenty, perły i rubiny. Ogólną ich wartość oceniano na 70 tysięcy złotych. Kosztowności te wiózł Niemojewski, owinięte w „pstrą” materyę jedwabną, w osobnej skrzyneczce żelaznej, zielono malowanej.

W połowie kwietnia w pobliżu Orszy połączył się Niemojewski z Maryną i jej ojcem, którzy właśnie wówczas jechali do Moskwy, i odtąd już razem z nimi dalszą podróż odbywał. Na dworze moskiewskim jak najlepszego doznał przyjęcia. Miał udział we wszystkich uroczystościach ówczesnych, a nawet nieraz z samym Dymitrem wcale poufale rozmawiał. Wieczorem dnia 26 maja wręczył mu ową szkatułkę z klejnotami. Car oglądał je przy nim, porównywał ze swoimi, a wkońcu kazał mu je u siebie zostawić, aby tem dokładniej się im przypatrzyć. Ale szczęście, powiada Niemojewski, mało mu szczęścia do tego użyczyło, bo najdalej w ośm godzin potem gardło dał, czego się Boże pożal.

Nazajutrz o świcie wybuchło powstanie w Moskwie. Na odgłos dzwonów tłumy ludu, podburzone przez spiskowych, rzuciły się na dwory, zajęte przez panów polskich, a równocześnie setki sprzymierzonych wpadły do Kremlu i po krótkiej walce zamordowali Dymitra. W rzezi, która miała miejsce, zginęło około 500 Polaków. Liczba ich nierównie byłaby większą, gdyby bojarowie po zabiciu samozwańca nie byli się rozbiegli po mieście i motłochu od dalszych napadów nie powstrzymywali. Nowy car niebawem odesłał do granicy część Polaków, pozostałych w Moskwie, a mianowicie: służbę i żołnierzy, ale wszystkich znakomitszych zatrzymał, spodziewając się, że w zamian za wypuszczenie ich na wolność tem korzystniejsze warunki pokoju uzyska od Rzeczypospolitej. Dnia 8 sierpnia wysłano księcia Konstantego Wiśniowieckiego do Kostromy, w tydzień potem wyprawiono Tarłów do Tweru, a z końcem tegoż miesiąca Marynę, ojca jej, brata i stryjów do Jarosławia.

Dnia 14 sierpnia wywieziono także Niemojewskiego wraz z dwoma Stadnickimi w partyi, która się składała ze 160 ludzi. Zesłano ich naprzód do Rostowa, a następnie, w trzy miesiące później, nad Białe Jezioro. Pobyt ich w tej ostatniej miejscowości był nadzwyczaj smutny. W takich nieszczególnych warunkach minął im rok 1608 i pierwsza połowa następnego. Wreszcie, dnia 7 czerwca, zabłysła im nadzieja lepszej przyszłości, gdyż trzech najznakomitszych więźniów, a między nimi Niemojewskiego, wezwano do

Moskwy, gdzie miano im wolność ofiarować. Jeszcze w lipcu 1607 r. wysłał Zygmunt III dwu posłów do Moskwy: Witkowskiego i Sokolińskiego, którym polecono najusilniej domagać się uwolnienia wszystkich Polaków, uwięzionych przez Szujskiego. Przez czas długi trwały spory ich i rokowania z bojarami moskiewskimi. W końcu zawarto d. 23 lipca 1608 r. rozejm czteroletni, w którym car zobowiązał się najdalej do 8 października t. r. odstawić do granicy wszystkich Polaków, zatrzymanych w Moskwie.

Jeszcze przed zawarciem tego rozejmu, dnia 10 czerwca wyjechał Niemojewski z Białozierska wraz ze swoimi towarzyszami. Najprzód płynęli na łodziach Białem Jeziorem i rzekami Szeksną i Wołgą aż do Romanowa. Skąd następnie na podwodach mieli dalszą podróż odbywać. Tutaj jednak spotkał się z nimi goniec carski z poleceniem, ażeby zamiast do Moskwy udali się do Wołogdy i zatrzymali się tamże aż do dalszego ukazu. Właśnie bowiem wówczas wojska drugiego Dymitra Samozwańca tak ściśle ze wszystkich stron otoczyły stolicę, iż przejazd do niej miał się okazać niemożliwym. Niemojewski i jego towarzysze starali się oprzeć wykonaniu tego rozkazu, atoli wszelkie ich prośby i przedstawienia zupełnie były bezskuteczne. Musieli więc znowu wsiąść na łodzie i tą samą drogą napowrót udać się na wygnanie. Zawieziono ich nie do Wołogdy, lecz aż do wsi Iwaczewa, tylko o cztery mile oddalonej od Białego Jeziora. Po całomiesięcznym pobycie w tej wiosce znowu nadszedł ukaz, żeby ich przewieziono do Moskwy.

Podróż ta odbywała się dość szybko. Dnia 11 sierpnia wyjechali z Iwaczewa, 18 t. m. przybyli do Rostowa, a 23 do stolicy. Tutaj ich znowu zatrzymano przez kilka miesięcy i dopiero wówczas odstawiono do granicy, kiedy uroczyście się zobowiązali, że nie przyłączą się do wojsk polskich drugiego Dymitra. Przez cały ten czas rodzina Niemojewskiego żadnych nie miała wiadomości. Jakkolwiek powątpiewała nawet o jego życiu, to jednak nie zapomniano o nim w kole rodzinnem i starano się, o ile możności, ułatwić mu powrót do kraju. Wysyłano mu też pieniądze przez posła Sokolińskiego, aby mu na możliwych wygodach nie zbrakło.

Bawiąc w Moskwie, kilkakrotnie dopominał się pan Podstoli o zwrot klejnotów, zabranych mu po zabiciu Dymitra. Szujski wprawdzie nie uczynił zadość temu żądaniu, atoli kiedy i posłowie polscy o nie się upomnieli, kazał je wydać za osobnym kwitem, przez nich wystawionym. Opis tego kwitu doręczono Niemojewskiemu. Z powrotem do gniazda rodzinnego zakończył się w życiu Niemojewskiego okres, obfitujący w ciekawe przejścia i przygody.

O dalszych też jego losach nie wiele pozostaje do powiedzenia. W dwa lata później ożenił się Niemojewski z Zofią, córką Andrzeja Czarnkowskiego, wojewody kaliskiego. Na sejmie warszawskim w r. 1613 wybrano go z „Koła polskiego" jednym z komisarzy, mającym ułożyć się z wojskiem skonfederowanem o wypłatę żołdu zaległego. Czynności tej komisyi trwały od 20 lutego do 7 maja roku następnego; za usługi, oddane wówczas Rzeczypospolitej, otrzymał dwa starostwa w zastaw, a mianowicie: miedzyteskie i rogozińskie.

W r. 1615 został Niemojewski kasztelanem elbląskim, a w trzy lata później, po śmierci ojca, kasztelanem chełmińskim. Z powodu tych zalet niepospolitych, tak na dworze królewskim, jak w ogóle u współczesnych, niezwykłem cieszył się powodzeniem. Był to pan, pisze Niesiecki, pięknych przymiotów, rozsądku wybornego. Pomiarkowany w pasyach, wspaniałości umysłu, żadną przygodą nie poniżonej, daleki od pychy, a w fortunę obfitujący. Umarł w r. 1690. Wspomnienia swe zaczął spisywać Niemojewski od przejazdu granicy moskiewskiej, t. j. od 18 kwietnia r. 1606, notując prawie dzień za dniem ważniejsze spostrzeżenia i wiadomości o wypadkach współczesnych. Zapiski te opracował, jak sam powiada, już w miesiącu styczniu r. 1607 i dodał do nich opis kraju, jako też zwyczajów i urządzeń ówczesnych w Moskwie. Później, w ciągu długiego pobytu swojego na wygnaniu, udało mu się zebrać jeszcze wiele innych wiadomości o obyczajach i stosunkach ówczesnych w państwie moskiewskiem, tak na podstawie własnych doświadczeń, jak opisów innych towarzyszów niedoli. Nowych tych epizodów przybyło tak wiele, iż zapewne z tego powodu opracował on na nowo swój pamiętnik, uzupełnił swe własne wspomnienia, zmienił jego układ i doprowadził do dnia 2 października 1608 r.

Wiadomości, podane przez Niemojewskiego, zdaniem p. Hirschberga, tem większą mają wartość, że skreślił je człowiek wykształcony, obdarzony sądem wytrawnym i niezwykłą bystrością umysłu. Pamiętnik Niemojewskiego jest też źródłem nader cennem, odznacza się bowiem niezwykłą dokładnością i obfitością szczegółów, w nim zawartych. Pod tym względem do najważniejszych należą ustępy: o dochodach i wydatkach skarbu carskiego, o sposobie prowadzenia wojny, uzbrojeniu i organizacyi wojska, o dworach bojarów znakomitszych i gospodarstwie wiejskim, o urządzeniu poczt, wreszcie opis zwyczajów patryarchalnych, panujących na dworze carskim, i obyczajów ówczesnych w ogóle.

W ogóle pamiętnik Niemojewskiego należy zaliczyć do bardzo cennych nabytków dla literatury naszej, i panu Hirschbergowi winniśmy wdzięczność za tak ciekawę i staranne wydawnictwo. Opisy bowiem Niemojewskiego zadziwiają nas swą barwnością, która nie przechodzi nigdy w rubaszną przesadę, i swą dokładnością która nam daje niekiedy wyborne obrazy państwa Moskiewskiego. Natura, obyczaje, przemysł, stan społeczny, polityczy, odtworzone zostały przez Niemojewskiego w sposób tak żywy i pouczający zarazem, że niekiedy czytelnik wspomni sobie, czytając jego pamiętnik, niezapomnianego J. Chryzostoma Paska. Dla naszej historyi pamiętnik Niemojewskiego nie będzie również bez znaczenia. Szczegolniej ważnymi są spory o tytuły, które się wszczęły między Carem Samozwańcem a posłami polskimi. Sam Car utrzymywał: nie jesteśmy Kniaź, nie jesteśmy Hospodar, nie jesteśmy Car, ale jesteśmy Imperator na swoich szerokich państwach, a bierzemy się za ten tytuł, którzy mamy od Boga samego i zażywamy tego tytułu nie słowy, jako inszy czynią, ale rzeczą samą. Nie tyiko Kniaziów albo Hospodarów, lecz z łaski Bożej i Królów pod sobą mamy którzy nam służą i nikogo sobie w porównaniu równych, być w tych północnych krajach nie widzimy i mieć nie chcemy i nikt w onych nie rozkazuje, jeno wprzód pan Bóg, a potem my sami. Posłowie polscy wobec tych uroszczeń trudną mieli sprawę, ale wywiązali się zawsze z godnością.

A. R.

Herold Polski. Czasopismo naukowe illustrowane, poświęcone heraldyce i sfragistyce polskiej, wychodzące w zeszytach kwartalnych. (Redaktor odpowiedzialny: Profesor Piekosiński. Kraków 1897).

Należy poświęcić wspomnienie wydawnictwu naukowemu peryodycznemu, na którego czele stanął prof. Piekosiński, a które, powstawszy w 1897 roku, już w r. 1899-tym, przyczyniwszy swemu redaktorowi dużo kłopotów, istnieć przestało. W przedmowie swej do powyższego wydawnictwa prof. Piekosiński nieco chaotycznie i odbiegając od głównego zadania opowiada o celach, do których Herold zdążać zamierza. Głównem zadaniem, o ile autora i redaktora wyrozumieć zdołałem, było wydanie przewodnika heraldycznego, który miał już prawie ukończony. Ale wygotowanie takiej olbrzymiej liczby (kilkuset) rysunków herbów polskich wymagało zwłoki. Rozpoczęto więc druk herbarza szlachty litewskiej Koja-

łowicza, znajdującego się w Zbiorach ks. Czartoryskich w Krakowie.

Oprócz tego znajduje się w Heroldzie dział p. t. Rozmaitości, w którym to prof. Piekosiński podaje ciekawe, a nieraz bardzo cenne, szczegóły heraldyczne. W pierwszych zaraz Rozmaitościach spotykamy interesującą wiadomość o Herbarzu Jana Karola Dachnowskiego, znajdującego się w rękopisie w jednym z księgozbiorów w Krakowie. Herbarz powyższy posiada ciekawy tytuł, który brzmi jak następuje: Poczet możnego rycerstwa Polskiego, w którym dawnych Bohaterów Sarmackich odważne dzieła y krwią nieprzyjacielską rysowane, w pokoju klejnoty, tudzież y domów polskich genealogie przez I. K. Dachnowskiego herbu Ślepowron. Prócz tego, w tychże samych Rozmaitościach znajdują się ciekawe uwagi o kamieniach ulszyńskich, o których ówczesne pisma podały różnorodne wiadomości.

W następnych Rozmaitościach znajduje się pouczający rozdział o najstarszych pieczęciach szlachty polskiej, a następny zeszyt został zatytułowany: Herold polski czyli przewodnik heraldyczny polski; dołączono do niego poczet herbów i proklamacyi herbowych, a w dalszych zeszytach wydrukowany został herbarz witebski, i spotykamy się jeszcze z kilkoma szkicowemi pracami samego redaktora, które zwykle nie były naukowego interesu. W ostatnim zeszycie znajduje się pożegnanie prof. Piekońskiego z prenumeratorami czyli czytelnikami Herolda. Redaktor przypisuje upadek pisma bezprzykładnej obojętności dla wydawnictwa tej klasy społeczeństwa, dla której ono w pierwszym rzędzie przeznaczonem było, t. j. dla szlachty. Mimo bowiem nader życzliwego przyjęcia, jakie pierwszy numer znalazł nie udało się znaleźć więcej, niż 120 prenumeraterów, z których na rok 1898 pozostało zaledwie 45. Powyższa liczba nie zdołała zapewnić Heroldowi bytu materyalnego, i czasopismo w r. 1897 zwiniętem zostało.

Pod względem sfragistycznym pismo to pozostawiło po sobie ślady dużej staranności, które ją uczynią cennem wydawnictwem. Pieczęć ks. Litewskiego, pieczęć wielka Korybuta Michała zadziwiają dokładnością i pięknością odrobienia. Prócz tego należy wspomnieć prawdziwie królewską zbroję turniejową z 1471 roku. Wogóle wszystkie pieczęcie i herby zostały reprodukowane bardzo starannie i przyczyniły się do upiększenia wydawnictwa. Jedynie przemawiania od redakcyi nie zawsze bywały szczęśliwemi. Zazwyczaj nużą one czytelnika zbytniem wplątaniem do naukowego wykładu osobistych interesów, kłopotów i drażliwości, co właściwie

niema żadnego publicznego znaczenia. Z tem wszystkiem, za usiłowanie stworzenia u nas poważnego czasopisma naukowego, które redaktora kosztowało dużo trudu i wydatków, należy się prof. Piekosińskiemu przynajmniej wdzięczność i podziękowanie.

A. R.

Emma Jeleńska (Dmochowska): „Panienka", powieść, nagrodzona na konkursie „Kuryera Codziennego". Warszawa, 1899, tomów dwa.

Do sądu konkursowego, który uwieńczył „Panienkę" Emmy Jeleńskiej (Dmochowskiej), należeli ludzie, stanowiący czoło współczesnej naszej krytyki literackiej, że zaś uwieńczone przez nich dzieło wyszło z rąk młodej, zupełnie przedtem nieznanej autorki, mieszkającej, jak z wielu poszlak domyślać się wolno, w stronach, nie ulegających bezpośredniemu wpływowi głównych naszych ognisk literackich, przeto z zestawienia dwu tych faktów wnosić należy, że najwyższy nabytek konkursu streszcza w sobie po połowie sumę wskazówek: jakie są, z jednej strony, tegoczesne u nas wymagania artyzmu powieściowego, a z drugiej, jaki w glebie ostatnich, najświeższych warstw naszego czytelnictwa tkwi zasób i kierunek sił twórczych, zdolnych zadość uczynić tym wymaganiom.

Osobiste pisarskie zdolności laureatki stają tym sposobem po za szrankami zagadnienia. Bezstronność, dobra wola i znawstwo sędziów orzekły bez możliwego pod tym względem sporu, że Jeleńska weszła do otwartego, żadnemi specyalnemi zastrzeżeniami nie skrępowanego współzawodnictwa, z maximum możliwego w danych warunkach talentu i wyrobienia. Recenzentowi pozostało okazać jedynie drogę, obraną dla przebiegu owego maximum.

Drogę tę wskazuje — w zarysie ogólnym — sama treść, sama fabuła „Panienki." Jak przed laty główny kontyngens naszych bohaterów, filozofów, inżynierów, poetów, lekarzy lub agronomów wracał do kraju ze szkół Wiednia, Berlina, Heidelberga lub Paryża (po wyczerpaniu się epoki wileńskiej i krzemienieckiej), tak w dobie najświeższej do zaszczytu owej podaży przypuszczono też i Petersburg. Nie bezwarunkowo wszakże, nie bez pewnego modyfikacyjnego odcienia. Dawniej nie zachodziła najmniejsza wątpliwość co do tego, ażali ci, co wracają, wracać mają na stałe. Zagranicą, zwłaszcza nad Sekwaną, więzło zazwyczaj tyle pieniędzy i zdrowia, zarówno fizycznego, jak i moralnego, że kropla przywiezionej wie-

dzy teoretycznej zanadto słabo opłacała stratę faktyczną; dramat mógł się wtedy ostać i sobie wystarczał bez groźby ponownej emigracyi na czas mniej więcej długi. Obecnie sytuacya uległa zmianie o tyle, że Petersburg wniósł z sobą wyobrażenie o możliwości zysków materyalnych, zaświecił widokami zyskownych posad, stanowisk, zarobków, stosunków i wpływów. Od daty „Pierwotnych“ i „Australczyka“ Orzeszkowej pytanie: czy osiąść na rodzinnej grzędzie w kożuszku baranim, czy upędzać się za złotem runem nad Newą, Oką lub Jenisejem, tryumfalnie wkroczyło do naszej literatury powieściowej. Jeleńska w „Panience“ skomplikowała nieco zagadnienie. Powieść jej zaczyna się od przyjazdu z Petersburga Leona Kańskiego, który, skończywszy studya medyko-chirurgiczne, osiąść ma na prowincyi tymczasowo, — gdyż w stolicy państwa oczekuje nań karyera niechybna pod postacią spadku klienteli po wuju, bogatym, wziętym i sławnym lekarzu. Udaje się Kański do Hrabowa nadprypećkiego. Ale właśnie w Hrabowie oddawna już rezydencyę obrał środkowy węzeł neo—hamletowskiego problematu: być czy nie być? — udomowić się czy ulotnić? — Zadzierzgnął się ten węzeł od daty zgonu starego dziedzica Hrabowa w jego pierworodnym potomku, Guciu Wielogrodzkim, oficerze gwardyi-kawalergardów czy grenadyerów cesarskich w Petersburgu, — figurze marnej, która dla podtrzymania wojskowego swego splendoru pochłania dobrą połowę dochodów z dóbr ojcowskich, przeznaczonych obok tego na utrzymanie chorowitej jego matki-wdowy, młodszego brata Tadzia i średniej — w stosunku do obu braci — siostry Jadwisi. Majątkiem zarządza Jadwisia, a zarządza równie dzielnie, jak niejedna z pierwszorzędnych postaci Rodziewiczówny. Ukazuje się Kański najpierw na widowni ogólno-hrabowskiej i zaraz następnie, od str. 39 tomu I, z powodu chorej, starej pani — we dworze. Na ostatniej stronicy tegoż tomu czytamy w formie samotnych rozmyślań Kańskiego: — Maleństwo! kochanie! gniazdko!.. i nagle uczuł, że ona (naturalnie Jadwisia) jest mu nadzwyczaj drogą, bliską istotą, że ona mu jest na całym świecie jedyną. I w tej chwili cały świat przestał istnieć dla niego, o nią mu jedynie chodziło. Kochał ją!... Wyśmienicie, to rzecz w romansie nieodzowna. Sztuka polega teraz tylko na zagadce: jak się to skończy. Skończy się bardzo dobrze, o ile, na mocy obowiązującej, czy też tylko przemagającej obecnie programatologii naszej społecznej, Gucio się opamięta, poprawi i, przywdzieje kubrak gospodarski i zastąpi Jadwisię, dla której Kański, z pomocą wuja, odpowiednie gniazdko uściele. Lecz Gucio ani myśli o opamiętaniu. Przeciwnie,—

żeni się z jenerał-lejtnantówną Olgą Szuldner, stawia Hrabów nad przepaścią ruiny, matkę wpędza do grobu. Tymczasem — i zanim jeszcze pani Wielogrodzka Bogu ducha oddała, rozmaite przejścia majątkowe i wycieczka z chorą pod cieplejsze niebo włoskie nastręczyły młodym — to jest lekarzowi i „Panience“ (Jadwisi) — całą gamę sposobności do wyspowiadania się, oświadczenia się i nawet wycałowania się... — nad morzem, oczywiście, i dopiero aż w drugiej połowie tomu II-go. Nastąpiło wreszcie rozwiązanie: Kański pożegnał Jadwisię na wieki. Dlaczego? Tak kazała logika celowo uplanowanego tematu. Kański nie mógł przecież osiąść na podziurawionym przez Gucia posagowym fartuszku współdziedziczki Hrabowa; Jadwisia, nawzajem, nie mogła puścić na łaskę i niełaskę subhasty sąsiedzkiej lub administracyi faktorsko-pachciarskiej kawałka ziemi ojczystej, a przytem wychowanie dorastającego Tadzia... Słowem, w Kańskim zwycięża namiętność karyerowiczowska, w panience — poczucie obowiązku i honoru. Szkoda tylko że oboje z góry, zawczasu tego nie przewidzieli i dokładniej nie zdebatowali, — ale mniejsza o to: co przeżyli — to ich.

Niespodzianka rozwiązania wzmaga nawet poniekąd jego wrażenie, i kto wie, czy w ostatniej instancyi nie decyduje o losie powieści. Samo wrażenie, bądź co bądź, jest dość mocne. Pochodzi ono w danym razie z dwu źródeł. Pewne struny duszy ludzkiej — tęsknota, żal, wspomnienie bolesne, gotowość do poświęceń i t. p. — drżą i dźwięczą w nas tkliwie i donośnie bez względu na rodzaj i natężenie uderzenia, niezależnie od tego, czy je po raz setny i tysiączny coś najzupełniej prostego, znanego i utartego — pieśń dziadowska, pozytywek, legenda Częstochowska, czy też wzniosła poetycka zwrotka Chopina. Podoba się nam, podobać się zawsze będzie — i obstające przy swym zagonie kopnięcie nogą chłopa w „Placówce“ Prusa i błogosławiące Witoldowi pod Grünwaldem widmo na płótnie Mateyki i gwiznięcie ulicznika na Lesznie w sensie odwiecznej przypowieści: „póki świat światem, nie będzie Prusak Polakowi bratem.“ Nie możemy też być obojętnymi i na motyw, zamykający „Panienkę“, — osobliwie, gdy się widzi zasadniczą jego zgodność z charakterem Jadwisi i gdy się rozumie, że postać ta jest z całego personelu powieści najbardziej żywą i prawdziwą, to jest wysnutą z obserwacyi bezpośredniej, bądź wewnętrznej, bądź zewnętrznej. Kilka drugorzędnych podporek ozdobniczych, kilka podmalowań, quasi-estetycznych zakradło się tu jedynie z powodu sfabrykowanej na prędce miłości; rażącą jest szczególniej dysonansowa barwa przeholowanej po dziecinnemu kokieteryi

w rozmowie np. nad morzem (II, 23—231) kilka frazesów dziewczyny wygląda zupełnie tak, jak kiedy kto karmin położy na usta dobrej fotografii podlotka. Ale w cechowych, znamiennych rysach sylwetki, w postawie, ruchach, wyrazie jej fizyognomi moralnej dobitnie się ujawnia ta jednorodność pierwiastków składowych, na indywidualność się składających, którą artyzm zebrać i wypielęgnować może jedynie na gruncie doświadczeń rzeczywistych, życiowych, — bez względu i różnicy, czy wzorowanie było subjektywne, a odtwarzanie objektywne, czy też naodwrót.

Są w premiowanej powieści Jeleńskiej i inne także jeszcze tegoż pochodzenia „kawałki natury i duszy ludzkiej". Otaczają one jednak przeważnie Jadwisię, jej się trzymają, dokoła niej krążą, — rozpraszają się zaś i rozcieńczają w miarę, jak się oddalają od dworu hrabowskiego. Wiszą tu i owdzie w oparach Prypeci, czepiają się obłoków i promieni słońca, skrzypią po drogach wyboistych, migocą kosami i koszulami chłopów na łąkach i poletkach mokradłowych, przebiegają po twarzach, drzewach i strzechach najbliższego z Hrabowem sąsiedztwa, — ale rzedną i bledną za drugą już i trzecią miedzą domowej i salonowej zażyłości Wielogrodzkich. Płową, krzaczastą czuprynę studenta Jarońskiego, bawiącego w Hrabowie na wakacyach, okrąglutką ciocię Basię, wyrąbanego, jak siekierą, rządcę Wilczaka, zgarbioną i utykającą na jedną nogę figurę Onufrego Wielogrodzkiego nieźle jeszcze widzimy, dopóki ta czeladka Boża siada do stołu, częstuje się wódką i zakąsuje, — ale i ona rozczynia się natychmiast w ogólnikach bezbarwnego oderwania i teoretycznej banalności, jak tylko rozmowa wysforuje się poza obręb powszedniości dotykalnej. Że zaś autorka słusznie jest przekonaną, iż Polesie od wieku XIV i XV należy do świata cywilizowanego, chętnie przeto i często pozwala mieszkańcom i gościom Hrabowa na górniejsze nieco wzloty... Tym sposobem powieść rośnie, wydłuża się, płynie — wśród dyalogów komponowanych z głowy, po przez akcyę gołosłownie opisową, falistą, soczystą, potoczystą, ulegającą od początku do końca naciskowi założeń i widoków t e m a t o w y c h.

Temat czuć wszędzie, nieustannie. Tematem, nie osobą, jest też i sam Kański. Nie będziemy się upierali przy twierdzeniu, że coś podobnego zawitać mogło z Petersburga nad Prypeć. Owszem, Jeleńska spostrzedz gdzieś mogła gatunek Kańskiego w przelocie, posłyszała coś o nim w towarzystwie, pomówiła z nim nawet może kilka razy o tem i owem na przechadzce. Nie zmienia to istoty rze-

czy. W Kańskim mamy przed sobą kołek, niemiłosiernie obładowany i oklejony rozmaitemi ogłoszeniami sentymentów, rozumowań, rozczarowań i uniesień, obstalowanych najrozważniej a książkowo. Jest to lalka starannie wypchana, worek ćwiczeń szkolnych do poprawienia przez Jadwisię—ćwiczeń, zgarniętych pod czapkę, tużurek i rękawiczki, niezbędne do odegrania z góry wytkniętej i obmyślanej dlań roli zszarganego już i otrzaskanego, lecz stopniowo nawracającego się, kochanka... Nawraca się Kański w kierunku łagodnie zacieniowanej i ostrożnie wyidealizowanej swojszczyzny,—i to jest najmocniejsza racya jego istnienia w powieści. Otrzęsiny, postrzyżyny, odrodziny odbywają się dość łatwo i porządnie podwpływem rzetelnie pięknych oczu Jadwisi—„dużych, szarych, o czarnych rzęsach, spoglądających śmiało, ale bardzo łagodnie", — pod wpływem usteczek jej, prawdziwie czarujących, na których „osiadł wyraz wielkiej słodyczy, ale i smutku zarazem". Ustom pomógł też cokolwiek klimat miejscowy, — zwłaszcza, że lekarz petersburski pokazał się tkliwym na zmiany powietrza — nie przymierzając, jak słoma, wyrzucona z siennika na wiatr. Zdradził się z tem kawaler na samym zaraz progu Polesia. Opuściwszy Petersburg w marcu, woła on za pierwszem ziewnięciem wilgoci od strony Prypeci: — „A to kraj!" — i nastawia futrzanego kołnierza, jak gdyby wczoraj jeszcze kąpał się w słońcu zatoki neapolitańskiej. I cóż powiecie?—zaledwie Kański ujechał (prawda, że na wózku żydowskim) dwie, trzy wiorsty poleskie, już zalotne podmuchy i podszepty pól zrobiły swoje, już młodzian, „oddychając głęboko", wychyla na ich spotkanie „czoło obnażone" (porównaj str. 17 z 18-ą).

Reszta „Panienki" poświęconą została polskiej architekturze powieściowej, — rodzinnemu naszemu romansopisarskiemu budownictwu, to jest: samotnym rozmyślaniom postaci głównych. Rozmyśla dużo Jadwisia — za siebie przeważnie i za Hrabów; najwięcej wszakże rozmyśla za Kańskiego autorka, niezmiernie przytem czujna na każde w toku tych dum — założenie nogi na nogę, na każde sięgnięcie ręki do papierośnicy, na każdy wypuszczony z pod wąsików kłębek dymu — w oświetlonym lub ciemnym pokoju. Czy takie otwieranie duszy bohatera, jak koperty w zegarku, ma być psychologią powieściową? — Metoda badania w każdym razie jest zanadto dziecinną, skoro na cyferblacie znajdujemy zawsze tę godzinę, minutę i sekundę, jakiej potrzebujemy, jakiej autor żąda, jaka się mu podoba. Obok tego ogromnie ciekawą jest kwestya zasadnicza: kto tu właściwie z kieszeni zegarek wyjmuje i kto nań patrzy, czy sam podmiot, nurzający się w przedmiocie swych rozmy-

ślań, czy też jakieś X, śledzące „przez wywaloną w pokoju ścianę" zarówno umysłowe, jak i cielesne, poruszenia dumającego? — Oto zaplątany w rękawie paltota Kańskiego komar wypełzł na poręcz krzesła, z poręcza na szyję lekarza, zapatrzonego od godziny na księżyc i wysmażającego się miłośnie we własnym podmiotowym sosie — z papierosem w zębach. Może być — zgadzamy się na to, że dusza Kańskiego wie w tej chwili i najdokładniej zdaje sobie sprawę z tego, o co jej chodzi (a z nią, przez nią i my również o tem wiemy); ale jakim objektywnym lub subjektywnym sposobem wiedzieć jeszcze możemy o dobierającym się do szyi komarze?.... I z takich to niemądrych, zbytecznych, na nic nieprzydatnych pogawędek pisarza z samym sobą tworzy się poważna, rozległa gałąź piśmiennictwa!

Trudna rada. Nigdy inaczej nie pisano u nas powieści. U narodów postronnych czyniono liczne i spotęgowane usiłowania w celu skupienia rozbitych i roztrzęsionych trybów wytwórstwa powieściopisarskiego przy jednym biegunie psychologicznym, — bądź podmiotowo-autobiograficznym w Niemczech np., Anglii, dziś w Skandynawii, bądź pragmatyczno-przedmiotowym, jak we Francyi (Flaubert). Powstały stąd style, szkoły, kierunki pięknoznawstwa narodowego,—powstały nadzieje wielkie i talenta świeże. My szliśmy i idziemy najbezpicezniej, najspokojniej szerokim, utartym gościńcem dowolności mieszanej, eklektyczno-zamętnej, subjekt-objektywno przelewnej i wylewnej. Przeżyło to Kraszewskich i Korzeniowskich, wyprzedza Sienkiewiczów i Głowackich, powywraca Sieroszewskich i Żeromskich. Jeleńska roztropnie sobie postąpiła, obierając w „Panience" tor tak wydeptany, wymierzony, powszechnie używany, każdemu dostępny. Inaczej, najniezawodniej rozminęłaby się z nagrodą konkursową.

Hodi.

Jan August Kisielewski. W sieci. Wesoły dramat w dwu częściach, a pięciu aktach. Kraków. 1899.

Odrazu bijącą w oczy słabą stroną dramatu „W sieci" jest wielomówność działających w nim osób. Wszystkie one mają tę wspólną wadę, że nie lubią się streszczać. Zwłaszcza, gdy im wypadnie wyrzucić z siebie falę żalu lub oburzenia, potrzebują nieskończenie długich tyrad, wstrzymując przez to bieg akcyi i osłabiając wrażenie, jakieby ich wynurzenia mogły wywrzeć na słuchaczu, gdyby były ujęte w formę treściwszą. Sztuka, przeznaczona na

scenę, a dorównywająca rozmiarami wielkiej jednotomowej powieści — toż to rzecz niesłychana! Ale tę jej wadę pokrywa ogół zalet.

O panu Kisielewskim od roku słyszymy bardzo pochlebne zdania. Czy jest niezwykłym obserwatorem, zdolnym odkryć jakie nowe znamiona w usposobieniu człowieka? Czy jego poglądy na świat, życie i społeczeństwo są oryginalne, świeże? Czy w sposobie zaglądania do głęboko ukrytych tajników duszy ludzkiej jest coś uderzającego? — Nie. Wszystko, co nam p. K. daje w swych utworach, „już było". A jednak czytamy je z takiem zajęciem, jakie towarzyszy tylko czytaniu utworów, noszących na sobie piętno prawdziwego talentu. Brak wybitnej oryginalności pan K. wynagradza szczerością, swobodą, nieoglądaniem się na formułki, „tradycyą" uświęcone, i pewną pomysłowością w odtwarzaniu typów już znanych, których rysunek wzbogaca mnóstwem szczególików nowych, na pozór nieznacznych, nawet odrazu niedostrzegalnych, a tak licznych, że, krzyżując się, jak potoki, tworzą one gęstą siatkę zajmującej charakterystyki. Autor posiada dar wcielania się w każdą ze spłodzonych przez siebie postaci, żyje w niej i działa, poruszając sprężynami jej duszy — a co chwila odsłaniając jakąś nową jej stronę, nadaje starym typom pozory świeżości. Wielkie poczucie prawdy, przymiot tak cenny w dramatopisarzu, sprawia, że bohaterowie pana K. są ludźmi żywymi, z ciała i krwi, choć może nieco ujaskrawionymi w wykonaniu. Cobym uważał za cechę, wyodrębniającą naszego dramaturga, jako obserwatora, i nadającą mu fizyonomię oryginalną, to stanowisko, jakie zajął wobec ludzi, wśród których najchętniej się obraca i których życie obrał sobie za przedmiot swych spostrzeżeń. Przyjaciel postępu, dążenia do wyżyn duchowych, wróg konwencyonalizmu, obłudy i filisterstwa, chłoszcze on bez miłosierdzia natury, pełzające po nizinach, i występuje, jako gorący rzecznik w obronie istot wyższych, miotających się w pętach życia filisterskiego; ale wielkie ukochanie dziatwy Apollina bynajmniej nie przeszkadza mu biczować jej ironią, gdy potrzeba, i to nawet dosyć boleśnie. Sam artysta, pan K. przyznaje „kapłanom sztuki" wiele zalet, wynoszących ich ponad poziom ogółu — lecz ani na chwilę nie przestaje być satyrykiem, i gdy czytelnik najmniej tego się spodziewa, zrywa nagle zasłonę i ukazuje mu wady i śmieszności swoich ulubieńców. Jakże prawdziwe są te dzieci muz w oświetleniu pana K.! Noszą one w łonie iskrę Bożą, moc natchnień, zapał, rozpęd, gotowy druzgotać wszystko w pochodzie do ideału, wielkie ukochanie sztuki, zdolność odczuwania piękna, nienawiść powsze-

dniości i wszelkich „sieci”, krępujących polot ducha — ale też i słabość charakteru, brak odwagi wobec przeszkód, zagradzających drogę do celu, a nadewszystko ogromny, przeogromny egoizm, trzymający wysoko wzniesiony sztandar: „Wszyscy dla nas — my dla nikogo. Poza sztuką nic zgoła dla nas nie istnieje, żadne obowiązki”. Ludzie to niezmiernie interesujący, ale nie wzniecający w nas uczuć ciepłych. Ich życie, pełne burz i zatargów z poziomem, często głupiem, otoczeniem działa na nerwy, nie poruszając jednak tkliwych strun duszy. Ten Jura, z dumą „plujący” na wszystkich i wszystko, a sięgający do kieszeni ojca-filistra „ta Julia, rozpaczliwie wydzierająca się z „sieci” wstrętnej powszedniości w górne sfery i gotowa „wydrapać oczy matce” za chęć zakucia jej w złote kajdany życia codziennego, a tchórząca wobec widma nędzy, nieodłącznej od doli artystycznej — nie sąż to rzeczywiści artyści dzisiejsi? — Nie znaczy to jednak, aby sztuka „W sieci” byta zupełnie pozbawiona pierwiastku uczuciowego. Owszem, tu i owdzie są w niej rozrzucone ustępy, od których wionie ciepło liryzmu. Do takich zaliczam np. scenę aktu 3-go, w której Jerzy opowiada o swojem widzeniu się z ciężko okaleczonym ojcem, — również bardzo przejmujące jest w akcie 4-ym opowiadanie Serby o Jerzym. Te sceny dowodzą, że, jakkolwiek autor częściej szydzi, aniżeli się rozczula, stać go jednak i na rzewność.

Wogóle dramat „W sieci” odsłania nam w osobie pana Kisielewskiego obserwatora o zacięciu satyrycznem, pisarza, obdarzonego temperamentem prawdziwie scenicznym i talentem bardzo wybitnym, bardzo pięknie zapowiadającym się dla teatru. Do doskonałości sz. autorowi jeszcze daleko, ale dojdzie do niej, gdy talent jego zmężnieje, zdobędzie spokój artystyczny i poczucie miary. Indywidualny język pana K., z umysłu gwoli realizmowi utrzymany w tonie swobodnym i ściśle konwersacyjnym, nie jest obrazowy — za to ożywiają go błyski prawdziwego dowcipu; wiele zwrotów charakterystycznych autor z ust przedstawicieli świata artystycznego po raz pierwszy przeniósł do dramatu. Nie można wszakże powiedzieć, aby jego język pod względem czystości był wolny od zarzutu. Przeciwnie — i on miota się w bardzo gęstej „sieci” błędów, germanizmów i galicyanizmów. Nie wyszczególniając dla braku miejsca wszystkich, poprzestajemy na przytoczeniu niektórych. Autor na sposób niemiecki stale kładzie przymiotniki przed rzeczownikami w takich zestawieniach jak: kolońska wóda, ludowa poezya, ludzka dusza i t. d.; pisze: pchała was będzie, dopuszczał będzie, i t. d.; my nie słyszały i t. d.; zajmywać się; wodę wsiąknąć do nosa; boginia;

we Wiedniu, we futrze, we wodę i t. d.; szkandal i szkandał; szkarpetki; list polecalny; nie pytają, a (= lecz) myślą; ten zapałek (= zapałka); wiem, że tego nie powinno (= nie można); zmarzłem w palec; czyż tają ci cokolwiek; Pan tego zrobić nie śmiesz (wstrętny germanizm, zam: nie waż się); szwarc (= błyszcz), cwikier, tizarz; ja jestem kryty (??) i t. p., i t. p.

Wiktor Luboradzki.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Kazimierz Laskowski:* **Licytanci.** (Szkice z życia, Warszawa. Nakładem księgarni Paprockiego i S-ki, 1900, Str. 118). Tak plastycznie odtworzyć sylwetki żydów-faktorów, karczmarzy, lichwiarzy, jak to uczynił autor „Pająków", może tylko pisarz, rozporządzający większym od niego talentem i lepszą znajomością życia pospólstwa żydowskiego. Taka myśl (sądzę) powinna była nasunąć się autorowi „Licytantów", a wtedy, gdyby porównał swoją „pracę" z utworami Junoszy, niezawodnie zatrzymałby był „Licytantów" — w tece. Jest jednakże w zbiorku szkiców p. Laskowskiego kilka („Pierzynkowy interes", „Pamiątka", „Podbijacz") godnych uwagi ze względu na temat. W pierwszym doprowadzony do rozpaczy przez lichwiarzy biedny rzemieślnik rzuca się na zgraję „licytantów", skupujących resztki jego mienia... „Pamiątka", opracowana artystycznie, mogłaby być perełką pośród nowel ostatniej doby... „Podbijacz" — z punktu widzenia społecznego byłby obrazkiem zajmującym... Lecz — wszystko warunkowo, gdyż takie, jakimi są, szkice p. Laskowskiego, nie mają ani wartości, ani znaczenia. Autor nie uznaje prawideł stylistycznych, nie chce wiedzieć o tworzeniu artystycznem, słowem — pracuje bez pożytku. Szkoda!

L. R.

= *Stanisław Bełza*: **Listy z Sycylii.** (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1900, Str. 245). „W tem, co wam daję, nie szukajcie studyów głębokich ani nad przeszłością, ani nad warunkami życia miasta (Palermo) i kraju. Nie szukajcie. Luźne spostrzeżenia, wrażenia, jakie w mej duszy piękno przyrody i sztuki wywarło, uwagi, jakie w mym umyśle na widok tego i owego się zrodziły — oto wszystko"... Zdanie to na wstępie „Listów z Sycylii" umieszczone jest niejako zastrzeżeniem się autora, dla czytelnika zaś — mia-

rą wymagań. W tym duchu następuje szereg opisów, spostrzeżeń i wrażeń osobistych. Pierwsze cechuje prostota, staranie o styl barwny, o obrazowość, które przeważnie się autorowi udają. Z pośród rzeczy widzianych umiał p. Bełza wybrać najciekawsze, a będąc wrażliwym na piękno sztuki, jej zabytki, na czar przyrody z jej bogactwami — daje obrazki wdzięczne, słoneczne, jasne, pełne pogodnego optymizmu.

Książkę zdobią umiejętnie dobrane illustracye.

L. R.

— *Adolf Dygasiński.* **Z naszej niwy**, nowelle, Warszawa, nakładem księgarni A. G. Dubowskiego, 1900, str. 120. Utwory nowelistyczne Dygasińskiego mają zasłużoną popularność wśród czytelników. Dusza chłopska i zwierzęca oto dwa tematy, w których najbardziej się lubuje autor „Pióra"; i trzeba powiedzieć, że utwory, z tej niwy wzięte, najlepiej mu się udają. Dowodem tego jest niniejszy zbiorek. Najlepsze w nim cztery pierwsze nowelki: „Maciek Fuła" przedstawia dobry i względnie do rozmiarów obrazka wypukły typ stróża dworskiego, chłopa „robotnego", który jednak przez wszystkich jest poniewierany i teroryzowany — nawet przez własną żonę. Po pewnej awanturze, która mu do żywego dogryzła, opuszcza rodzinną wioskę, udaje się w świat i — zaczyna mu się dobrze powodzić. Po kilku latach powraca, przerobiony na „miastowego", pełen powagi wielkomiejskiej — i odrazu zjednywa sobie posłuch i poważanie. Byłoby to więc żartobliwe potwierdzenie przysłowia: „niema proroka w swojej ojczyźnie". Tytuł nowelki „Znajdka" mówi za treść; sierota Ulina, prześladowana przez los — no, i przez dziedzica, jest tu figurą tytułową i najbardziej uwydatnioną, inne — blade i banalne. Wcale niezłą jest również powiastka p. t. „Głód i sumienie", realistycznie odtworzony stan psychiczny biednego wyrobnika, który, skuszony sutą zapłatą, dopomógł bogatemu sąsiadowi do zbrodni, a teraz dręczy się i trapi, aż wreszcie, wiedziony wyrzutami sumienia, i siebie i wspólnika oskarża. Tyle o chłopie. Z nowelek „zwierzęcych" mamy tu tylko jedną p. t. „Wróble", pełen humoru, a zarazem i ciepłego uczucia obrazek życia, miłosnych zabiegów, trosk rodzicielskich tych szarych, a tak sympatycznych przyjaciół naszego rolnika. A że Dygasiński w tego rodzaju obrazkach celuje, „Wróble" więc stanowią prawdziwą ozdobę niniejszego zbiorku. Mniej udały się autorowi trzy ostatnie nowelki. „Żel" ma być obrazkiem napoły historycznym, napoły zaś symbolicznym. Jest to współzawodnictwo dwu geniuszów: złotego

pokoju i czarnego wojny. Kończy się tem, że złoty zasypia na tysiącolecie, czarny zaś nieci straszliwy płomień walki. Że tak jest w życiu — to jasne, jak na dłoni, i historya stwierdziła to dostatecznie. Ale co tu robią Pomorzanie, ich książę Żel, markgraf niemiecki Drako i owe dwie dziewice, Sławka i Miła, w które geniusze wcielają swego ducha? Owi Pomorzanie mogliby zarówno dobrze być Frankami lub Rzymianami: znają mitologię grecką na wyrywki, ba! mówią nawet po łacinie. Są tu jeszcze figury drugorzędne: błazen Miklos, pozujący na błaznów Szekspirowskich, więcej natrętny i nudny, niż zabawny, i gęślarz, obżarciuch i pijaczyna z czerwono-fioletowym nosem — figury najzupełniej chybione. „Pan referent", piastujący swój wysoki urząd w Pińczowie, dający się wszystkim kolejno wyzyskiwać, nad miarę dobry i łatwo pozwalający się wzruszać, pomimo rozwlekłości i bezbarwności tematu jest przynajmniej sympatyczną, choć szablonową postacią. Nie można tego powiedzieć o bohaterach ostatniej noweli p. t. „W parafii świętego Huberta", którą radzibyśmy widzieć zupełnie usuniętą ze zbiorku. Rzecz sama nadaje się do kroniki „wypadków" i „zagadkowych śmierci" skandalicznego kuryerka. Miłość dwu braci do jednej kobiety, podwójne bratobójstwo, spełnione na polowaniu — jednem słowem cała osnowa „Narzeczonej z Mesyny" Schillera, ale co dramat, i to dramat klasyczny, to nie nowelka... Fałszywie pojęty realizm więcej jeszcze, niż w „Piórze", przykre robi wrażenie.

H. G.

— *Władysław Syrokomla* (*Ludwik Kondratowicz*). **Wybór pism** z portretem autora, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1900, 16-⁰, str. 482. Wydawnictwo biblioteczki miniaturowej powiększyło się o jeden tom, zawierający wybór pism Syrokomli. Sympatyczna postać „lirnika wioskowego" zasługuje ze wszech miar na tego rodzaju popularyzacyę. Serdeczny śpiewak „Lalki", niekunsztowny formą, lecz głęboki uczuciem, a zacny tendencyą, obrońca tych, co u biesiadnego stołu życia u szarego zasiadają końca, miły gawędziarz i czasem facecyonista, głęboko i szczerze religijny, a mimo to nieraz za pan brat obcujący zarówno z Horacym i Owidyuszem, jak i ze świętymi, ma już w społeczeństwie naszem szerokie koło, jeżeli nie wielbicieli, to zwolenników i zapewnioną sympatyę. P. Hoesick, któremu firma wydawnicza poleciła wybór pism i zredukowanie dziesięciu tomów do jednego, wywiązał się ze

swego zadania na ogół zupełnie dobrze. Przedewszystkiem więc odrzucił przekłady, kwalifikujące się do osobnego wydawnictwa, któreby uprzystępnieniem pieśni łacińskich wybitnych naszych poetów XVI wieku mogło przynieść korzyść niemałą. Dalej pominął zupełnie dramaty — i słusznie, ani jeden z nich bowiem, ani historyczne („Kasper Kaliński", „Wyrok Jana Kazimierza"), ani współczesne mimo najzacniejszej tendencyi czy to moralnej, („Chatka w lesie), czy też społecznej („Wiejscy politycy"), jako rzeczy słabe ze strony formalnej, nie kwalifikują się do popularyzacyi. Z dłuższych utworów na pierwszem miejscu słusznie p. Hoesick pomieścił „Urodzonego Jana Dęboroga", jako najlepszy i najpełniejszy obraz indywidualizmu poety. Nie możemy natomiast zgodzić się na przytoczenie *in extenso* całego „Margiera"; nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że Kondratowiczowi na epopeę lub choćby poemat historyczny talentu ani odpowiedniego przygotowania nie stało; i chociaż po tych niebezpiecznych drogach prowadził go bohaterski duch „Grażyny" i „Konrada Wallenroda", ta wycieczka w krainę przeszłości nie udała mu się zupełnie. Obok „Margiera" możnaby z równem prawem przytoczyć „Córę Piastów", pełną francuskiej, nie zaś litewskiej kurtuazyi, „Starostę Kopanickiego", a bardziej jeszcze „Stare wrota", nie pretendujące przynajmniej na wysokie epickie wzloty. Po usunięciu „Margiera", jako rzeczy zupełnie chybionej i bezwartościowej, stałoby więcej miejsca na gawędy. Gawęd przytoczył p. Hoesick dość dużo; dałoby się jednak jeszcze to i owo dołączyć. Tak np. z cyklu Napoleońskiego, który dał nam takie prześliczne obrazki, jak „Janko Cmentarnik" i „Kapral Terefera", brak tu nie mniejszą posiadającej wartość, a dużo szczerego uczucia, gawędy „Ułas, sielanka bojowa z błot litewskich". Nie widzimy tu również tych gawęd, najbardziej charakterystycznych, w których poeta maluje życie tego najbardziej przez siebie ukochanego tłumu szlachty szaraczkowej, jak „Dyfferencya"; „Trzy gwiazdki", „Trędzlowe", a zwłaszcza „Zaścianek Podkowa", brak również jednej z najpiękniejszych pod względem moralnym — „Chodyka", która tak wysoko podnosi odpowiedzialność człowieka przed trybunałem własnego sumienia. Gawędy, sympatycznie przedstawiające typy uliczne, jak „Księgarz uliczny", „Tandeciarz", także domagałyby się swego miejsca, jak również i te, które ze względu na ich tendencyę możnaby nazwać moralno-religijnemi, jak np. „Wielki Czwartek". Szereg gawęd humorystycznych, a ożywionych zacną myślą, mogłyby powiększyć: „Dokumenta", „Czarno i biało", „Kojec z kurczętami" i t. d. Na wszystkie te wy-

żej wymienione utwory znalazłoby się dość miejsca, gdyby usunąć „Margiera”, zabierającego czwartą część tomiku. Szereg utworów lirycznych, dobranych bardzo starannie i umiejętnie, najwłaściwiej zakończyłyby: „Poezye ostatniej godziny” i „Melodye z domu obłąkanych”, jako łabędzi śpiew „lirnika wioskowego”, który wedle swej obietnicy „skonał, grając na lirze”. Forma zewnętrzna tomiku nie pozostawia nic do życzenia: papier piękny, druk czysty, choć drobny, wizerunek poety starannie odrobiony. Biblioteczka miniaturowa już w obecnym swoim stanie może stanowić prawdziwą ozdobę każdego księgozbioru.

H. G.

= *Prof. Dr. Ludwik Gumplowicz.* **Ibn Chaldun**, socyolog arabski XIV wieku. Odbitka z „Przeglądu Filozoficznego”, Warszawa, 1899, str. 18 in 8-o. Chcąc w pewnej mierze uzasadnić myśl, „że przedmiotem socyologii, jako odrębnej nauki, powinny być wzajemne stosunki grup społecznych i prawidłowe ich na siebie oddziaływanie” — myśl, która znaną już jest światu pod mianem „teoryi Gumplowicza”, powołuje się autor na powagi, właściwie zaś na jedną tylko powagę — socyologa arabskiego, Ibn Chalduna, który na zasadzie własnych spostrzeżeń stwierdza tę jego teoryę. Ibn Chaldun, urodzony w roku 1332, w 20 roku życia pełnił już obowiązki sekretarza u sułtana Abu Ishaka II w Tunisie; długi czas przesiedział w więzieniu, jako więzień polityczny; zmarł w roku 1406. Jak można wnosić z rozprawki Gumplowicza i z przytaczanych przez niego licznych cytat, Ibn Chaldun przed 500 laty wypowiadał te same twierdzenia, które dziś jeszcze uchodzą za nowe i z trudem zaledwie wywalczają prawo istnienia, — i uzasadniał je bynajmniej nie gorzej, jak dzisiejsi uczeni. Wyłożywszy poglądy arabskiego socyologa i wykazawszy ich wielkie podobieństwo do swojej własnej i wogóle do najnowszych teoryi socyologicznych, w końcu pyta autor: „czy Ibn Chaldun wyprzedził swój czas o pół tysiąca lat, czy dzisiejsi uczeni w sprawach socyalno-politycznych o tyleż lat pozostali w tyle?” Rozstrzyga zaś to pytanie, wprowadzając trzecią możliwość, że sprawy społeczne nie zmieniają ani istoty, ani charakteru. *Eadem et non aliter!*” czyli podlegają pewnym niezmiennym, choć nieznanym prawom; „więc nic dziwnego, że i przed 500 laty te same zjawiska w jakiejś jasnej głowie tak się odbiły, jak się dzisiaj odbijają w jasnych głowach — a w ciemnych mózgownicach wtedy tak samo się przedstawiały, jak w niezliczonych ciemnych mózgownicach naszego w y s o k o u c y w i l i z o w a n e g o schyłku wie-

ku". To też przekonania i myśli Ibn Chalduna ściągnęły na niego prześladowanie. „Nie wieleśmy od tego czasu postąpili!" powiada Gumplowicz. *W. M.*

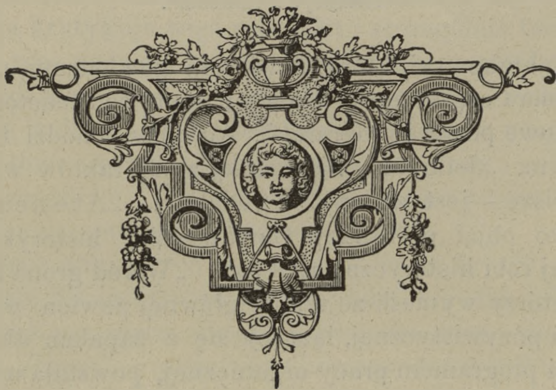
— *Ks. Ignacy Charszewski.* **Album katolickich uroczystości** Płock, r. 1900. Nie jest to systematyczny wykład liturgiki, lecz zbiór luźnych szkiców, obrazujących rok kościoła katolickiego w szeregu opisów jego uroczystości. Znajdzie tu czytelnik nie suche tylko wiadomości liturgiczne, ale, jak powiada sam autor, przedewszystkiem „abstrakcyjne dogmaty wiary, ubrane w strój obrzędowy, jak również dogmatyczne wypadki dziejowe w zwierciadle obrzędów odbite; następnie—analizę samych zdarzeń religijnych oraz wyłuszczone z nich prawdy wiary i uwagi etyczne". Że zaś autor, znany ze swych prac publicystycznych, umie rzecz każdą ująć lekko, jasno i barwnie, więc „Szkice" jego mogą stanowić miłą i ciekawą lekturę dla każdego domu katolickiego. „Album" illustrują liczne kopie z arcydzieł rzeźby i malarstwa religijnego. Jedna uwaga. W języku polskim przymiotnik kładzie się po rzeczowniku, dlatego też tytuł winien brzmieć: „Album uroczystości katolickich", nie zaś „katolickich uroczystości". *W. K.*

— *G. Zenger.* **Kriticzeskija zamietki k niekotorym miestam w łatinskich stichotworenijach wnow' izdannych polskich pisatielej XVI i XVII wiekow** [1]). „Notatki krytyczne" prof. Zengera dotyczą t. zw. krytyki tekstu. Część I traktuje o wydawanem przez Ak. Krak. „Corpus antiquissimorum poëtarum Poloniae Latinorum usque ad Ioannem Cochanovium"; autor uwzględnia tu głównie teksty Krzyckiego, Pawła z Krosna i Jana z Wiślicy. Część II poświęcona jest tekstom, zamieszczonym w zeszycie V wydawanej przez prof. Wierzbowskiego „Biblioteki zapomnianych poetów i prozaików polskich XVI—XVII w." (Zeszyt ten obejmuje wiersze łacińskie „dziewicy polskiej", Anny Memoraty, z lat 1640 — 1644 oraz utwory, napisane przez wielbicieli jej talentu). W części III autor proponuje kilka zmian w tekście utworów łacińskich, wydanych przez M. Sasa w tomie XVIII „Rozpraw wydziału filologicznego" Akad. Krak. W czę-

[1]) Praca ta została wydrukowaną w piśmie zbiorowem ku uczczeniu prof. Pomiałowskiego (Petersburg, 1896). Są też osobne jej odbitki, zachowujące wszakże paginacyę wyżej wzmiankowanego pisma. Egzemplarz takiej odbitki posiada biblioteka uniwersytetu warsz.; zawiera on poczynione przez autora rękopiśmienne sprostowania licznych błędów drukarskich.

ści IV autor mówi o wydanych w Starej Wsi 1892 r. utworach Sarbiewskiego. Publikacyę tę autor nazywa „pod wielu względami szanowną", nadmienia wszakże, że wydana pospiesznie i bez jednolitego planu, nie daje podstaw do krytyki metodycznej. Z tego też powodu autor co do niej ogranicza się jedynie na uwagach ogólnych. Część V stanowi zakończenie „Notatek". Autor wyraża tu życzenie, aby praca jego przekonała filologów polskich, że neolatyniści polscy XVI i XVII w. znali lepiej wiersz łaciński, niż, jak to przypuszczają dzisiejsi ich wydawcy. Do tej części dodane są dwa przypiski. W pierwszym autor napomyka o pracy p. Ig. Chrzanowskiego p. t. „Facecye Mikołaja Reya" i uzupełnia podany tam rodowód dwu anegdot. W drugim autor zaznacza, że następne po editio princeps (1523 r.) wydanie poematu Hussovianusa *De statura, feritate ac venatione bisontis* zostało sporządzone przez ces. bibliotekę w Petersburgu w r. 1855. Praca prof. Zengera, znanego ze swych badań na polu krytyki tekstu poezyi Horacego, jest cennym przyczynkiem do historyi naszej poezyi humanistycznej.

R. Sułowski.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

TREŚĆ: Uwagi „Czasu“ o „Ateneum“. — Rzut oka wstecz. — Stańczycy i pozytywiści. — Ich cechy, wady i zasługi. — Program demokratyczny i ludowy. — Tradycye „Ateneum“.

„Czas” krakowski, który, nawiasem powiedzmy, o stosunkach naszych zabiera często głos, zamieścił niedawno felieton z Warszawy, p. t. „Nowe pisma i programy”. Autorowi chodzi tam głównie o Ateneum. „Jednym z najważniejszych faktów w ruchu literackim — pisze —jest zmiana w redakcyi „Ateneum”, której kierownictwo objął p. Ignacy Chrzanowski, historyk” literatury.

Później robi historyczny rzut oka. „Wśród grona ludzi—mówi „Czas” — którzy wynieśli ze szkoły głównej pewien wspólny podkład filozofii pozywistycznej, łączący się z zapałem dla nauk przyrodniczych i programem pracy organicznej, powstała myśl stworzenia pisma naukowo-literackiego, któreby dało wyraz ich usiłowaniom zbiorowym. Była to chwila, kiedy pod sztandarem gorąco wypowiadanych haseł stanęła „młoda prasa” do boju z „zaśniedziałym romantyzmem”, wywołując w dziennikarstwie warszawskiem okres bujnej żywotności. Talenty młode, śmiałe zaciągały się do wrogich obozów, gdyż obok „postępowego” stanęło młode stron-

nictwo „konserwatywne", krzyżowały się artykuły pierwszorzędnej miary, świadczące o zdolności i umysłowem wyrobieniu przeciwników".

Zaznaczywszy, że grono historyków, ekonomistów i przyrodników, do którego należeli Spasowicz, Pawiński, Chmielowski, Łaguna, Smoleński i wielu innych, w ruchu polemicznym nie brało udziału, że echa dawnych walk przebrzmiały i niezmiernie szybko nastała reakcya przeciwko poglądom, poczytywanym w młodości przez pozytywistów za dogmat, autor, podpisany „Eska", tak charakteryzuje ostatnią epokę społeczną i umysłową: Rozeszły się koła przyjaciół, życie przeszło po przez wiele „kwestyi", zmalały różnice między przeciwnikami, zbliżyły się pozycye, wiele się kantów starło, a wśród zmienionych warunków zagadnienia nowe, politycznej natury, inaczej ugrupowały ludzi, nie wskrzesiwszy jednak świetnej doby rozwoju literackiego". P. Eska tonem stanowczym zapewnia, że „Ateneum" jeszcze na kilka lat przed wyjściem Chmielowskiego skończyło okres działalności wpływowej i właściwą swą rolę i że później egzystowało przez obowiązek wobec polskiej nauki i literatury. Dalej przyznaje wszakże, iż ma ono w historyi naszej umysłowości dobrze zapisaną kartę zasługi. Dziś nie może iść nieprzerwanie w tym samym kierunku, gdyż straciłoby racyę bytu, nie odpowiadając duchowi czasu; istotnie też przebywa przeobrażenie, z którego w chwili przejściowej trudno sobie jeszcze zdać sprawę dokładnie, ale które powinno było skrystalizować się w prospekcie.

P. Eska krytykuje więc prospekt i szczególnie ten jego ustęp: „Ateneum" nie podziela tych fałszywych uogólnień, które — z nauk przyrodniczych — na grunt życia społeczno-duchowego przenoszą zasadę, iż dla wątłych i osłabionych niemasz miejsca na świecie, że, co słabe i biedne, powinno pójść „na krew i pokarm" temu, co mocne i szczęśliwe. Po nad prawami, które rządzą naturą, panują inne potęgi — moralne, wyższego życia".

„W szlachetnych tych wyrazach — pisze krytyk — mieści się program raczej dla instytucyi dobroczynnej, niż dla miesięcznika".

Zatrzymałem nieco uwagę czytelnika przy spostrzeżeniach i wywodach „Czasu", a raczej jego korespondenta z Warszawy, ponieważ potrąca on o niektóre motywy zasadnicze i obok pewnych sądów trafnych wypowiada zdania błędne i fałszywe.

Nie bez podziwu zaznaczamy najpierw, że pozytywiści warszawscy doczekali się nareszcie uznania na szpaltach „Czasu", który z nimi długo, systematycznie i gorąco wojował, który ich oskarżał o wszelkie grzechy, wystawiał, jako trucicieli ducha młodych poko-

leń, jako burzycieli ustroju społecznego, religii, moralności. I dziś ten sam „Czas" pisze, że mieli oni talenta młode i śmiałe, że „krzyżowały się tam artykuły pierwszorzędnej miary, świadczące o zdolności i umysłowem wyrobieniu przeciwników", i że to wywołało w dziennikarstwie warszawskiem okres „bujnej żywotności".

Pozytywiści, jako obóz społeczny, po części nawet, jako szkoła naukowa, dawno już u nas nie istnieją, uznanie „Czasu" przyszłoby zatem późno, choć lepiej późno, niż nigdy. Lecz między organem stańczyków krakowskich a pozytywistami warszawskimi antagonizm był zbyt jątrzący, i nieraz jeszcze stare namiętności się odezwą.

Rzućmy teraz okiem wstecz. Autor artykułu nazywa okres pozytywizmu „świetną dobą rozwoju literackiego", która się już nie powtórzyła. Niewątpliwie. Nie było po prostu w naszych warunkach okoliczności i miejsca dla drugiej takiej epoki, jak epoka pozytywizmu. Każdy okres historyczny wysuwa na czoło ludzi z odpowiedniemi kwalifikacyami, charakterami i temperamentami.

Lecz ich rola się skończyła. Zarówno pozytywiści w Warszawie, jak stańczycy w Krakowie, nie mają już oddawna nic nowego społeczeństwu do powiedzenia, i, jeżeli na pierwotnej podstawie pragną swój byt i wpływ — jak stańczycy—przedłużyć, to zawdzięczają to przeważnie sile rozpędu. Życie przechodzi nad nimi do porządku dziennego.

Stańczycy, którym nie brakuje ludzi utalentowanych i politycznie przenikliwych, którzy rozumieją znaki czasu na niebie i na ziemi, zobaczyli grożące im od lat kilku niebezpieczeństwo, kiedy agitacya ludowa i agitacya socyalistyczna, owładnąwszy masami w Galicyi, zaczęła podważać fundamenta, i zapowiedzieli ewolucyę stronnictwa, między innemi (№ 33 „Kraju" z r. z.) zapowiedzieli program prac administracyjnych i ekonomicznych, mających wyjść między innemi z łona klubu konserwatywnego w Krakowie.

„Praca nad zrealizowaniem programu politycznego — czytaliśmy w przytoczonym numerze „Kraju" — zawierającego postulaty przedewszystkiem narodowościowe, pociągnęła za sobą zaniedbanie programu ekonomicznego. Wszystkie czynne siły były pochłonięte stosunkiem naszym do państwa; o pracy w kraju nie miał kto myśleć. Tem to tłómaczy się, że stronnictwo konserwatywne nie podjęło i nie przeprowadziło żadnej wielkiej reformy ekonomicznej.

Nie oceniono doniosłości kwestyi, drobnej własności ziemskiej, nie powzięto żadnego planu co do urządzenia finansów krajowych, nie przeprowadzono wreszcie podstawowej reformy administracyjnej".

Tej reorganizacyi stronnictwa będziemy oczekiwali, tymczasem zauważmy, że górująca idea stańczyków narodziła się z reakcyi przeciwko tradycyom, wierzeniom, skłonnościom i temperamentowi społecznemu, który ciężkie kilkakrotnie sprowadził klęski. Punkt wyjścia, jako polityczne hasło chwili, był logiczny i zapewne konieczny: stańczycy uregulowali lub przyczynili się głównie do uregulowania stosunku swojej prowincyi do państwa, przy bardzo sprzyjających, dodajmy, okolicznościach, stali się pierwszymi pozytywistami politycznymi w kraju, w którym polityka była dotychczas raczej antytezą, niż wyrazem pozytywizmu, lecz za mało korzystali z autonomii dla organicznego życia kraju.

Życie społeczne jednak, które posiada rozpęd siły żywiołowej, nie pozwoli się zamknąć w jednej formule i w jednym kierunku, gdyby nawet kierunek taki był rozleglejszy od stańczykowskiego. W ich teoryi politycznej, w ich stosunku społeczeństwa do państwa panowała ambicya stanowa uczynienia ze swojej warstwy i ze swojej partyi, ze swoich przywódców i swoich ludzi jedynego regulatora bytu i rozwoju. Nie pojęli tego, że epoka patryarchalna minęła niepowrotnie w dziejach, że wóz ewolucyi nie stoi na miejscu, lecz toczy się naprzód, i, gdyby jakiś cud wskrzesił instytucye patryarchalne, to nikt nie potrafi wskrzesić ludzi patryarchalnych.

Nie rozstrzygając w tej chwili, czy stronnictwo krakowskie dokonało już ostatecznie swojej karyery politycznej, czy stanęło u kresu swoich przeznaczeń, zauważmy, że stańczycy byli dogmatykami i nie chcieli czynić ustępstw, ani na rzecz tego, co nazywamy duchem wieku, ani się zgodzić na podział władzy i wpływu z innymi. Dodatnia ich rola polegała na wprowadzeniu do społecznej organizacyi polskiej pojęcia karności politycznej, które wynieśli z mozolnych studyów nad dziejami, i planu w robocie społecznej zamiast nieokiełznanego wichrzycielstwa.

Pozytywiści warszawscy w innych byli warunkach, jak stronnictwo krakowskie. Polityka nie zajmowała wydatnego miejsca w ich programie, co się nawet odbiło na późniejszej działalności pisarskiej głośniejszych naszych autorów, zaczynających swój zawód z brzaskiem „ery organicznej". Jedni z nich, jak Świętochowski, bardzo radykalnie — o ile przypuszczać można — zmienili swoje

poglądy polityczne, drudzy, jak Prus, wstąpiwszy późno na tę arenę, bez odpowiednich studyów i doswiadczeń historyczno-politycznych, kiedy serce i obserwacya zrosły się z innym światem, znaleźli się w wyraźnej i ostrej sprzeczności z opinią społeczną, już to podczas dyskusyi o pomniki, już to podczas różnych, mniejszych i większych od tej spraw. Dla pisarza politycznego niezbędne są pewne pierwiastki rozsądku, miary i dyalektyki z jednej, uczuć, wspomnień i tradycyi z drugiej strony. Bez takiej szczęśliwej kombinacyi, na którą składają się ścisły zarówno umysł, jak i dusza gorąca, bez szczególnej i harmonijnej równowagi tych składników niepodobna zostać pisarzem politycznym, zwłaszcza wtedy, kiedy dotykać wypada spraw pierwszorzędnych i niezmiernie powikłanych. Ani zasoby wyobraźni, ani humor i dowcip, ani serce czułe i kochające, ani plastyczny talent pisarski nie zastąpią tego szczególnego układu rozumu i temperamentu. Publicyście politycznemu potrzebny jest zarówno zmysł historyczny, jak i zmysł praktyczny, zarówno przezorność, spokój i dar przekonywającej argumentacyi, jak wrażliwość na prądy, tajemnice i przeznaczenia dziejowe. Pozbawiony jednych lub drugich kwalifikacyi, zostać może albo suchym i przewrotnym karyerowiczem, albo bez gruntu pod stopami marzycielem. Szczęśliwy ten, kto posiada właściwą skalę do widzenia i mierzenia rzeczy, kto wielkich nie bierze za małe, małych zaś za wielkie.

Pozytywiści warszawscy nie wywołali przełomowego zwrotu w pracy i w opinii społeczeństwa swymi poglądami i artykułami, polemiką i namiętnością, jak to często mniemano. Oni sformułowali tylko, ubrali w terminy naukowe i polityczne to, co krążyło w powietrzu. Zastosowali wyrazy do dążeń, pragnień i potrzeb organizmu społecznego. Współcześni przeceniają zwykle wpływ walk pisarskich na bieg rozwoju społecznego. Nawet w takiej epoce, jak druga połowa wieku XVIII we Francyi, kiedy na czele ruchu umysłowego stali tacy królowie pióra, jak Rousseau i Voltaire, Diderot i Montesquieu, krążenie idei postępowych i rewolucyjnych formułowało tylko czynniki i usposobienie rzeczywistości. Monarchia Ludwików bowiem już przy końcu XVIII wieku, kiedy dosięgła zenitu swojej chwały, posiadała w sobie zarodek żywiołów rozkładowych.

Społeczeństwo nasze, do niedawna szlachecko-rolnicze, w następstwie takich wypadków, jak uwłaszczenie włościan, oraz czyn-

ników politycznych i ekonomicznych zaczęło się przekształcać na demokratyczno-postępowe; obecnie jesteśmy znów w nowej fazie, w której ogółowi przybył i sięga po hegemonię, po wykreślanie dróg pochodu, liczny i silny żywioł burżuazyjno-przemysłowy. Powoli stajemy się społeczeństwem kapitalistyczno-mieszczańskiem, w którem wyobrażenia i interesa klas miejskich biorą górę nad innymi.

Każde społeczeństwo miejskie ze swojemi pragnieniami i dążeniami, ze swoim przemysłem, giełdą, handlem i fabrykami, wywiera przeważny wpływ na inne warstwy narodu, na jego wykształcenie i upodobanie; tam, gdzie panującą klasą stało się bogate mieszczaństwo, inteligencya krajowa szuka przeważnie zajęcia w miastach wielkich, w biurach kapitalistów, przemysłowców, bankierów i kupców. Musi ona teraz posiadać wykształcenie fachowe i pojęcia, że się tak wyrażę, fachowe. Parcie do miast staje się zjawiskiem powszechnem.

Początkom tego silnego ruchu, który dość wyraźnie zmienia kontury zewnętrzne i składniki wewnętrzne naszego ogółu, towarzyszyło właśnie przyjście na świat pozytywizmu warszawskiego i głośna walka „starej” i „młodej” prasy. Sądzę, że wyrażam się dość dokładnie, z historyczną istotą rzeczy zgodnie, kiedy mówię, że ruchowi przemysłowo-handlowemu, który popchnął na nowe tory energię i wydajność społeczną, towarzyszył ów prąd umysłowo-publicystyczny, zwany pozytywizmem. On mu istotnie tylko towarzyszył, wcale go zaś nie uprzedził i narodzin jego nie zwiastował. Dość rzucić nieco okiem wstecz, w te czasy, kiedy Andrzej Zamoyski z gronem obywateli i ludzi, przenikniętych ideą reformy, pracował nad rozniecaniem ekonomicznego życia w kraju, czynszował włościan, urządzał żeglugę parową na Wiśle, podnosił stan rolnictwa i pragnął powołać do życia przemysł w wielkim stylu. Cofając się nieco dalej, spotykamy Steinkellera, który produkcyą cynku, obniżeniem cen roli, urządzeniem karet pocztowych, projektem dr. żel. Warszawsko-wiedeńskiej, gospodarstwem fabrycznem i t. d., i t. d., zapisał trwałemi zgłoskami imię swoje w dziejach ekonomicznego życia kraju. Lecz właściwym inicyatorem pracy organicznej w XIX stuleciu u nas był Franciszek Ksawery Lubecki, minister skarbu Królestwa Polskiego (1822—1830 r.), umysł niezmordowanej energii, zarówno płodny w idee, jak i niezmęczony w ich wykonywaniu, łączący w sobie rozległy rzut oka w przyszłość z nie-

pospolitym talentem taktycznym i praktycznym. Kiedy będziemy mieli na źródłach opartą i umiejętnie napisaną historyę przemysłu krajowego, to zobaczymy, że wówczas lepiej rozumiano znaczenie przemysłu dla bogactwa społecznego, niż obecnie, i dążono do tego, ażeby wytwórczość zaspakajała przedewszystkiem potrzeby miejscowe, wewnętrzne i podnosiła ekonomiczny, kulturalny i estetyczny stan ludności. Nawiasowo dodam, że p. Henryk Radziszewski, młody, zdolny i pracowity ekonomista, z niezwykłem upodobaniem i oddaniem się przedmiotowi zbiera materyały i pracuje nad historyą przemysłu polskiego od wieków średnich, posiadając już kilka roździałów zupełnie wykończonych.

Pozytywizm warszawski związał nierozerwalnie swoje imię w historyi społecznej z pracą organiczną, i dlatego trzeba było trochę zajrzeć w głąb przeszłości, ażeby się przekonać, że źródła tego prądu leżą dalej, o dwa, nawet trzy pokolenia wstecz. Fakt ten nie zmniejsza bynajmniej istotnych zasług pozytywizmu i pozytywistów, które oddali ogółowi w swoim czasie, wnosząc do jego umysłowości pojęcia i metody nowe i żywotne, czerpane pełną ręką z literatury naukowej zachodnio-europejskiej, szerząc zamiłowanie do przyrody i do nauk społecznych, wypowiadając wojnę konwencyonalności na wszystkich polach pracy, myśli i sztuki.

Od lat kilku znów patrzymy na żywą reakcyę przeciwko duchowi i metodzie pozytywnej, Reakcya była nieuniknioną. Teorya „pracy organicznej“ przez lat kilkanaście służyła za hasło głośne i wydała w swoim zakresie owoce; mogła ona wszakże służyć za dłuższy i ostateczny bodziec tylko dla natur pozytywnych i pieniężnych, temperamentów praktycznych i kupieckich, ambicyi przeciętnych. Sfera interesów, hasłem tem objętych, stanowi jeden z podkładów istnienia zbiorowego; nie mogła jednak zadowolić ani żywszych i czulszych żywiołów, ani wystarczyć popędom i potrzebom tego idealistycznego typu, który po wszystkie czasy, u wszystkich narodów jest wyrazem szczytniejszych dążeń człowieczeństwa, jego wrażliwością i jego nerwem, kwiatem cywilizacyi.

Pozytywiści warszawscy i stańczycy krakowscy stanowili dwa najwybitniejsze obozy społeczno-polityczne w ostatnich trzydziestu czterech latach, u nas i w Galicyi, najwięcej wywarli wpływu na opinię, najwięcej stoczyć musieli walk w obronie swoich poglądów i programów. Stańczycy są jeszcze wprawdzie czynnem

stronnictwem politycznem, lecz minęli już swoje apogeum i chylą się ku odkwitowi. Wypowiedzieli swoje credo w polityce narodowej, usiłowali je wcielić w życie, a nowych pomysłów, równych poprzednim, już nie posiadają.

Przy rozważaniu historyi stronnictw politycznych, kół naukowych lub programatów społecznych przychodzą na myśl spostrzeżenia Goethego: „W ogólności tak bywa, że wszystko, co ma być dokonanem przez liczne zjednoczone osoby i okoliczności, nie może się długo utrzymać w stanie doskonałym. Co do towarzystwa teatralnego, tak samo, jak co do państwa, co do kółka przyjaciół, jak i co do armii, daje się pospolicie oznaczyć chwilę, kiedy się znajdowały na najwyższym stopniu swej doskonałości, swej zgody, swego zadowolenia i działalności; częstokroć wszakże szybko się zmienia personel, nowi członkowie wstępują, osoby przestają odpowiadać okolicznościom, okoliczności osobom; wszystko się przeinacza i, co przed tem było zjednoczonem, rozpada się“. („Wilhelm Meister” w tłómaczeniu Piotra Chmielowskiego). Na naszym widnokręgu, kiedy pozytywiści wypowiedzieli swój program, kiedy wytyczne myśli tego programu, w pewnym przynajmniej stopniu, w życie wejść zdołały, ukazało się później trzecie i ostatnie w tych trzydziestu kilku latach grono działaczy i publicystów, usiłujące przekształcić opinię, posunąć społeczeństwo na dalszy stopień ewolucyjny, wprowadzić nowe czynniki do organizmu zbiorowego. Był to demokratyczny program „Głosu”, który w chwili swego ogłoszenia, polegał, jak wiadomo, na „podporządkowaniu interesów innych warstw społecznych warstwie ludowej”, na konsekwentnem realizowaniu go, w ekonomicznym i w politycznym kierunku. Ponieważ w zeszłym zeszycie, mówiąc o przejściu „Głosu” pod nowe kierownictwo, wypadło mi wspomnieć nieco szczegółowiej o jego programie, i o tem, jaką odegrał rolę w długim procesie naszych przeobrażeń, więc teraz zaznaczam tylko, że był to ostatni, a powszechnie znany program, zawierający kategoryczne wskazówki i postulaty co do wewnętrznego rozwoju społeczeństwa, kierunku jego myśli i jego usiłowań.

Ten krótki szkic powszechnie znanych i uznanych naszych kierunków i dążeń z ostatnich lat trzydziestu kilku nie jest oczywiście wyczerpującym i dokładnym, nie rości żadnej pretensyi do ścisłej analizy lub subtelnej charakterystyki. To tylko krótki rzut oka na minione, mijające i trwające prądy główne, które regulują

myśl społeczną, które szeregują obok siebie zwolenników, które przenikają i pobudzają sumienia i inteligencye, jednostki i grupy. Publicysta razem ze społeczeństwem powinni od czasu do czasu rzucić okiem dokoła siebie, wstecz i w przyszłość.

Zacząłem od cytaty z „Czasu" i przy końcu do niej powracam. Dziennik krakowski uczynił zarzut, że „Ateneum" nie skrystalizowało dostatecznie swoich zamiarów i dążeń, że jakoby koniecznem było wyjaśnienie stosunku dzisiejszego „Ateneum" do dawnego z epoki pozytywnej, i że w wyrazach prospektu mieści się program raczej dla instytucyi dobroczynnej, niż dla miesięcznika.

Uwagi te pochodzą albo z nieznajomości, albo z nieuwzględnienia naszych stosunków. „Ateneum" i w chwili swego powstania, jako pismo naukowe i literackie, nie ogłaszało się za wyznawcę żadnej doktryny naukowej i społecznej i nie było nigdy organem pozytywizmu w ścisłem znaczeniu wyrazu, jak twierdzi p. Eska. Miesięcznik ten był wynikiem porozumienia ludzi, poruszanych ideą dobra i rozwoju społecznego, w których duch obywatelski górował nad doktrynerstwem, przejętych potrzebą gruntownego i poważnego pisma miesięcznego, zostającego na poziomie współczesnej nauki europejskiej, tak niezbędnego dla nauki i myśli polskiej, dla ruchu społecznego polskiego. Gorliwie przestrzeganem hasłem była bezstronność, do której wznieść się umiała redakcya, złożona z pierwszorzędnych historyków, oraz życzliwość dla wszelkich rozumnych i uczciwych usiłowań i pomysłów.

Każdy, kto znał redaktorów „Ateneum", kto z nimi pracował, rozmawiał i obcował, uzna, że oddychał tam w atmosferze czystej i szlachetnej, że był w towarzystwie ludzi rozumnych i dobrych, pracowitych i ukochanej idei niepodzielnie oddanych. To nie byli ani sekciarze, ani zasuszeni erudyci, ani bałwochwalcy teoryi naukowych; byli to ludzie doświadczeni i wyrobieni w moralnej szkole życia, myśliciele uszlachetnieni przez wiedzę, obywatele zagrzani przez uczucia ciepłe i szczytne i wolni od uprzedzeń stronniczych.

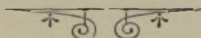
Sądzę, że i dziś, kończąc ćwierćwiecze swego istnienia, „Ateneum" może pod nową redakcyą powołać się na tradycyę, na to, że służyć będzie prawdzie, pięknu i cnocie, że pragnie być wyrazicielem rozwoju i humanizmu, dążyć do reform, bo bez reform niema rozwoju, bez rozwoju zaś niema życia.

Takie ogólne credo jest wskazane i podyktowane przez okoliczności, tak, iż dziwić się trzeba, że komuś nie wystarcza. Ponad to „Ateneum" zachowa jeszcze niezamąconą pobłażliwość dla złośliwego dowcipu, który szczypie wtedy, kiedy mu brak argumentów dla przekonania i definicyi dla określenia przedmiotu.

Bolesław Lutomski.



Bibliografia.



1. A. Czasopisma. **Biblioteka Warszawska** (styczeń): El. Orzeszkowa „Wesele Wiesiołka, bajka“, St. Tarnowski „Szujski, jako poeta“, Adam Darowski „Kronika Rzymska“, dr. Józef Nusbaum „Wyraz twarzy i mowa oczu“, Winc. Kosiakiewicz „Rick-Rock“ (powieść), Dr. Józef Siemiradzki „W sprawie emigracyi włościańskiej w Brazylii“, Szym. Askenazy „Materyały i notatki 1793“, Stefan Popowski „Przegląd Artystyczny“.

= **Lud,** organ Towarzystwa Ludoznawczego we Lwowie, zeszyt I: Dr. Antoni Kalina „Pierwsze pięciolecie“, Jan Witort „Filozofia pierwotna“, dr. Fr. Krček „Przyczynek do drugiego wydania Księgi przysłów S. Adalberga“, Br. Gustewicz „O ludzie Podduklawskim w ogólności, o Iwoniczanach w szczególności“, Stef. Ramułt „Kilka słów o Słowieńcach pomorskich“, „Rozmaitości“ przez dra Krčeka, J. Mazura i d-ra St. Eliasza Radzikowskiego.

= **Przeglądu Filozoficznego**, roku III zeszyt I zawiera: d-ra W. Rubczyńskiego „Studya neoplatońskie“, E. Abramowskiego „Kilka słów o metodzie przy rozpatrywaniu kwestyi jednostek psychicznych“, St. Żeromskiego „Listy Trentowskiego do Lelewela i Królikowskiego“.

= **Przegląd Polski** (styczeń i luty): W. Dzieduszycki „Wrażenia z hiszpańskiej podróży“, dr. Stanisław Kutrzeba „Szos królewski w Polsce w XIV i XV w.“ dr. Paweł Popiel „O studyach Juliana Klaczki nad Odrodzeniem“, St. Tarnowski „Franciszek Smolka“, A. Strzelecki „Karty z życia Chopina“.

= **Przegląd Powszechny** (luty). Ks. Wł. Chotkowski „Testamentum D. N. J. Christi“, ks. J. Kobyłecki „Filozofia wolnych dusz“. dr. F. Kudelka „Obieżysasi“, ks. J. Tuszowski „O charakterze i zadaniu muzyki kościelnej“.

= **Przewodnik Naukowy i Literacki** (styczeń): D. Zaleski „Korespondencya J. B. Zaleskiego“, W. Dzieduszycki „Historya malarstwa na Północy i w Hiszpanii“, ks. J. Sygański „Nowy Sącz w epoce Wazów“, J. Snitka „Zarys pojęć o narodzie“, J. Horoszkiewicz „Pamiętnik o stroju narodowym Rzeczypospolitej polskiej“, Al. Wybranowski „O dworach i dworkach szlacheckich“.

= **Rozprawy Akademii Umiejętności** wydział historyczno-filozoficzny, s. II, t. XIII (ogólnego zbioru tom XXXVIII): A. Prochaska „Geneza i rozwój parlamentaryzmu za pierwszych Jagiellonów“, F. Piekosiński „O źródłach heraldyki ruskiej“, A. Lewicki „Unia florencka w Polsce“, K. Potkański „Walka o Poznań (1306—1312), S. Kętrzyński „Kazimierz Odnowiciel (1034 — 1058)“, K. Potkański „Zdrada Wincentego z Szamotuł“.

= **Wisła**, tom XIII zeszyt XI—XII (listopad—grudzień): E. Majewski „Sowa w mowie i w pojęciach ludu naszego“ Am. Derewińska „Nad granicą pruską, szkic etnograficzny“, Jerzy Buschan „Kuchnia przeddziejowa“, L. Młynek „W anioły i dyobły, zabawa dzieci wielickich“, G. Paszkiewicz „Obchód Sobótki w okolicy Sandomierza“, L. Magierowski „Zagadki ludowe z Jaćmierza i Posady Jaćmierskiej“, Maryan Kucz „Salve Regina“, H. Łopaciński „Do pieśni o grzybach, wspomnianej w Panu Tadeuszu“, H. Paprzyca „Kopiec w Sieklukach“.

= Na posiedzeniu **Komisyi historyi sztuki** Akademii Umiejętności w Krakowie (dnia 18 stycznia r. b.) p. J. Pagaczewski podał wiadomość o obrazie bizantyńskim Matki Boskiej w kościele św. Andrzeja w Krakowie (XII—XIII w.) oraz małej polichromowanej figurce św. Sebastyana w tymże kościele (XVI w.); odczytano komunikat p. Worobjewa z Łomży o ruinach zamku biskupiego i kościoła parafialnego w Broku (pow. Ostrowski, gub. Łomżyńska) oraz rozprawkę p. H. Łopacińskiego o obrazowanej alegoryi politycznej z czasów Stefana Batorego; w zakończeniu dr. F. Kopera przedłożył fotografię grobowca ks. Konstantego Ostrogskiego w Peczerskiej Ławrze w Kijowie oraz fotografię z medalu ks. Wayla Ostrogskiego.

= **Komisya antropologiczna** Akademii Umiejętności w Krakowie powołuje wszystkich, interesujących się rzeczami narodowemi, do zbierania materyałów w sprawie ubioru ludu polskiego, a mianowicie fotografii (o ile można kolorowanych) wraz z dokładnym opisem i wymienieniem miejscowości, używających tego stroju; materyały te należy nadsyłać pod adresem Komisyi Antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie na ręce prof. Romana Zawilińskiego

B. Socyologia. **Grabski Stanislaus dr.** Zur Erkenntnisslehre der volkswirthschaftlichen Erscheinungen. Leipzig, 1900.

= **Lutosławski W.** O wychowaniu narodowem, Kraków, 1900.

C. Historya. **Czermak Wiktor.** Marya Kazimiera Sobieska, Kraków, 1899.

= **Kołaczkowski Klemens** gen. Wspomnienia, księga III, od r. 1820 do 1830 Kraków, 1900.

= **Krzyżanowski Stanisław**. O sejmikowaniu mieszczaństwa krakowskiego. Kraków, 1899.

= **Potkański Karol.** Sprawa restytucyi, rok 1374 i 1381 (Studya nad XIV w. № III), Kraków, 1900.

= **Seignobos K.** Dzieje polityczne Europy współczesnej, rozwój stronnictw form politycznych, 1814—1899, dodatek do „Głosu“, zeszyt V, Warszawa, 1900.

= **Ułaszyn Henryk.** Kontrakty Kijowskie, szkic historyczno-obyczajowy, 1798—1898. Petersburg, 1900.

= **Zakrzewski Wincenty.** Historya nowożytna w zarysie, wyd. drugie, Petersburg, 1899.

D. Literatura. **Jellenta Cezary.** Juliusz Słowacki dzisiaj, szkic konturowy, Kraków 1900.

= **Krček Fr.** dr. Przyczynki do drugiego wydania „Księgi przysłów“ S. Adalberga, Lwów, 1900.

= **Popiel Paweł.** Uwagi nad Odrodzeniem, z powodu dzieła Jul. Klaczki „Rome et la renaissance“, Kraków, 1900.

= **Tretiak Józef.** Miedziany jeździec Puszkina, studyum polemiczne, Kraków, 1900.

E. Beletrystyka. **Anakreont.** Pieśni, Lwów, 1900.

Bałucki Michał. Pamiętniki Munia, Warszawa—Krakow, 1900.

= **Daniłowicz Strzelbicki Kazimierz.** Blichtr, sceny z życia, powieść, odznaczona na konkursie „Głosu“, Warszawa, 1900.

= **Gruszecki Artur.** Dla miliona, powieść, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Jeske-Choiński Teodor.** Tyara i Korona. powieść historyczna (Biblioteka dzieł wyborowych № 117—120), Warszawa, 1900.

= **Junosza Klemens.** Czarne błoto (pająki wiejskie), dodatek do „Gazety Polskiej, Warszawa, 1900.

= **Kaczkowski Zygmunt.** Wybór pism, z przedmową Ign. Chrzanowskiego, tom IV: Murdelio. Tradycye Sanockie, tom V: Gniazdo Nieczujów, Starosta Hołobucki, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Niemojewski Andrzej.** Bajka, poemat w jednej odsłonie, Warszawa, 1900

= **Or—Ot.** Wybór poezyi, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Orzeszkowa Eliza.** Argonauci, powieść, tom I i II, Warszawa — Kraków 1900.

= **Rostand Edmond.** Romantyczni, komedya w 3-ch aktach przekład. Leo Belmont, Warszawa, 1900.

= **Sami sobie.** Książka zbiorowa na rzecz Warszawskiej Kasy Literackiej Warszawa, 1900.

= **Sieroszewski Wacław.** Brzask. — Puszcza Białowieska. — Grecka szczecina. — Dno nędzy, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Żuławski Jerzy.** Poezye, II, Warszawa—Kraków, 1900.

G. Matematyka i przyrodoznawstwo. **Jabłkowski Józef.** Zasady tkactwa ze szczególnem uwzględnieniem przemysłu wełnianego, 75 rysunków w tekście oraz 46 tablic kolorowanych (Biblioteka przemysłowa), Warszawa, 1900.

H. Różne. **Monografia illustrowana** kościołów rzymsko-katolickich w Królestwie Polskiem, zeszyt 6, Warszawa, 1899.

= **Weryho Marya.** Jak zająć dzieci w wieku przedszkolnym, pogadanki rozmowy, zabawy i robótki, Petersburg, 1900.

2. Filozofia. **Bruhl L.** History of modern philosophy in France London, 1900.

= **Horneffer E.** Vorträge über Nitzsche, Versuche. Wiedergabe seiner Gedanken, Göttingen, 1900.

= **Horneffer E.** Nietzsche's Lehre von der ewigen Wiederkunft u. deren biesherige Veröffentlichung, Leipzig, 1900.

= **Lombroso P.** Il problema della felicità, Torino, 1900.

= **Lyon O.** Das Pathos der Resonanz, eine Philosophie der modernen Kunst u. des modernen Lebens, Leipzig, 1900.

B. Socyologia. **Burke W. Maxwell**. History and functions of central labour unions, New-York, 1900.

= **Giese W.** Die Judenfrage am Ende des XIX Jahrhunderts, Berlin, 1900

= **Kowalewskij M. M.** Ekonomiczeskij stroj Rossii, Petersburg, 1900.

= **Lilly W. S.** First principles in politics, New-York, 1900.

C. Historya. **Bain R.** The daughter of Peter the Great: a history of Russian diplomacy and of the Russian court unter the empress Elizabeth Petrovna 1741—1762, London, 1900.

= **Günter R.** Kulturgeschichte der Liebe, Berlin, 1900.

= **Prutz H.** Preussische Geschichte (bis 1740), Stuttgart, 1900.

= **Safonow A. P.** Carstwowanie Impieratora Aleksandra II, Moskwa, 1900.

D. Literatura. **Harrison Fr.** Tennyson, Ruskin, Mill and other literary estimates, London, 1900.

E. Sztuki piękne. **Marillier H. C.** Dante Gabriel Rossetti: An illustrated memorial of this art and life, London, 1900.

= **Michel E.** Rubens, sa vie, son oeuvre et son temps, Paris, 1900.

F. Matematyka i przyrodoznawstwo. **Cochrane Ch.** The wonders of modern mechanism, London, 1900.

= **Lubbock John.** Die Schönheiten der Natur und die Wunder der Welt, in der wir leben, deutsche Ausgabe, Basel, 1900.

—h.—

---

3. Przekłady z polskiego. Nowela **Ignacego Dąbrowskiego** „Łza" została przetłóm. na jęz. niem. przez p. M. Ursteina w czasopismie „Deutsches Heim" w zeszycie grudniowym.

Rzymskie czasopismo „Illustrazione Italiana" (styczeń) tłóm. **H. Sienkiewicza** p. t. „Kwiat lotosu".

Nr. 49 (z r. 1899) tygodnika zagrzebskiego „Vienac" zamieścił przekład ballady **A. Mickiewicza** p. t. „Lilie" pióra F. M. Mazrovića, w ostatnich zaś nr-ach podał tłómaczenie nowelki **Elizy Orzeszkowej** p. t. „Syn Stolarza".

W styczniowych felietonach dziennika „Hrvatskà domovina" znajdujemy przekład „Rodziny Połanieckich" **H. Sienkiewicza.**

Nowelę **Bolesława Prusa** p. t. „Nowy Rok" przyniósł w rosyjskim przekładzie „Warszawskij Dniewnik" z 2 (14) stycznia.

Żytomierski „Wołyń" przyniósł w n-rze 196-tym za r. 1899 przekład utworu **H. Sienkiewicza** p. n. „Sąd na Olimpie", w n-rze 1-szym za 1900 r. tłomaczenie nowelki **Ludwika Straszewicza** p. t. „Nieprzejednani".

W Tyflisie ukazało się w wydaniu ozdobnem tłómaczenie „Quo vadis" **Sienkiewicza** na język ormiański, dziennik zaś rzymski „Giorno" pomieścił we włoskim przekładzie nowelę „Sąd na Olimpie".

Listy **Andrzeja Koźmiana** z lat jego pobytu w Paryżu t. j. 1829—1830 ukazały się w tłómaczeniu francuskiem K. Waliszewskiego w czasopismie „Revue de Paris" z 15 stycznia. Tytuł brzmi: „Le carnet d'un mondain sous la Restauration"

Nowelę Waleryi **Marrene-Morzkowskiej** p. t. „Przed sądem" napotykamy w tłómaczeniu rosyjskiem w czasopismie „Wołyń" w numerach styczniowych.

4. Udział Polaków w obcych literaturach. Prof. **Aleksander Brückner** zamieścił w berlińskiej „Zeitschrift für Ethnologie" w zeszycie 2-gim z 1899 r. artykuł p. n. „Slavische Volkskunde", zawierający oceny publikacyi etnograficznych narodów słowiańskich. Z rzeczy polskich oceniony został lwowski „Lud", „Wisła" i „Materyały antr.-archeol.".

„Mittheilungen der schlesischen Gesellschaft für Volkskunde" przyniosły w zeszycie 6-tym (1899 r,) rzecz prof. **Władysława Nehringa** p. n. „Dritter Bericht über oberschlesische Erzählungen".

W Paryżu ogłosił p. **Kazimierz Stryjeński** obszerną pracę p. t. „Deux victimes de la terreur: La princesse Rosalie Lubomirska, m-me Chalgrin" (wyd. 2).

5. Cudzoziemcy o rzeczach polskich. **Dr. Robert Arnold** wydał tom 1-szy swojej pracy p. t. „Geschichte der deutschen Polenlitteratur von den Anfängen bis 1800" w Halli. Tom drugi obejmie wiek XIX.

Tom XII Zeitschrift für Geschichte und Alterthumskunde Ermlands zawiera kilka prac, tyczących się rzeczy polskich, a mianowicie d-ra A. Kolberga, „Historische Bedeutung der Passio S. Adalberti" (str. 262—322), tegoż autora „Ueber den Verfasser des Lobgedichtes auf den hl. Adalbert" (str. 323—358), ks. Adolfa Müllera „Kopernicus Einführung in sein astronomisches Hauptwerk" (str. 359—382) i notatkę p. n. „Unbekannte Jugendgedichte M. Cromers" (str. 725—727).

= **Alfred Jensen** wydał dzieło w jęz. szwedzkim p. n. „Polska Skalder" (Polscy poeci). Na wstępie rozprawa o „szkole ukraińskiej", poczem następują tłóm. „Zamku Kaniowskiego" i „Maryi". Dalej życiorys Mickiewicza wraz z przekładami „Wallenroda", „Farysa" i „Improwizacyi", poczem studyum o Słowackim i przekłady „W Szwajcaryi", „Anhellego", „Ojca Zadżumionych" i wiersza „Mój testament". Działo zamyka notatka o Ujejskim i tłóm. „Melodyi biblijnych".

Wychodzące w Innsbrucku „Mittheilungen des Instituts für österreichische Geschichtsforschung" przynoszą w zeszycie 3-cim z 1899 r. rozprawę Augusta Fourniera p. t. „Zur Geschichte der polnischen Frage 1814 und 1815", na str. 444—475.

St. Zdziarski.



Дозволено Цензурою Варшава, 21 Января 1900.

Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna.***
Redaktor: ***Ignacy Chrzanowski.***